

Pepepek węża

Okładkę i kartę tytułową projektował ZBIGNIEW CZARNECKI

Copyright by Ewa Lach Warszawa 1987

ISBN 83-07-01504-9

1

Z nudów nakręciłam lokówki, które trzęsą się, gdy kaszlę. Kompletny Spitsbergen! Człowiek czeka niecierpliwie na powrót jedyne go małego braciszka-do tego doszło! Nawet leniwa Murmuranda wyniosła się w niewiadomym kocim kierunku, a z meblami jeszcze nie gadam. Może zacznę od zegara, który utyka w przedpokoju?

Ale mam, co chciałam. Odwołali wczasy w Lisim Jarze, tata popracuje nad następną koncepcją Panny Magister w domu i w laboratorium, a nie na plaży. Powinnam więc być zadowolona, od zagipsowanych stóp po zalokówkowaną głowę, a jednak głupio mi i zupełnie niewesoło. Osłabienie po gorączce minęło, nie wykręcę się od podsumowania sytuacji. I siebie. Chyba po raz pierwszy w życiu tak na serio. Już dawno na to pora. Czytam to w spojrzeniach rodziców. Cóż, ten rok nie był i dla nich przyjemny, postarałam się o to... Cały rok szkolny plus ładny kawał poprzednich wakacji klóciłam się z przodkami, Wanduli nie wyłączając. Jakby mi kto z oczu klapki zdjął - a raczej różowe okulary, bo klapki, chociaż całkiem inne, wyrosły zniecka. Wszystko zaczęło mnie denerwować, drażnić, nawet ton domowych rozmówek, takich dotąd zabawnych. Zniknęła Cudowna Gawra rodziny Misiów, bezkonfliktowa, spokojna przystań dla starszych, średnich i młodszych. Zaczęło być tak samo jak w szkole czy na podwórku - takie samo napięcie, udawanie.

A zaczęło się wszystko chyba od Rafała. Tak. Nie spodobał im się od pierwszego wejrzenia. A mnie od pierwszego wejrzenia oczarował. Stał na krawędzi przepaści, na malowniczo postrzę-

5

pionej skale, ramiona skrzyżował na piersiach, jedna noga do przodu, połowa stopy w powietrzu, świeżo wymyte loki muskał wiaterek, wzrok wbity w niebo... Ma prosty nos i w ogóle ostre rysy twarzy, jest szczupły (właściwie okropnie chudy), ale mnie wydał się wtedy potężny jak indiański wódz-czarownik. Ze trzy lub cztery amulety wisiały mu na szyi, na ręce łańcuszek. Zatkąło mnie normalnie i zatarasowałam wątle przejście, którym przeciskaliśmy się z Dominikiem pod głazami, aby powitać wschód słońca, zanim reszta wylezie ze schroniska.

Wschód jak wschód - słońce dawno już świeciło, chociaż jeszcze trochę czerwone, i złościło Rafałowe loki. Wandula twierdziła potem złośliwie, że gdyby właśnie nie były świeżo wymyte, nie spodobałby mi się tak bardzo „ten podejrzany kudłacz”. Niech jej się wydaje. Co mi tam, teraz!

- Co jest? - zdziwił się z tyłu Dominik, prawie waląc nosem o moją łydkę. - Zaklinowałaś się, grubasie?

Wierzgnęłam znacząco i przez chwilę było cicho, ale braciszek nie wytrzyma przecież długo w jednej pozycji, więc mnie po prostu ugryzł.

- Au!-syknęłam i wycofałam się rzucając ostatnie długie spojrzenie na wodza-czarownika. Ani drgnął, jak na wodza przystało, i dalej zaklinał słońce.

- Ee, to ten, co doszedł w nocy ze swoimi starymi! - powiedział Dominik, gdy sprawdził, co mnie tak zamurowało. Spał z tatą na męskiej sali, więc wiedział więcej ode mnie. - Jakiś dziwny.

- Sam jesteś dziwny! - warknęłam.

- Ale i tak byśmy się tam razem z nim nie zmieścili - ocenił braciszek. - Chodźmy na inną półkę!

- Sam sobie idź!-odechciało mi się.

Usiadłam niedaleko na płaskim grzybie i udawałam, że już od świtu lubię się opalać. I z zazdrością pomyślałam o bujnych lokach mojej tak zwanej najbliższej koleżanki z klasy, Elki Brodackiej.

Najbardziej zadumany wódz zauważyłby ją na głazie, a ja-czym mogę się pochwalić?

Szarpnęłam warkocz, dosyć długi, ale cienki i szarawy. Roz-

:

plół się. Potrząsnęłam głową, zakryłam włosami całe plecy. Może być.

Ale wódz nie schodził. Za to pojawiła się Wandula, wcale nie od strony schroniska. Uprzedziła nas, podziwiała wschód słońca na innej skale.

- Renatko, trzeba coś zjeść - powiedziała dziarsko. I westchnęła: - Powinniśmy chyba pomóc mamie w krojeniu kanapek. Chodź, chodź, ruszko, i uczesz się! Wiem, że to nudne, ale musimy to robić codziennie.

No i zgarnęła mnie z grzyba. Obejrzałam się ze trzy razy - nic, tylko Dominik człapał w dali naszym śladem. A wódz-czarownik pojawił się w jadalni, kiedy wcinaliśmy te mamine kanapki. Przeształ próg na nikogo nie patrząc i usiadł przy takich sobie, niczym się nie wyróżniających starszawych turystach. Ona jakby zdenerwowana i niezadowolona, a on znudzony.

- Są z Poznania - powiedział Dominik też patrząc w ich stronę.

- Po czym poznałeś? Po rejestracji? - zadrwił Januszek. Okropnie chce dorównać nam w rodzinnym gadaniu i wysila się na dowcipy. Denerwuje to nas, Dominika i mnie przynajmniej, bo starsi nie reagują.

Po co go Wandula wyciągnęła na wyprawę z ciepłych betów starego mieszkania? Ziewa do południa, sapie pod byle pagórkiem, przerażają go kilometry na mapie oglądanej wspólnie przed zaśnięciem. Dobrze chociaż, że przy tacie milczy. Przy samych babach na pewno byłoby tak, jak na głupim spacerku po Puszczy Niepołomickiej w którąś z wiosennych niedziel.

Ale co robić, skoro Wandula zlitowała się nad ciotecznym wnuczkiem, mniej zdolnym od młodszego Henryczka, który z chórem filharmonii wyjechał na tournée i miał bombowe wakacje we Francji, Belgii, Szwajcarii i w Italii? Januszkowi nic się nie kroilo. Chociaż wcale nieźle zaliczył siódmą klasę szkoły muzycznej. Wcale nieźle, jak na kogoś, kto nie cierpi fortepianu. Jego pech, że jest także wnukiem ciocibabci Kingi Klary, artystki. Byłej. Ze względu na reumatyzm. Właściwie należy mu współ-

7

czuć, ale nie mogę. Sam sobie winien, że się nie zbuntował zaraz na początku szkoły albo jeszcze w ognisku. Ja się zbuntowałam. Dominika nawet ciociababcia Kinga Klara nie sprawdzała, obraziła się. Nie pierwszy raz. Ona potrafi być zagniewana nawet wtedy, gdy się przy niej powie na Ignacego Jana „Januszek”, trzeba się pilnować podczas wizyt w starym mieszkaniu. Gdyby żył jeszcze jej mąż, który wielbił raczej Kusocińskiego niż Paderewskiego, Januszek miałby lepsze życie. I tak dobrze, że nie nazwali go Fryderykiem. Albo Wolfgangiem Amadeuszem. Zawsze można znaleźć coś na pociechę, w każdej sytuacji-jak twierdzi Wandula. I ja. A przynajmniej twierdziłam dotychczas.

Ale po kolei. Więc zaczęło się na Szczelińcu, pod koniec lipca. Opóźniałam, jak mogłam, nasze s'niadanie, kręciłam się przy bufecie, gdy Rafał zaczął zbierać talerzyki i kubki ze swojego stołu. Co na przykład Wandulę czy mamę zaraz by ucieszyło i dałyby to mężczyźnie do zrozumienia choćby uśmiechem czy mrugnięciem - a matka wodza ani drgnęła. Ciągle wyglądała na niezadowoloną. Nie drgnął też jej mąż. Mnie za to wyleciała z rąk portmonetka prosto pod nogi Rafała, na co prawie wcale nie zareagował, odsunął się tylko zgrabnie i patrzył na bufetową. Zadowoloną z tego, a jakże. Uśmiechała się do niego znacząco. Taka jeszcze dosyć smarkata, ale z biustem. I piegowata!

W podłym nastroju, oglądając się na schronisko przez ramię, póki nie zniknęło z pola widzenia, powlokłam się za rodziną na dalszą wędrowkę. Zbrzydła mi cała ta wyprawa. Dlaczego musimy gnać według ustalonego szczegółowo planu? Dlaczego nie możemy zamarudzić tak sobie w jednym miejscu, na przykład właśnie na Szczelińcu, pomieszkać w schronisku, namówić do tego niektórych sympatycznych bliźnich (wiadomo, których), odpocząć dzień, dwa w romantycznej scenerii? Dlatego że tata ma tylko dwa tygodnie urlopu. Trzeci wykorzystywał na pomoc przy żniwach u swoich wiejskich krewniaków. Będą za to różne produkty natury na zimę. Czyli dwa tygodnie wakacji mama spędzi przy piecu na smażeniu, kiszieniu, zaprawianiu. A my z

8

Wandulą na podmiejskich wycieczkach. Bo dalsze muszą być zaliczane w rodzinnym komplecie. Co już zaczęło mnie męczyć.

Nic mi się po drodze nie podobało, ani czaszki w Cermnej, ani szopka w Wambierzycach. Dobrze

choć, że szliśmy od Karkonoszy - Śnieżkę oraz inne krajobrazy zdążyłam zaliczyć wcześniej. Na dodatek zaczęło lać. Piękny wschód słońca jeszcze o niczym nie świadczy. Dotarliśmy do przyjaciółki mamy w Polanicy kompletnie przemoczeni. Nocleg u niej był w planie, zapraszała już od kilku lat, ale równocześnie przyjechała do niej niespodzianie rodzina z Warszawy. Tata stracił resztę humoru i milczał nietowarzysko, przyjaciółka mamy patrzyła na niego tak, jakby się mamie dziwiła, za to Wandula gadała trzy razy tyle, co zawsze. Denerwowało mnie to coraz bardziej. Zwłaszcza uwaga, że „ci poznańscy kudłacze też podobno mieli iść w Góry Orlickie i ciekawe, gdzie ich dopadła ulewa?”. Kudłaty to był tylko jeden, bo jego ojciec raczej łysy. Mruknęłam coś w tym rodzaju, zła. Jak zwykle babula-Wandula wykazała się sokolim okiem, bo mama chyba wcale nawet nie zauważyła, że coś przydługo manewrowałam przy bufecie w schronisku.

Kiedy przestało na moment padać, tak w połowie dziennika telewizyjnego, urwaliśmy się do miasta, Januszek, Dominik i ja. Tata popatrzył na nas z zadróżką, ale akurat wypowiedział drugie zdanie i towarzystwo czekało na ciąg dalszy. A Wandula dogoniła nas przy furtce.

- Niech sobie średnie pokolenie spokojnie porozmawia - powiedziała upychając peleryny w podręcznej torbie. Niby że jej nie oddelegowano do pilnowania najmłodszego pokolenia. - Kiedyś spędziłam tu prawie miesiąc, może rozpoznam to i owo.

Chłopcy też nie byli zachwyceni, ale co robić? Rozpoznawaliśmy z Wandulą to i owo w Polanicy Zdroju, aż znów lunęło zniecka i ledwie udało nam się dopaść dachu. Oni wbiegli do sieni obok księgarni, a ja zagapiłam się na ciuchy po drugiej stronie ulicy i zostałam, wciśnięta we wnękę jakichś drzwi. Spora była ta wnęka, zmieściła się w niej jeszcze jedna kobieta i...

9

wódz-czarownik, który nagle wskoczył po dwóch schodkach, strząsając deszcz z loków. Zamarłam. Jakby skrzywił się na mój widok. W każdym razie zauważył mnie wreszcie.

- O, my się już znamy - powiedziałam szybko, chociaż sekundę wcześniej myślałam, że już nigdy ani słowa nie wyduszę, ani nie zrobię najmniejszego ruchu ręką i nogą. - Ze schroniska - uzupełniłam na wszelki wypadek. - Gdzie was deszcz dopadł?

- Tutaj - mruknął. Niechętnie. Ale głos i tak miał miły. A oczy z bliska duże i błyszczące.

Kobieta popatrzyła w niebo, westchnęła, rozłożyła parasol i poszła sobie, a my staliśmy przytuleni do dwóch kątów obszernej wnęki i milczeliśmy. Dostyc długo. Potem on też spojrzał w niebo, powiedziałam więc szybko:

- Podjechaliśmy kawałek pociągiem. A wy? Cały czas szliście pieszo?

- Pieszko? - prychnął. - W Kudowie ojciec miał zostawiony wóz. Wściekają się teraz na stacji benzynowej, bo jedziemy dalej, a ja sobie urządziłem spacer.

Po co mi o tym mówił? Poczulałam się zaszczycona. Ale i zmartwiona.

- Daleko jedziecie? - zaryzykowałam.

- Na razie do Kłodzka - mruknął. Nie patrzył na mnie, tylko w kałużę na chodniku. Rosła tuż pod schodkami, na których staliśmy.

- My też pojedziemy do Kłodzka - rozgadałam się pospiesznie. - Ale to na końcu. Najpierw mamy zaliczyć Góry Orlickie, meta w Międzyzlesiu. Dopiero potem przez Kłodzko do Krakowa. Tam mieszkamy. Blisko centrum... Już drugi tydzień włóczymy się po Sudetach - nie wiedziałam, czy chciał słuchać, bo patrzył w deszcz, ale musiałam paplać. - Lubisz się włóczyć?

- Włóczyć? - zdziwił się. A potem uśmiechnął pogardliwie: - Jeśli masz na myśli krajową turystykę rodzinną, to nie. Nie lubię. -

- No... ale... Widziałam cię rano na Szczelińcu - zająknęłam się.

10

- No to co? - nie spodobało mu się. Sytuacja, a pewnie też i moja durna osoba. - Świat miejscami jest piękny - dodał, kiedy już straciłam nadzieję, że coś powie.

- No! - przytaknęłam skwapliwie.

- Co nie znaczy, że przyrodoterapia na siłę jest przyjemna - powiedział gniewnie. - A z was raczej turystyczna rodzinka, co? - zabrzmiało to też pogardliwie.

- A! - machnęłam ręką - zwłaszcza Wan... to jest babcia i tata to kochają, a reszta musi - dotychczas i ja to lubiłam, ale nagle stwierdziłam, że nie. - Wiesz, chodzę głównie dlatego, że byłam kiedyś

wąfla i lekarz mi też kazał...

- Co za „też”?-spytał ostro, zupełnie innym tonem.

- Przecież,, przecież powiedziałaś coś o leczeniu przyrodą... chyba że źle zrozumiałam, to przepraszam.

- Dobra, dobra - mruknął. I milczał popatrując w niebo. Nie wytrzymałam i znowu otworzyłam usta:

- Wiesz, co to jest pępek węża? Widziałeś kiedy pępek węża?-powtórzyłam, bo popatrzył na mnie mało przytomnie.

- Pępek węża? - zdziwił się. Prawidłowo. Wszyscy się dziwią.

- To ja.

- Co ty? - nie zrozumiał.

- No, jestem pępkiem węża! - zaśmiałam się. - Turystycznego, rodzinnego. Wiesz, taki się czasem formuje rząddek pod górkę. Głowa węża: tata, szyja: babcia Wandu... Wanda, bo to ona pcha rodzinę wzwyż i w dal. Pierś węża to mama, bo głównie zajmuje się karmieniem. Pępek to ja, a ogon: reszta. Czyli mój brat Dominik, kuzyn Januszek czy kto tam jeszcze z nami idzie. Dominik się buntuje i woła, że jest jadem węża, nie ogonem, ale nic mu to nie pomaga. Na początku został ogonem według wzrostu oraz wieku i już!-klepałam szybko. Poczułam, że się czerwienię. Takie to wszystko dziecinne. I wcale nie musi go interesować. - Tak się kiedyś przezwaliliśmy, sapiąc pod jakąś górkę w dzieciństwie... - dodałam zamierającym tonem.

- Fajne - powiedział po okropnie długiej chwili, nie odrywając oczu od kałuży. - Moim nigdy nie przyszłoby to do głowy. Oni się tylko poświęcają. Może zauważyłaś, jakie mają miny.

11

- Aha, zauważyłam - kiwnęłam głową. Niechby ten deszcz padał wiecznie! Rzadko się tak z kimś rozmawia. - Mam na imię Renata - powiedziałam prędko, bo wyrzwał na ulicę. - A ty?

- Rafał.

- O, też na „R”!-ucieszyłam się.

- Bywa - mruknął. - Re i Ra - dodał.

Ucieszyłam się jeszcze bardziej. To już coś! Nie miałam pojęcia, jak dalej ciągnąć rozmowę, zamurowało mnie.

- Hej!-usłyszałam tymczasem i już go nie było. Przestało padać. Nawet się nie obejrzał.

- Obserwowaliśmy was - zarechotał za to ten wstrętny Dominik. Sień przy księgarni była rzeczywiście dokładnie naprzeciwko.

- No to co? - wzruszyłam ramionami. - Co takiego ciekawego zobaczyliście? Rafała? - powiedziałam jak o starym znajomym.

- To on Rafał, aha - kiwnął głową Januszek.

- I co z tego? - byłam coraz bardziej wściekła.

- Rafale, na skale wyglądasz wspaniale!-zadeklamował Dominik wyprężając się na najwyższym schodku we wnęce. Nie zdążyłam go wamąć, bo zatkało mnie pytanie Wanduli:

- Umówiliście się tutaj? W Polanicy? - zabrzmiało to podejrzliwie.

Wandula i taki brzydki ton? To coś zupełnie nowego! Omal się nie rozryczałam.

- O, tak, już rok temu, korespondencyjnie!-burknęłam gniewnie. Pierwszy raz tak niegrzecznie odezwałam się do niej. I nie badałam, jakie to sprawiło wrażenie, po prostu odwróciłam się plecami.

- Ciekawe, gdzie oni zdobyli nocleg? - usłyszałam po chwili jakby nigdy nic. - Myślę o waszym ojcu, on chyba niezbyt dobrze czuje się w tej gościnie, ciekawa więc jestem, czy schroniska PTTK są przepełnione... Nie rozmawialiście na ten temat?

- Nie.

Wracałam wściekła, milczałam przez cały wieczór, a rano wstałam nastroszona i czujna.

Denerwowały mnie nawet takie

12

niewinne zdanka, jak: „chyba się przejaśni do obiadu”, „poczekaj trochę, mleko za gorące” lub „kto rano wstaje, ten jest niewyspany”. Paplają byle co, nie można skupić się ani na moment i pomyśleć.

Wygłupiłam się chyba w tej wnęce niesamowicie. Rafał nie okazał przecież większego zainteresowania niż pluskiem deszczu w kałuży. To jasne. Zniknął na zawsze i zapomni o mnie, o głupiej szarej gęsi, grzecznutko tuptającej za rodzicami po górach i dolinach. Jakies krótkie „Re i Ra”-to nic! I dlaczego wczoraj wydawało mi się to takie wspaniałe i ważne? Cenne? A tymczasem nic się nie wydarzyło. Nic nie było. Nie ma. Tylko rodzinka w komplecie, jakaś brzydsza niż zwykle. Sztucznie uśmiechnięta. Nie różniąca się niczym od równie sztywno wesolutkiej rodziny maminej przyjaciółki.

Według nas - zwłaszcza Januszka - lało beznadziejnie, ale tata orzekł, że się właśnie przejaśnia, i nie pomogły żadne namowy gospodyni i jej pełne zawodu okrzyki, że przecież mieliśmy zostać do jutra, że obie z mamą nie zdążyły się sobą nacieszyć po latach niewidzenia itepe - wymaszerowaliśmy z jej domu zaraz po dosyć wczesnym śniadaniu. Mama rozmawiała z przyjaciółką w kuchni prawie przez całą noc (prawdę mówiąc, nie miały na czym się położyć) i była porządnie zmęczona, ale nie mrugnęła nawet zaczerwienionym okiem, poszła za tatą. On jest na ogół łagodny, ale mama wie, kiedy przestaje być. Wlekleśmy się więc w deszczu, naprzód, do celu, ja coraz bardziej wściekła, Wandula coraz głośniejsze śpiewająca „choć burza huczy wkoło nas”, chłopcy coraz bardziej zmęczeni. Na początku próbowali mi dokuczać (Dominik z tyłu: „gdzieżeś, Rafale?”, a Januszek z boku: „na innej już skale” oraz równie idiotycznie), ale koło południa-załamali się całkowicie. Tata gnał na czele, jak na głowę węża przystało, i wcale się na resztę nie oglądał.

Guzik pamiętam z Gór Orlickich, poza deszczem ponurymi myślami o własnej głupocie i brzydocie. I ogólnym rozczarowaniem rodziną.

Słońce zajaśniało dopiero w Międzyzlesiu. Niezupełnie dosłownie, bo było szaro i dosyć mglisto, ale nagle z tej mgły wyłonił się

13

pod kioskiem z gazetami nie kto inny, tylko właśnie... Rafał. Dominik pierwszy go zauważył i popatrzył na mnie dziwnie. Może też uwierzył, jak Wandula, że się umawiamy na randki tu i tam? A ja uwierzyłam w Przeznaczenie.

- Znowu? - zdziwił się Rafał. Może nawet skrzywił, nie dojrzałam z wrażenia.

- Stąd też zaraz jedzicie dalej?-spytałam przełykając ślinę.

- Na razie nie. Tu starzy mają chałupę - powiedział. - A wy? - raczył spytać.

- Nie wiem... dopiero przyszliśmy. Pewnie zanocujemy w jakimś schronisku młodzieżowym i jutro dalej - westchnęłam.

Ale szczęście mi dopisało. Mama była tak zmęczona i śpiąca, że zbuntowała się i spędziliśmy w Międzyzlesiu dwie noce. I dzień, zaoszczędzony w Polarficy. Tata się poddał. I wszyscy byli zadowoleni, on chyba też, bo po ostatniej kolacji podśpiewywał pod nosem i zagrał z nami w ringo na jakiejś trawce nad strumieniem. W pewnym momencie zorientowaliśmy się, że ktoś nam się przygląda: to byli rodzice Rafała. I on z nimi. Ukłonili nam się jako przelotnym znajomym z trasy. Tata odkłonił się. Zamienili kilka słów o pogodzie, Sudetach w ogóle, Międzyzlesiu w szczególności, znów ukłony-i poszli do tej swojej wytwornej chałupy, Rafał raz się obejrzał. I tyle go w tym podarowanym dniu widziałam, chociaż nieźle się naspacerowałam z chłopakami po okolicy, gdy rodzice odpoczywali. Ale i tak byłam zadowolona. I o wiele miłsza dla rodziny. Nie zwymyślałam Dominiczka ani razu, chociaż w drodze powrotnej do schroniska puszczał aluzje, że niektóre zakątki w tej okolicy można by ochrzcić jako Rafało-we.

- Rafałowy Gron, na przykład! Polanka Rafałowa!-zwracał się przy tym do Januszka, zerkając na tatę, czy słyszy.

- Tak, tak - kiwał głową Januszek. - Albo tę ścieżkę: Alejka za Zakrętem Rafała! Hi, hi!-jemu spodobało się to najbardziej. - Gdzie Rafały mają zakręty?

- Idźże, idźże, dowcipny się znalazł! - powiedziałam tylko, dosyć pogodnie. Czulałam, że jeszcze się spotkamy. Jeszcze jest szansa! Z Międzyzlesia ruszamy dopiero w południe albo i później.

14

Jeśli los zechciał już trzy razy nas zetknąć, zechce i czwarty. Bo coś w tym musi być.

- No proszę!-powiedziałam nazajutrz do Dominika i Januszka, wskazując dłonią Rafała

wychodzącego właśnie ze sklepu z siatą pełną pieczywa. - Umawiałam się z nim? Nie!

- Tylko co ci z tego? - Januszek uśmiechnął się złośliwie. - Widzisz, co niesiemy w rękach i na plecach? Bagaże! A dokąd? A na przystaneczek autobusowy, o, tam, niedaleczko!

- Właśnie!-zarechotał Dominik.

- No to co? - warknęłam. I zaraz pierwsza odezwałam się milutko, chociaż niby obojętnie:-Hej!-bo nie było wcale takie pewne, czy Rafał nas w ogóle zauważył, gdy tak pakował to swoje pieczywo na bagażnik roweru. Miałam wielką ochotę powiedzieć: „hej, Ra”, ale wstydziłam się przy chłopcach. I Rafała też.

- Hej - odpowiedział dosyć pogodnie. - Już wyjeżdżacie?

- Tak. Właśnie.

- To wesolej podróży! - przerzucił nogę przez ramię.

- Dziękujemy! Aha, wiesz co, Rafał? Mam do ciebie prośbę - zauważyłam kątem oka, jak Dominik trącił Januszka w bok porozumiewawczo. - Zbieram widokówki z ratuszami... i hotelami. Czy mógłbyś mi przysłać coś z Poznania?

- Może mógłbym - kiwnął głową. I wyciągnął rękę:-Daj adres.

- Od kiedy... - zdębiał Dominik, ale uciszyłam go kopniakiem. Szybko wyciągnęłam z kieszeni przygotowany już, prawdę mówiąc, kawałek papieru.

- „Renata Miś” - przeczytał Rafał półgłosem. I uśmiechnął się:-Hecnie, bo ja jestem Niedźwiecki. Wprawdzie przez c”

- Pośpieszcie się!-zawołała mama, już z przystanku, a Wandula postukała palcem w zegarek.

- To cześć! —powiedziałam trochę drżącym głosem. - Czekam na widokówkę.

Rafał tylko kiwnął głową i odjechał. Nie obejrzałam się. Za to Januszek przyglądał się przez chwilę jego plecami i zarechotał złośliwie:

15

- Już ja widzę tę widokówkę z Poznania do Renaty Miś! A ty pewnie zaraz zaczniesz się na zeszytach podpisywać Miś--Niedźwiecka, co?

- Też! - prychnęłam. Ale czułam, że to jakiś znak. Przeznaczenie.

2

I co? I nic. Ale przecucie, że spotkam jeszcze Rafała, sprawdziło się. Chociaż widokówka nie nadeszła. Nie mówiąc o liście. A czekałam! Pamiętnik z tamtego okresu to same westchnienia i wielokropki. I trochę uwag o życiu. Że jest piękne, ale chwilami niełatwe. A ludzie mają czasami po kilka twarzy, zależnie od sytuacji. I inne podobne mądrości. Napisałam siedem wierszy, jedno opowiadanie bardzo krótkie, drugie dłuższe oraz sztukę teatralną. Albo filmową, wszystko jedno. Nikt na razie tego nie czytał. Pierwszy miał być Rafał. Trudno, podrę to kiedyś, robiąc porządki w szufladzie.

Napisałam też, niestety, trzy listy Rafała do mnie. Tak. Na odczepne dla Elki Brodackiej i innych ciekawskich. Ze dwa tygodnie, dzień w dzień, ćwiczyłam w kącie na brudno inny charakter pisma, a potem musiałam zainteresować się pieczętkami pocztowymi. Jak się powiedziało „a”, to trzeba brnąć dalej. Elka po prostu miała minę bardzo podejrzliwą, kiedy pokazałam jej pierwszy list.

- A koperta? - spytała.

- Zaraz... gdzieś tu musi być - zaczęłam grzebać w szufladzie, potem dałam nura pod biurko. - Nie widzę, może już została wymieciona.

- Aha!

- Coś ci się nie podoba? Nie wierzysz mi? - zaatakowałam. Czułam, że jestem czerwona jak burak. - A może zbierasz znaczki?

- Nie wrzeszcz! Nic takiego nie powiedziałam. Aleś się nadeła - roześ .uała się szeroko ta moja najlepsza szkolna koleżanka.

- Pokażę ci komplet następnym razem - warknęłam. - O ile

16

będzie następny raz! Bo sama widzisz, że on dosyć głądzi - zrobiłam pogardliwy gest w kierunku listu.-Nie chce mi się odpisywać na wszystko po kolei.

- Odpisz na wrywki. Przynajmniej jednego korespondenta warto mieć - znowu się roześmiała. Poszła, a ja głowiłam się, co też miała na myśli. Litowała się może nade mną, że nie mam nikogo na stałe? Grześka przecież nie wliczała, przynajmniej ona jedna w klasie nie dokuczała mi sąsiadem zaprzyjaźnionym od piaskownicy. Wie, jak z nami jest. Ale nie protestowała, mała, kiedy inne dziewczyny, z Anetą na czele, wymyślały nam od narzeczonych! Tak, wiem doskonale, że nawet korespondencyjnej przyjaciółki nie mam. Nacięłam - się kilka razy w dzieciństwie i już nie szukam. Przeżyję to. Poradzę sobie w życiu sama.

Bojowo to brzmi, ale chwilami smutno się robi, gdy tak pusto dokoła. Myślę, że także i dlatego napisałam te nieszczęsne listy. Najadłam się wstydu po same uszy! Ale najpierw miałam z nimi kłopot z powodu kopert. Przeszukałam kilka razy całe mieszkanie, lecz nie znalazłam ani jednej z poznańską pieczętką. Trudno, trzeba było podrobić. Tuszem albo pisakiem. Zupełnie nie miałam wprawy i kosztowało mnie to cały miesiąc. A wyszło tak, że wolałam ukradkiem wsiąść w autobus do Ponikwi i tam na poczcie wrzucić listy do skrzynki. Wróciłam zaraz następnym autobusem, z duszą na ramieniu, czy ktoś zauważył moją nieobecność u Elki na imieninach - to znaczy, na rzekomych imieninach, o których solenizantka nic nie wiedziała. Za tydzień byłam u niej na prawdziwych, ale powiedziałam w domu, że to zaległe urodziny. Uff, ile to się człowiek namorduje, jak już zacznie bujać! A pieczętkę z Ponikwi i tak musiałam trochę przerobić, ale efekt był dużo lepszy, Elka nie zorientowała się. Była wyraźnie rozczarowana, kiedy wreszcie pokazałam jej aż trzy koperty - „moja” uszła w tłoku między dwiema przyniesionymi przez listonosza. Tyle że z kolei musiałam czatować na niego przez całe dni, aby rodzinka nie przechwyciła, bo znów trzeba by wymyślać jakąś zamiejscową koleżankę. Kołowrotek! Udało mi się skończyć z „listami Rf\$”: d/^połowy października, bo dziewczyny mi

/>>•" 'i; ¶

2 Pępekwcit? T"- »|

17

r 1 /.

uwierzyły. Przestały dokuczać, a zaczęły zazdrościć, więc starannie pomijały milczeniem moje sercowe sukcesy. Miałam spokój i mogłam cicho cierpieć, dwa lub trzy razy w tygodniu przed zaśnięciem. Na więcej nie było po prostu czasu, tyle innych zmartwień zważyło się na mnie tamtej jesieni.

Wyliczyć? Proszę bardzo: niespodziewany konflikt z geograf-ką, wojna z Anetą, masa głupich nieporozumień między starymi i młodymi Misiami, początek maminej choroby, kuzynka Mirka, Panna Magister, utrata zaufania wychowawczynie, przypadkowe otrucie Gniotą, grypa nie w porę, fatalna wizyta u ciocibabci Kingi Klary... Co jeszcze? Na pewno o czymś zapomniałam, było tego dużo więcej. O wiele za dużo jak na jedną wątłą Renatkę! Z wielkim trudem dowlokłam się do ferii zimowych, też niezbyt udanych. I myślałby kto, że „byle do wiosny”. Akurat! Była to Wiosna Rafała, jakby powiedział Dominik. Na szczęście nic nie mówił. Dotarło może do niego, że cierpię. Właśnie - jakoś mniej wojowałam z bratem. Przynajmniej od tej strony lekkie przejaśnienia.

Każdą z tych życiowych klęsk można opisać w osobnym tomie, ale chyba jeszcze ich dokładnie nie przeanalizowałam, dopiero teraz chcę to zrobić, więc najprościej będzie przypominać sobie wszystko po kolei, jak leciało. Jedno już wiem: Rafał przewijał się przez wszystkie wątki tylko do początku zimy. Potem jakby mi przeszło. Straciłam ostatecznie nadzieję na znak od niego. Trudno żyć tylko wspomnieniami. I pewnego dnia zauważyłam, że jednak naciągam nieco te moje sercowe cierpienia. Zaraz mi ulżyło. Najważniejsze, to być w zgodzie z samym sobą, nie kłamać wewnątrz - tak mówi Wandula. Po tym roku zmadrzałam chyba trochę.

A jeszcze w sierpniu byłam przekonana, że jako „pępek węża” rodziny Misiów jestem jej najważniejszym, najmądrzejszym członkiem. Najlepiej wiem, co jest dla mnie i dla innych dobre, nie wolno mnie krytykować albo dyrygować mną, ja natomiast powinnam wtrącać się do wszystkiego. Dlatego byłam taka oburzona, że nie spytano mnie o zdanie w sprawie kuzynki Mirki. Po prostu któregoś dnia po zniwach z furgonetki stryjka Misia

18

wysiadła za naszym tatą, opalonym na zupełnego Araba, też ciemna jak czekoladka kuzynka, mało nam znana do tej pory. Z walizką w ręce. I miałam z nią dzielić pokój. Na razić do końca wakacji,

bo dziewczę powinno oswoić się trochę z nami i z dużym miastem, zanim przyjedzie tu na dalszą naukę. Ma zdawać w maju do liceum plastycznego. Czyli sublokatorka na pięć lat, o ile zda. Na razie przywiozła swój dorobek do oceny, bo może w ogóle nie warto startować? Zły humor nie przeszkodził mi stwierdzić, że niektóre jej prace bardzo mi się spodobały, choć nie powtarzałam jej tego za często. W ogóle prawie wcale z nią nie rozmawiałam przez pierwsze dni jej pobytu w Krakowie. A i ona nie była elokwentna. Rozczarowała mnie, nie tak wyobrażałam sobie artystów. Gdyby nie była taka ładna, nie zauważałoby się jej obecności. To mnie dodatkowo rozzłościło i powiedziałam rodzinie, co o całej sprawie myślę.

- Uspokój się - skwitowała mama marszcząc brwi. Wandula, która właśnie jadła u nas kolację, już wzięła wdech do dłuższego komentarza, ale tata okazał się szybszy.

- Jej dziadek pomagał mi finansowo, kiedy przyjechałem tutaj do szkoły średniej, i teraz nadeszła pora, żeby się odwdzińczyć - stwierdził spokojnie, ale przez zęby. - Nie ma o czym dyskutować!

- Fajnie nam będzie tak we trójkę z Dominikiem - wyrwało mi się.

- Dla Dominika wydzielimy kąę w sypialni - powiedziała mama. - Jest dużo większa od waszego pokoiku.

- Niby tak - wyrwało się z kolei skwaszonemu Dominikowi.

- Kompletny Spitsbergen - powiedzieliśmy sobie potem, już na podwórku. Koniec nocnych pogaduszek o wszystkim, opowiadania filmów, książek, snucia planów. Po ciemku nieletni braciszek wydawał mi się mądrzejszy, żałowałam, że się rozstajemy. Oczywiście, zaraz zdusiłam w sobie te żale, niech smarkacz zna swoje miejsce.

- Coście tacy zgoździali? - zainteresował się Grzesiek dłubiący przy rowerze. - Co się stało?

- Zagęściło nam się mieszkanie - odpowiedziałam. - Na razie

2*

19

do jesieni, ale potem lichy wie, czy ona nie zechce na przykład studiować na ASP, co daje pięć lat plus sześć, w najlepszym przypadku.

- Zobaczysz, sprowadzi tu męża, dzieciaka i będzie czekała na swoje mieszkanie dalsze dziesięć - dodał Dominik dorosłym tonem, zupełnie jak nasza właścicielka Krausowa, która każdego nowego lokatora swojej mini-kamienicy widzi co najmniej potrójnie.

- Mówicie o tej pięknej brunecie? - upewnił się Grzesiek. - Zostaje? - zainteresował się.

- Też uważasz ją za piękną? - spytałam z przekąsem.

- A ty nie?

- No, owszem... Co z dalszym ciągiem twoich wakacji? - zmieniłam temat. W lipcu był na kolonii we Władysławowie.

- Rysuje się dosyć mgliście - westchnął. - Miałem jechać z jednym takim pod Żywiec, popływać po zalewie, ale jego starzy się rozmyślili.

- Jadą gdzie indziej?

- Nie. Jadą beze mnie - wyjaśnił.

- To połącz z nami! - zaproponował skwapliwie Dominik. - Tata na pewno się zgodzi, no i on się nie rozmyśla.

- Właśnie - przytaknęłam. Pomyślałam co prawda, że Mirkę tata też zmusi do rodzinnej turystyki i Grzesiek wpadnie, co mi się jakoś nie spodobało, chociaż to tylko mój najlepszy kolega z podwórka, a nie na przykład Rafał... Ale nie mogłam nie poprzeć Dominika.

- Zobaczą-zastanowił się Grzesiek. - Może rzeczywiście pójdę z wami.

- Cii, idzie! - syknął Dominik. Mirka wyszła na podwórko rozglądając się po kąatach.

- To co? Przecież nie o niej mowa - mruknęłam. Nie ruszyłam się z miejsca, nie podskoczyłam radośnie do kuzynki. A ona też nami się nie przejęła, powoli wyszła na ulicę i stała przez chwilę na chodniku, patrząc to w prawo, to w lewo.

- No, gotowe! - sapnął Grzesiek. Wrzucił klucze do bagażnika i pojechał. Wydało mi się, że mijając Mirkę jakoś specjalnie się

20

wyprostował i mocniej nacisnął pedały. Ostro wypadł na jezdnię.

- Do kitu z takimi wakacjami - wyrwało mi się.

- No! Jego stara mogłaby też coś wymyślić - powiedział Dominik obserwujący odjazd sąsiada. Myślał, że ja o nim. - Stary zafundował mu kolonię. A ona nic. Pojechała za granicę.

- Przecież w celach naukowych, na jakiś kongres - stwierdziłam. - Na ogół dba o jego rozrywki.

- E tam! - skrzywił się Dominik i też gdzieś się ulotnił. Posiedziałam na dechach w rogu podwórza do zmierzchu,

rozmyślając o tym i owym. Nie chciałabym nigdy mieć takiej swobody w dwóch domach, jak Grzesiek. Matka, zajęta pracą naukową i karierą, prawie go nie zauważa i w sumie na wszystko pozwala, a macocha rozpieszcza, bo ma po prostu dobre serce i żal jej chłopaka. Ojciec głównie poucza, kiedy nie pracuje naukowo, ale też mu nie dokucza za bardzo. Musi dogonić w karierze swoją byłą żonę. To nawet takie dzieci, jak Dominik i ja, dobrze widzimy. Nie przepadam za panem doktorem Królikowskim, pani docent Piłko-Królikowska jest sympatyczniejsza. Ale ją rzadziej się widuje w okolicach domu. Zwłaszcza odkąd przeprowadziła się o ulicę dalej, do bloku. Uważam, że mają szczęście ci byli państwo Królikowscy, że trafił im się właśnie Grzesiek. Inny chłopak przy takim trybie życia rodzinnego dawno by się wykoleił (co podkreśla Wandula, a ja się z nią zgadzam).

Obserwowałam powracającą Mirkę, która zawahała się na środku podwórka: podejdzie do mnie, czy nie, ale nie zdążyła się zdecydować, bo z sieni wypadł Gniot i zaczął ją obwachiwać przyjaźnie. Za nim wyszedł jego pan. Też zyczliwie uśmiechnął się do Mirki. Przypuszczam, że tata musiał pochwalić się artystą malarzem na strychu naszego domu i wtedy krewni Misiowie wpadli na pomysł podesłania nam Mirki. Wiadomo, zawsze lepiej mieć jakieś znajomości.

- Dodzwoniłem się już do profesora, o którym opowiadałem twojemu wujkowi - usłyszałam, jak pan Gajda mówi do Mirki--kandydatki. - W najbliższych dniach obejrzy twoją tekę. Mnie się to wszystko dosyć podoba.

21

Mirka kiwnęła głową, jakby to rozumiało się samo przez się, i czekałam, że odpowie coś w tym stylu albo zgoła będzie dumnie milczała, ale usłyszałam tylko uprzejme „dziękuję”. Po czym przyszła artystka oddaliła się wolno do domu, a pan Gajda zagwizdał na Gniotę skaczącego z kolei koło mnie. Zdjęłam brudny but z deski, którą huštałam niedbale - w końcu pan Gajda chyba chce z tego zrobić wystrój wnętrza swojej ciągle powiększanej pracowni-i uśmiechnęłam się towarzysko.

- Nudno, co? - zagadnął malarz.

- Aha! - odpowiedziałam.

- Nie martw się, niedługo szkoła - pocieszył mnie ten pracowity człowiek.

- Cha, cha, cha! - zaśmiałam się ponuro. Aż się Gniot zdziwił i krótko szczeknął. Pokazałam mu język. Bardzo sympatyczny jamnik skrzyżowany z pudlem. Do jego pana już nie musiałam robić min, bo wyszedł z podwórza. Nigdy nie wiem, kiedy on żartuje, a kiedy mówi serio. Chyba że przekazuje takie komunikaty, jak Mirce o znajomym profesorze.

Miło, gdy rodzinie dobrze się wszystko układa, ale nagle pomyślałam ze złością, że jakaś obca Mirka, ledwie przyjechała ze wsi, już nie musi się o nic martwić, a taki na przykład Jarek, czołowy rysownik szkolnych gazetek, może wcale nie wystartować, bo się będzie bał, że nie da rady, tylko dlatego że jego ojciec jest grabarzem na cmentarzu Rakowickim i nie ma znajomości. Jarek jest nieśmiały. Pomogę mu. Tata pokazał, jak. Pójdę po prostu do pana Gajdy, kiedy już będziemy przechodzić do ósmej klasy. Zrobię to!

Zaskoczyło mnie to postanowienie, przyznaję. Dawno nie myślałam o żadnym bliźnim w ten sposób. I właściwie Jarek wcale mnie nie obchodzi. Ale sprawiedliwość musi być. Popatrzyłam na rozczesującą włosy Mirkę trochę z góry, chociaż ona jest wyższa, a ja w dodatku już leżałam w łóżku, i spytałam łaskawie:

- I co, podoba ci się nasza dzielnica?

- Owszem-odpowiedziała powoli. Ona się nigdy nie spieszy! - Macie blisko do szkoły.

22

Tylko tyle zauważyła? A cichy i nieustający konkurs hodowli kwiatów w większości ogródków

przy naszej ulicy? A piękne dwa modrzewie na ostatniej działce, oplecione bluszczem? Jarek ciągle je rysuje. A wąska Białucha z wysokimi zielonymi brzegami? A kolorowa harcówka z ustawionymi wokół drewnianymi rzeźbami--pryzmami do zwisania i huśtania? A basen pod „Polfa”? No, do basenu może nie dotarła, za szybko wróciła. Zauważyła tylko szkołę! Gania do swojej pięć kilometrów w jedną stronę, czy co? Może ta cała zieleń nasze) dzielnicy rzeczywiście nie robi na niej wrażenia, wołałaby pewnie pomieszkać w samym środku miasta, w cuchnącej starej kamienicy, z podobnymi dookoła, że słońca nie widać? Ja tam jestem z moich stron zadowolona. Nie muszę mieszkać przy Rynku lub pod Wawelem, jak ciociababcia Kinga Klara, traktująca nas jak mieszkańców dalekich peryferii, chociaż to też dzielnica Śródmieście.

Tak, na pewno pomogę Jarkowi! Zadowolona z siebie powiedziałam „dobranoc” najmilej, jak umiałam. I najlaskawiej.

3

Tak jak przypuszczałam, tata nie pozwolił Mirce na wymigiwanie się od rodzinnego turystycznego obowiązku. Snuliśmy się, z Grześkiem na dodatek, po Górach Świętokrzyskich i okolicy przez cztery dni. Tata zaoszczędził dzień urlopu i dodał go do normalnego weekendu, dlatego mógł być z nami. Zrobiliśmy sobie kilka zdjęć wzmocnionego węża rodzinnego na gołoborzu pod Łysicą, a Mirkę uwieczniono dodatkowo solo. Uczesła się w warkocz upięty dokoła głowy, co bardzo się tacie spodobało, usiadła też na głazie jakoś tak zgrabnie, że powiedział:

- Oto korona węża! - uśmiechając się bardziej miękko niż zwykle.
- Może mu przypomina kogoś z dzieciństwa - mruknęłam do równie zagapionego Grześka, a Dominik syknął:
- Dla mnie to ona jest węża kupka, co najwyżej! Ze wsi, a

23

zupełnie nie interesuje się przyrodą. Nie patrzy na krajobraz, tylko pod nogi. I nudniejsza od Januszka. On przynajmniej głądził i można się było złościć. A ona wykonuje posłusznie wszystkie polecenia, dźwiga chętnie, co trzeba, a odzywa się tylko, kiedy musi.

- Nie lubisz jej?-zdziwił się Grzesiek.
- A za co mam ją lubić?
- Patrz, Domciu, mamy szczęście do długowłosych na skałach - zdobyłam się na żart. Szeptem i właściwie smutno.
- Rzeczywiście! - popatrzył jeszcze raz na Mirkę, skrzywił się i przypomniał mi dosyć łagodnie jak na niego:- Tyle razy prosiłem, żebyś nie nazywała mnie Domciem!
- Znowu się kłócicie? - zmartwiła się mama z połowy gołoborza.
- Nie! - odpowiedzieliśmy chórem, bo i Grzesiek się przyłączył.
- - Posłuchajcie! - przekrzyczała wszystkich Wandula. Rozłożyła na kolanach swój starożytny przewodnik i przedwojennym tonem zaczęła odczytywać legendy związane z tym miejscem. Uwielbia to robić. Chyba od czasu kiedy musiała mi co wieczór czytać bajki, bo chorowałam i chorowałam w dzieciństwie. Ma przyjemny głos, ale zauważyłam ostatnio, że za bardzo lubi odczytywać głośno wszelkie pisemne informacje na trasie. Tablice, drogowskazy, „zaraz wracam” na kiosku... I to mnie denerwuje, nie wiem, czemu. Na Świętej Katarzynie jest co poczytać pod schroniskiem, tłumek turystów za plecami, każdy raczej nieanalfabeta, a Wandula musi dojechać do końca pełnym głosem. Wyobrażam sobie, co myślą niektórzy z tych turystów. Pewnie najłagodniej wypada: „przeziła starsza pani” z kilkoma wykrzyknikami. Lub z wielokropkiem.
- Tru-tu-tu-tu!-tata też nie wytrzymał wszystkich legend, odtrąbił odwrót, kiedy Wandula przewracała jeszcze jedną kartkę. - Miło się tu siedzi, ale ustąpmy miejsca innym chętnym. Bo ładowała się na gołoborze wycieczka. Raczej męska, na oko studencka. I nie było takiego, który nie popatrzyłby wymownie w czarne oczy Mirki. Nawet ten najbrzydszy, mały, dziobaty, z

24

wystającą grdyką. Według nich nie było tu w okolicy innych kobiet... A kuzyneczka ma przecież dopiero czternaście lat. No, prawie piętnaście. A ja co? Dużo mniej? Prawie trzynaście! I za trzy lata nikt tak na mnie nie spojrzy, jak na nią w tej chwili! Zwłaszcza jeśli rzeczywiście będzie z nami mieszkała i chodziła ze mną tu i ówdzie... Dlatego byłoby dobrze, gdyby jednak Rafał odezwał się z

Poznania. Zawsze to ktoś tylko mój. Pierwsza nie mogę do niego napisać. Nie dlatego, żebym uważała, że to nie wypada - po prostu nie znam jego adresu. A pretekst zawsze by się wykombinowało... Sprawdziłam już w książce telefonicznej na pocztę - jest kilku Niedźwieckich czy Niedźwiedzkich w Poznaniu, ale nie będę przecież pisać po kolei pod każdy ad.es. A jeśli oni nie mają telefonu? Nie wyglądają na takich, którzy czegoś by nie mieli, ale z telefonami różnie bywa. My czekamy już prawie dziesięć lat.

Tak więc kuzynka zepsuła mi wycieczkę. Ze względu na Grześka nie robiłam min, udawałam dobry humor. Trzymałam się od niej jak najdalej i starałam się, żeby Grzesiek maszerował koło mnie, chociaż widziałam dobrze, że próbuje się do Mirki zbliżyć przy każdej okazji. Gdyby był śmielszy, toby mu się udało, ale dziwnie zgłupiał. Jak nie ten sam Grzesiek. Powoli zaczęłam się złościć także na niego. I deptałam mu po piętach na wszystkich postojach. Od przewytwornego Domu Wycieczkowego na Świętej Katarzynie.

W kuchni na kolację mogli przyrządzić albo jajecznicę, albo fasolkę „po brutalsku”, jak mówi Wandula, więc spożyliśmy raczej mamine kanapki przy stoliku z widokiem na nieczynny malowniczy kominek. Mirka wyglądała na jego tle bardzo korzystnie, ale zupełnie jej to nie interesowało (chyba że udawała). Gapili się na nią wszyscy obecni tam turyści. Grzesiek zauważył to wreszcie i od wieczora jej pilnował. A ja jego. Mirka do toalety - ja też do toalety, a Grzesiek udaje, że przechodzi korytarzem. Mirka na chwilę na zewnątrz, na świeże powietrze-Grzesiek za nią, ciągnąc Dominika. I ja. Dwóch zagadało do niej, po kolei, w odstępach kilku kroków. Nie zareagowała nawet uśmiechem. I wołała zawrócić. No, to znowu spacer po korytarzach.

25

I raptem serce wskoczyło mi do gardła... Loki takie same, na przegubie dłoni podpierającej głowę taki sam łańcuszek... Więcej od tyłu nie widziałam, fotele są tam we wnękach korytarza głębokie. W błyskawicznym tempie przeleciał mi przed oczami cały kolorowy film ze Szczelińca, Polanicy i Międzyzlesia... I taśma z dźwiękiem, oczy wiście - pamiętałam doskonale każde słowo Rafała. I moje... Aż mi kolana zmiękły i musiałam usiąść na ławeczce pod ścianą. Wbiłam oczy w tę rudawokasztanową głowę i szczypałam się po przedramieniu, żeby sprawdzić, czy to nie sen. Nie miałam odwagi przejść obok tamtego fotela. Siedziałam i siedziałam, co mi tam Mirka i Grzesiek, to za piękne, aby było prawdziwe!

Rzeczywiście - za piękne. Z fotela po dłuższej chwili wstała leniwie szczupła dziewczyna. Z twarzy zupełnie niepodobna. I przede wszystkim bardzo wysoka. Powlokłam się do naszej sali i już więcej nie wychodziłam. Dlaczego to się tak właśnie potoczyło? Dlaczego wszyscy mają kogoś bliżej, nawet Grześkowi Mirka spadła z nieba na to samo piętorko u pani Krausowej-a ja? Rozczuliłam się nad sobą, aż mama zapytała zaniepokojona, skąd mam taki katar. I czy nie czuję gorączki lub dreszczy? (W sąsiedniej sali jakieś dziecko zachorowało tego wieczora. Wandula podgadywała przez chwilę z jego matką).

- E tam, taki lekki katarek - mruknęłam niewyraźnie w poduszkę.

- Musiało ją trochę przewiać na gołoborzu - powiedziała z troską Wandula i już spuszczała nogi z pryczy. - Dam jej aspirynę na wszelki wypadek.

- Po co? - protestowałam, ale zażyłam, żeby mieć święty spokój.

Zabawiliśmy - o ile można to tak nazwać - w tym wytwornym schronisku dwie noce, zwiedzając, co się dało ze Świętej Katarzyny na północ, południe, wschód i zachód. Mnie najbardziej z tego wszystkiego utkwiły w pamięci wyszczerzone zęby trupa kniazia Jaremy Wiśniowieckiego, w dobrym stanie, na Świętym Krzyżu. Śniło mi się nawet potem, że odkopuje mnie po wiekach ekipa badaczy, a ja się tak samo świeżo uśmiecham, jak za życia.

26

Było to w szklanej grocie na górze Świętej Renowaty. Przeżywa mnie tak czasem Dominik, od kiedy wstałam w czwartej klasie z łoża po ciężkiej chorobie. Stąd się pewnie wzięła ta góra. A szklana grotka to może coś z Królewny Śnieżki, zamiast szklanej trumny? Tyle że nie było ani śladu księcia Rafała... Nigdy mi się nie śnił.

Potem szybko zaliczyliśmy różne dymarki czy inne urządzenia, pogłaskaliśmy sławnego Bartka po wiekowej korze, wstąpiliśmy też do dworku Sienkiewicza, gdzie głównie rozglądałam się przez

cały czas za dwoma zerami, bo nagle nie wiadomo dlaczego rozboleł mnie brzuch. Pórzywa dotarłam do Kostomłotów, gdzie tata miał znajomych z dawnych włóczęg, i spaliśmy bardzo wygodnie w przyzwoitych łózkach z pierzynami, choć to lato. To znaczy, spałyśmy, bo mężczyźni na sianie. Gospodarze nie chcieli nas puścić, ale nie dali rady tacie. I w jeszcze szybszym tempie pochłonęliśmy trasę przez Kielce, Chęciny i Jędrzejów do domu. Stwierdziłam, że Mirka wraca do miasta z ulgą. Nie lubi turystyki! Z satysfakcją myślałam, że czekają ją jeszcze bardzo liczne weekendy w plenerze i niejedna wyprawa wielodniowa, jeżeli dostanie się do liceum. Chyba że całkiem tatę zawojuje i uzyska zwolnienie. Nikomu na razie się to nie udało.

Może mamie się uda? Bo zauważyłam rzecz niezwykłą: mama też maszerowała tym razem bez cienia entuzjazmu. Górki wygodne jak w piaskownicy, nie to, co na przykład Sudety, a jednak wyglądała na bardziej zmęczoną niż w lipcu. Mama jest małomówna, dobrali się z tatą pod tym względem, ale bywa milczenie i milczenie, wiadomo. Wyraźnie zmuszała się do brania udziału w rodzinnych pogwarkach. Zaciskała usta! Dwa razy niecierpliwym gestem odpędziła od siebie gadaninę Wanduli. Tego jeszcze nie było! A za taki sam gest bardzo ostro mnie skrzyczała. Obraziłam się na pół dnia i w duchu cieszyłam się złośliwie z odkrycia, że ją te familijne wycieczki męczą. Niech się zbuntuje na trasie. Bo w domu to raczej tata mógłby się czasem zbuntować - zrobiłam to odkrycie właśnie dopiero teraz, w Kostomłotach. Nie zauważałam dotychczas różnicy w mamy zachowaniu „pod komendą taty” i „na swoim terytorium”, na

27

parkiecie mieszkania. Postanowiłam dokładniej przyjrzeć się temu zjawisku.

Na razie przyjrzała mi się uważniej Wandula, pod zamkiem w Chęcinach, kiedy ponuro patrzyłam, jak Grzesiek, Mirka i Dominik zbiegają po stoku między wątle brzoźki.

- Zazdrość to naprawdę męczące uczucie - zaskoczyła mnie przyciszając głos, żeby rodzice nie usłyszeli.-A ty wcale nie jesteś dużo brzydsza, tylko jeszcze dosyć smarkata w rysach twarzy.

Uśmiechaj się częściej. Nie masz pojęcia, jak to poprawia urodę.

- Jak będzie z czego, to się będę śmiała - burknęłam.

- Nie mówię o chichotach - powiedziała niezmiernie spokojna Wandula.-O uśmiechu na co dzień. Masz ładne zęby, wiesz? I dołeczek na lewym policzku.

Dlaczego musiała mi to uświadamiać rodzona babcia, a nie ktoś inny?

- Ja się o niczych brakach nie wypowiadałam!

- Przecież mówię o zaletach - zdziwiła się Wandula. -I wiesz, może dobrze byłoby obciąć włosy? Zaprowadzę cię do fryzjera.

- Dziękuję! Nie muszę wariować z powodu przyjazdu kogokolwiek!-głos mi się trząśł.

- Jak chcesz - Wandula zniecierpliwiła się lekko. - Posłuchaj jednak dobrej rady: nie ciesz się ani nie ubieraj tak samo, jak najładniejsza z twoich koleżanek, bo nikt na ciebie nie popatrzy. Twoja matka też tego nigdy nie umiała i chlipała po kątach. Miej własny styl.

- Dziękuję! - więcej nie wymruczałam. Mama zbliżała się do nas, a tata przywoływał machaniem rozbrykaną resztę „węża”. Musieliśmy już gnać dalej.

Własny styl Wanduli! Widziałam ją kiedyś na tle koleżanek na fotografii upamiętniającej którąś tam rocznicę matury: same wytworne babcie, obwieszone biżuterią, grubsze i cieńsze, w eleganckich sukienkach, tylko Wandula w spodniach, bluzce w kratę, kamizelce wełnianej oraz chyba w trampkach, nie dojrzałam wyraźnie. A w tyle bynajmniej nie Świnka czy nawet front

28

restauracji „Morskie Oko”, tylko wnętrze „Wierzynka”. Owszem, natychmiast rzucała się w oczy w tłumie.

Chciałam jej wtedy tę fotografię wypomnieć i odszczeknąć bardziej ostro, ale ze złości i żalu do świata i rodziny nic nie mogłam wydusić. A teraz co mam na krótko ostrzyżonej głowie? Lokówki. Aby wypracować ten „wicherek”, o który Wanduli chodzi. Jak człowiek spokojnie pomyśli, to niejednemu dorosłemu przyzna racje. Ale przedtem trzeba zebrać trochę własnych życiowych doświadczeń. Czyli dostać po nosie.

Na razie do końca sierpnia nosiłam nos wysoko. Elka Brodacka, która wróciła z Bułgarii, powiedziała nawet, że go bezwstydnie zadzieram. Do Anety to powiedziała, Kaśka słyszała i

doniosła Dominikowi. Ładnie -tak zwana najlepsza koleżanka zjawia się za moimi plecami z kimś, kto uchodzi w klasie za moją rywalkę. Że nie powiem: wroga. Jak dotąd tylko Grzesiek mnie nie rozczarował. To znaczy, nie zawiódł. Pomijając zainteresowanie Mirką. Bo nawet Dominiczek nie wytrzymał i wysypał mnie przed Elką właśnie. Tak długo krążyła i podchodziła, żeby tylko dowiedzieć się, dlaczego to ja tak rzekomo zadzieram nosa-aż jej się udało. Zaskoczyła Dominika w głupi sposób:

- Zaczekaj, Dominik! - zawołała go na ulicy koło szkoły. I powiedziała swobodnie: - Wiem od Renaty o wszystkim, ale zapomniałam, jak on-ma na imię, ten jej nadzwyczajny ukochany!

- Rafał - mruknął Dominik prawie się nie zatrzymując. Jechał na rowerze.

- O, właśnie, Rafał! Tak mi się zdawało! Teraz sobie dobrze przypominam - pokrzykiwała za nim, na pewno śmiejąc się w duchu. Streścił mi to dosyć dokładnie. A ja popukałam palcem w czoło.

- Ty baranie fujarowaty! Nic jej nie mówiłam. Może najwyżej uśmiechnęłam się znacząco, jak paplały z Kaśką o chłopakach.

- To się na drugi raz znacząco nie uśmiechaj! - zawołał. - Barana będzie potem z człowieka robić, owieczka nieszczęsna!

- Domciu!

29

- Renówko!

- Wojna domowa? - spytał Grzesiek. Wynosił śmieci Królikowskich do śmietnika, a my darliśmy się kolo trzepaka. To znaczy, że jego mama jeszcze nie wróciła, skoro mieszka u ojca. A miała już być w zeszłym tygodniu i pani Krausowa puszczała jakieś aluzje do sąsiadki z parteru, słyszałam na własne uszy. Że niby matka Grzeska nadaje się na żonę dla cudzoziemca i pewnie o tym pomyślała, skoro nie wróciła z kongresu.

- Ty się nigdy z Dorotką nie spierasz? - ochłonęłam trochę.

- O co? - zdziwił się. - Ma dopiero pięć lat.

- Pojedziesz z nami na pieczenie ziemniaków do Niepołomic? - zmienił temat Dominik. - Pojedź, pojedź!

- Aha, no tak, wasze tradycyjne ognisko. Wakacje się kończą-kiwnął głową, wygłaszając tę rewelację. - Pojadę, jak mnie weźniiecie.

- Co za ceregiele! Przecież właśnie cię zaprosiliśmy - prychnęłam.

- Dzięki, madame! - uklonił się nad kubłem. Widziałam wyraźnie, że ma ochotę spytać, czy Mirka też pojedzie, ale nie ułatwiałam mu sytuacji. Niech spyta sam. Piękna kuzynka będzie już wtedy u siebie w domu. Ciekawe, czy Grzesiek się rozmyśli. - Wszyscy jedzicie? - spytał jednak.

- Nie - odpowiedziałam tylko i na tym. zamierzałam sprawę zakończyć, przechodząc do innych tematów, ale tępawy Dominik znów popsuł mi szyki.

- Nie pojedzie tylko Henryczek, bo ma chore gardło, Mirka i, oczywiście, ciociababcia Kinga Klara - wyliczył radośnie. -A tak, to cała rodzinka w komplecie.

- Janusz też? - spytał Grzesiek, jakby kiedykolwiek przedtem interesował się Januszkiem. Mina mu się trochę wydłużyła, zauważyłam.

- Też - odpowiedziałam. - Więc na pewno pojedziesz?

- Pojadę - stwierdził.

Ale nie pojechał. Uśmiechnęłam się złośliwie, nie widząc go na miejscu zbiórki. Sprawa jasna. Ale Dominik zaraz mnie rozczarował:

30

- Piłko-Królikowska wróciła. Widziałem, jak Grzesiek wyrzuca śmieci pod blokiem.

- Pewnie wymyśliła dla niego inny weekend-powiedział tata.

- Muszą się sobą nacieszyć - uśmiechnęła się mama.

- Chodźmy, chodźmy! - zaczęłam poganiać - Bo Janu-szkowscy dojadą przed nami!

- A niedoczekanie! - postawiła się bojowo Wandula.

W tym dniu akurat rodzinka dosyć mi się podobała. Obyło się bez dąsów i zgrzytów. Ale był to jeden z nielicznych takich spokojnych dni u Misiów w ostatnich czasach.

4

Pocieszyłam Grzesia, że Mirka będzie przyjeżdżać do Krakowa dwa razy w miesiącu na konsultacje - a kto miał pocieszyć mnie? Aluzje Wanduli i Dominika do „pознаńskiego kudłacza” były raczej złośliwe. Mama, gdy to przypadkiem słyszała, nie brała mojej strony, a tata nic nie zauważał. Miałam więc naciąganą satysfakcję z pokazywania Elce podrobionych listów. I tyle.

A jak na złość podczas wakacji i zaraz po pierwszym dzwonku utworzyło się w naszej klasie tyle par, że rozglądałam się i przecierałam oczy: 'Istna epidemia! Smutnych wśród pojedynczych też nie było, bo każdy miał kogoś w innej klasie albo przynajmniej na podwórku czy w tej samej dzielnicy. Elka zaproponowała ze śmiechem żebyśmy przechrzcili się z VI-C „Cwanej” na VI-C „Sercową”, z rosyjska przez „c”, sercowaja. Na to oburzyła się Aneta i wymyśliła „Czułą”, żeby było po polsku. Padały jeszcze inne nazwy, ale w końcu nikt nie zrobił nowego nagłówka w gazecie. Luscia tylko narysowała cztery małe serduszka w rogach

No i jak w takiej atmosferze wyglądałabym bez Rafałowych listów? Czułam się rozgrzeszona. Pewnego pięknego deszczowego czwartku, pod koniec września, naplotłam Elce szczególnie dużo, byłam podniecona, rozgadana, rozchichotana i nie mogłam

31

się uspokoić, chociaż lekcja już dawno się zaczęła. Odwracałam się do Elki, mrugałyśmy i szeptałyśmy bezgłośnie po przekątnej klasy z rzędu do rzędu jakieś słowaraluzje, pisałyśmy karteczki... A tymczasem dookoła utrwalano wiadomości o podziałkach map i o różnych innych siatkach.

- Misiówna! - padło ostro od tablicy. - Popraw to, co Dołęga naknocił.

- Eee... - stanęłam. Nie miałam zielonego pojęcia, o co chodzi. A byłam dotąd pupilką geografki. Stałam głupio w ławce i mrugałam oczami.

- Podziałka...-dosłyszałam czyjś szept zza pleców, a z innej strony coś jakby „rodzaje” i wypaliłam: - Podziałka mapy pełni bardzo ważną funkcję. Od podziałki zależy treść mapy, czyli jej szczegóły...

Rozróżniamy trzy rodzaje podziałek: liczbową, liniową i... eee, podziałkę... -tu mnie dziwnie zatkało, nie mogłam sobie ani rusz przypomnieć nazwy podziałki, którą wyraźnie widziałam w myślach.-Oj, tę trzecią! - westchnęłam bezradnie.

- Ślicznie - geografka uciszała gestem tych, którzy się roześmieli.-Pięknie! Obserwowałam cię przez cały czaSj, Misiówna! - Normalnie byłam dla niej Renatką, czyli źle.-W ogóle odpowiedziałas nie na temat, do tego błędnie. Dwója! Śmieję się dalej, rozglądaj, wierć, proszę bardzo. Będiesz miała wspaniałe rezultaty naukowe w tym roku.

- Plum-plum! - mruknęłam. Kaśka zatkała dłonią usta i pochyliła się nad ławką.

- Proszę? Nie dosłyszałam! - geografka przekrzywiła głowę uchem do mnie.-Czy mi się zdawało...-Powiedziałam „przepraszam”-przerwałam jej prędko i usiadłam.

- Założmy. Wstań! Podejdz tu z zeszytem po zaszczytny autograf. Twoja sąsiadka też podejdzie. Rodzice podpiszą, że wiedzą, iż Katarzyna na lekcjach głównie chichocze - geografka wpadała w coraz większą złość i w klasie zapanowała martwa cisza.

32

Kaśka obraziła się na mnie. Pochlipała trochę nad wypisaną na ćwierć strony czerwoną uwagą, a potem na przerwach szeptała z Elką i z innymi, krzywo patrząc w moją stronę. Trochę mi było głupio, ale przecież to jeszcze nie tragedia! Kaśka ma na razie niewiele uwag. A geografka do następnej lekcji powinna się wysapać i wszystko wróci do normy. Bardziej bałam się rozprawy z rodzicami. Geografia! Ukochany przedmiot zwariowanych turystów!

- Ślicznie - tata zareagował tak, jak nauczycielka. - Ładnie zaczęłaś nowy rok szkolny. Brawo! - trzepnął zeszytem o stół. Już podpisał dwóję i uwagę.-I po co ja ciebie wlokę ze sobą na wycieczki? - Właśnie!-wyrwało mi się bezczelnie. Ale nie mogłam się powstrzymać. - Nigdy nie zapytałeś, czy to lubię.

- Renata - zdziwiła się mama z fotela, gdzie cerowała coś czy przyszywała, jednocześnie zerkając w telewizor-co to ma znaczyć? Co się z tobą dzieje?

- Nic - wzruszyłam ramionami. - Chyba jestem normalna!

- Renata! - powtórzyła mama dużo groźniej. - Proszę natychmiast przeprosić ojca! I ciesz się, że jest taki łagodny. Mogłaś gorzej trafić - być może w ten sposób rozładowała trochę wściekłość taty, który miał wyraźną chęć mi przyłać.

- Przepraszam - burknęłam. Porwałam zeszyt ze stołu i poszłam do swojego pokoju udając, że nie uciekam.

- Spróbujemy to wytrzymać - usłyszałam głos mamy. Spokojny, ale lekko westchnęła. - Rzadko które dziecko bez konfliktów przechodzi okres dojrzewania. I wyniki w nauce też się obniżają-

- Nie rozgrzeszaj jej tak łatwo, bo już żadnego wysiłku nie zechce jej się zrobić! - powiedział tata i coś tam dodał mniej wyraźnie, nie mogłam zrozumieć. - Nie może sobie bimbać! I robi się arogancka, nawet ordynarna, a tego to ja nie będę tolerować.

- Oczywiście, oczywiście - zgodziła się mama. „Naturalnie, naturalnie!-przedrzeźniałam ją w myśli.-Je-

3 Pępek węża

33

stem najgorsza pod słońcem..." - ale wcale nie jest przyjemnie, gdy się coś takiego o sobie słyszy, może więc dlatego na progu pokoju wrzasnęłam na Dominika, który sterczał przy oknie: - Nie masz innego kąta? Co mi tu przesiadujesz? Zwiewaj stąd, ale już!

- Powyglądać nie można? Co cię ugryzło? - miauknął.

- Wyglądaj sobie z sypialni!

- Wścieklica jedna!

- Szczeniak!

- Poczekaj, będziesz jeszcze chciała ze mną pogadać - odgrażał się wychodząc dumnym krokiem.

- Pa! - zamknęłam za nim drzwi. Złość powaliła mnie na łóżko i przeleżałam tak chyba z pół godziny, o niczym nie myśląc.

- Wyrzuc śmieci, twoja kolej w tym tygodniu - przypomniała mi sucho mama zaglądając do pokoju. Zjeżyłam się czekając na kazanie, ale nic więcej nie dodała. Wycofała się na razie.

Kiedy trzasnęłam kubłem o pojemniki, usłyszałam, że ktoś radośnie dopytuje się o pana Mariana Misia. Wyjrzałam - kawowy maluch pod bramą, wysuwa się z niego drobna brunetka. Ładna, modna, młoda. Uśmiechnięta. A jak przyknęła na chwilę usta, ułożyły się w trochę spłaszczone serduszko. Mocno wiśniowe. Pomyślałam z niechęcią: a ta czego tu chce? Ale nie miałam jeszcze żadnych czarnych przeczuć. Przeżywałam własne sprawy.

- Tak, tutaj mieszka-odpowiedziała pani Krausowa mierząc ją od stóp do głów, bez skrepowania i krytycznie. Akurat sama właścicielka musiała się nawinać! Już widziałam, jak obgaduje tę wizytę z sąsiadką z parteru. I z kim się da. - Pierwsze piętro, na lewo.

- Dziękuję! - serduszko znów się rozsunęło na boki. Trzask drzwiczek. Energiczne kroczi.

Zza rogu domu wyjrzeli zaintrygowani Dominik, Daniel i Grzesiek. Brunetka oczywiście nie zwróciła na nich uwagi. Za to stanęła jak wryta na widok pana Gajdy z Gniotem. Szli właśnie w poprzek podwórka od sterty desek, artysta dźwigał jedną pod pachą.

34

- Jacek? - zapytała brunetka z niedowierzaniem. - Coś podobnego! Jak się masz?

- Co za spotkanie! - pan Gajda rozpromienił się, o ile to można było dostrzec spoza brody. - Cieszę się!-i cmok tę panią w dłoń.

- Mieszkaś tutaj?-pytała zachwycona.

- Poniekąd. Czasami. Mam tu pracownię-wyjaśnił. Spostrzegł, że kilka osób, nie tylko nieletnich, przygląda im się ciekawie. Skrzywił się i dodał szybko: - Wstąp na strych, proszę cię bardzo.

- Jeśli zostanie mi trochę czasu - zagruchała. - Muszę załatwić jedną sprawę półslużbową z naszym technikiem.

Reszta rozmowy przepadła z nimi na schodach. Popatrzyłam na Dominika. Pokazał mi język. Ale poszedł dwa kroki za mną do domu, nie wytrzymał.

- Jakaś z „Polfy”- powiedział półgłosem pod drzwiami mieszkania.

- Tyle też wiem! - mruknęłam.

Mama w kuchni przygotowywała kawę, drzwi od stołowego były zamknięte. Wymieniliśmy z

Dominikiem zdziwione spojrzenia.

- Cicho, nie przeszkadzajcie - powiedziała mama. - Tata omawia z panią inżynier ważne sprawy.
- Chemiczne, aha!-kiwnął głową Dominik i na palcach przeszedł do sypialni.
- W pracy nie mogą?-skrzywiłam się.
- Renatko, robisz się naprawdę coraz mniej przyjemna-westchnęła mama. - Opanuj się! Ja też przecież byłam kiedyś w twoim wieku, rozumiem wszystko, ale wiem też i to, że można panować nad sobą... Podaj tamtą cukiernicę, z kwiatkiem... Dziękuję... Nie przypominam sobie, aby moja mama miała ze mną takie kłopoty, jak my z tobą od kilku tygodni. A właściwie miesięcy.
- Może Wandula pamięta - rzuciłam beztrząs, czyli też dosyć bezczelnie. I swobodnie wyszłam z kuchni.

Posłuchałam chwilę pod zamkniętymi drzwiami stołowe-

35

go-śmiali się, wątpię, czy służbowo. Ale zaraz potem tata wymienił bardzo długą i dziwną nazwę i to już była chemia. Pani inżynier dorzuciła drugą, krótszą.

- Hm!-zastanowił się głos taty. Wyczułam, że mama rusza z tacą z kuchni, zwałam więc do swojego pokoju.

Pani inżynier zasiedziała się trochę, a gdy wreszcie wyszła, tata był zadowolony z konferencji, spacerował dookoła stołu z rękami w kieszeniach, pogwizdywał i mijając mamę siedzącą w fotelu przekonywał ją, że coś tam będzie dla wszystkich korzystne. Jakiś układ z panią magister.

Po miesiącu stwierdziłam, że mogę ją w duchu nazywać Panną Magister, bo gdy zapytałam tatę, czy ona ma dzieci i męża, dowiedziałam się, że nie. Jest dopiero po studiach i już chce pisać pracę doktorską, do czego potrzebne jej są jakieś badania czy doświadczenia, które mogłaby robić przy pomocy taty i jeszcze kogoś z podległych mu w laboratorium techników.

Tacie bardzo się ten pomysł spodobał. Dominikowi też. I kiedy znów była wieczorem mowa o Pannie Magister, zaproponował nieśmiało:

- To może kupimy nowe wiązania do nart, jak trochę dorobisz?
- Patrzcie, jak to dba o swoje interesy - zaśmiał się tata. Zburzył mu czuprynę nad czołem. - Nie wiem, czy aż tyle zarobię na tej imprezie, to raczej koleżeńska pomoc młodym.
- Koleżeńska? - mama uniosła brwi w górę i zrobiło się nieprzyjemnie w pokoju. Przynajmniej ja to tak odczułam. Ojciec się jakby zmieszał. - Oczywiście, mam na myśli dyplomy - dodała mama. - Pani inżynier wykorzysta pana technika i szybko pobiegnie dalej. A raczej wyżej. Zapominając o koleżeństwie...
- Nie przesadzaj!-przerwał tata ostro. Nigdy dotąd tak przy nas nie rozmawiali. Nie wiedzieliśmy, czy zostać w stołowym, czy się wycofać. Ale tata zmienił ton na nieco łagodniejszy: - Lekcje odrobione? -popatrzył na nas kolejno. - Zdaje się, że ganialiście całe popołudnie po podwórku.
- Niecałe - odważyłam się uśmiechnąć. Ale musiałam najpierw przełknąć co najmniej piłeczkę pingpongową. - Zadano nam wy-

36

jątkowo mało tym razem. Nauczyciele chorują. Jesień, grypa...

- Kh, kh, kh! - zakaszał popisowo Dominik. Mama popatrzyła na niego podejrzliwie, więc zaraz dodał do tego mrugnięcie i uśmiech, że niby wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku. Ani w szkole, ani w domu, ani we mnie w środku. Z tym, co we mnie siedzi, to ja się dopiero zacznę rozliczać. Ze szkołą musiałam sobie sama radzić, ale kilka odkryć domowych wymagało jednak wyjaśnień z zewnątrz.

Długo kręciłam się wokół Wanduli, nim wreszcie wydusiłam pytanie:

- Czy mama... no, jak to powiedzieć... czy nie wolałaby, żeby tata też skończył wyższe studia, tak jak ona? - zaczerwieniłam się.
- Wolałaby - odpowiedziała po prostu Wandula i popatrzyła na mnie z uśmiechem nieco innym niż ten jej zwykły „dziarski”, turystyczny. Słyszy właśnie na piechotę przez las. Reszta węża zniknęła już za zakrętem przed nami. Niestety, sezon u Misiów trwa okrągły rok.-Jak do tego doszłaś?
- Ja zawsze myślałam...-zająknęłam się z wrażenia, że tak łatwo poszło, i galopowałam połykając słowa: - że tylko ciocia-babcia Kinga Klara i tamta stara rodzina mają tacie za złe... to znaczy, mają

mamie za złe, że wyszła za męża za tylko technika, i w dodatku spoza Krakowa! Ze wsi... A mama nie zwracała na to uwagi. A teraz wydaje mi się, że ma żal do taty, że nie chciał studiować. Zmieniła się, czy od początku była taka, tylko udawała przed nami i tatą? - musiałam mieć rozpaczliwą minę, bo Wandula znienacka objęła mnie ramieniem i pocałowała. Nie robi tego za często.

- Nie przejmuj się tym tak okropnie! To znaczy, dobrze, że się trochę przejmujesz, ale nie przesadzaj. Takie jest życie. Człowiekowi, póki młody i zakochany, wszystko wydaje się proste, a on sam wspaniały i wspaniałomyślny. A potem niektóre różnice nie dają spokoju. Ale i tak uważam, że z twoimi starymi nie jest najgorzej, Reniu-znów mnie pocałowała.

- Ja nie chcę, żebyś mflie pocieszała...-odsunęłam się trochę -tylko się pytam, czy to prawda i czy mama zawsze była taka?

37

Przecież ona też nie pracuje na jakimś' nadzwyczajnym stanowisku, chociaż ukończyła studia. Czy bibliotekarka w szkole to wielka kariera?

- Niewielka. Ale mama zawsze najbardziej lubiła czytać, więc uważam, że nie trafiła najgorzej - powiedziała Wandula. - Nigdy nie miała dosyć energii, żeby się wybić. Zawsze w ogonie. Szara. Martwiłam się, bo to przecież moje jedyne dziecko, ale w końcu nic na siłę nie można bliźniemu narzucać-tu zamyśliła się, a ja popatrzyłam na naszą wspaniałą babcię trochę krzywo, bo przecież nie kto inny, tylko ona zmusza wszystkich choćby do turystyki. Może to wyczuła, bo dodała usprawiedliwiająco: - Chciałam ją trochę rozruszać, przyzwyczajając do wędrówek. Twój dziadek też przecież pół życia spędził z plecakiem. A na trasie spotyka się ciekawych ludzi, wiesz przecież.

- I spotkałyście tatę - wtrąciłam z przekąsem.

- Tak! Bardzo ucieszyła mnie ta znajomość.

- Bo tata jest bardziej do ciebie podobny niż mama, twoja córka!

- Czy to źle?-przeraziła się Wandula nieco teatralnie.

- Nie - roześmiałam się, bo wyglądała komicznie.

- Cieszę się. I cieszę się także z tego, że porozmawiałaś ze mną tak poważnie. Utrata kontaktu z potomstwem to coś okropnego, wierz mi! Mam nadzieję, że zawsze będziemy się rozumiały, prawda?

- No... -mruknęłam. Mogła sobie darować ten nieco słodszy i pedagogiczny ton. I pytania dodatkowe. Trochę później, już pod Kopcem.

- Jak ty wpadłaś na ten trop ze studiami? - nie mogła się nadziwić. Próbowала przedtem dołączyć do Dominika, ale mnie niemal siłą zatrzymała przy sobie. - Rozmawiali przy tobie na ten temat? Spierali się? Mama przecież zawsze była taka skryta... tata też mało mówny.

- Nie mówili o tym wyraźnie - odparłam niechętnie. - Domyślałam się. Kiedy przychodzą do mamy jej dawni znajomi ze studiów, to tata robi się ponury i najczęściej wychodzi z domu... on nie lubi rozmawiać z mamy towarzystwem. I nawzajem! Bo mama

38

wtedy jest trochę inna, podobna do nich... A oni patrzą na tatę z góry - wykrztusiłam. To było jedno z moich niedawnych ponurych odkryć. Wołałabym się nie zwierzać, ale jak Wandula się uprze, to wszystko z człowieka wyciągnie. Po co mam się dłużej męczyć?

- Hm, to się chyba zgadza - kiwnęła głową Wandula.

- Mama przy koleżankach jest taka sama, jak twoja siostra... i jej wytworna rodzina! - dodałam. I postanowiłam milczeć. Dosyć tego.

- Tak - westchnęła Wandula. - Naskarżyłaś na moje dziecko... To była jedna z najcięższych i najważniejszych'wywiadówek, jakie zaliczyłam w roli matki. Dziękuję!

Może wygłosiłaby jeszcze jakieś życiowe mądrości, ale skorzystałam z tego, że mnie Dominik zawołał, i związałam.

5

Geografka wcale o mnie nie zapomniała, już na następnej lekcji wymęczyła mnie pod mapą, a potem nie było spotkania bez jakiejś przykrej aluzji z jej strony. Musiałam naprawdę bez przerwy uważać. Ktoś się pomylił - poprawiała z ławki Misiówna. Nie doniesiono którejś z map-padało

pytanie, czy to aby nie Misiówna jest dyżurną. Ktoś chichotał czy szeptał-na pewno wziął przykład z Misiówny. Zaczynaliśmy nowy temat - Misiówna, znana turystka, prawdopodobnie nie zechce uważać, gdyż sądzi, że wszystko wie... I tak dalej. Co robić? Bywało różnie, w zależności od mojego ogólnego nastroju. Raczej podłego. A szans na wyjaśnienia nie widziałam.

Mama, oczywiście, dowiedziała się o moich szkolnych kłopotach z najlepszego źródła: od samej geografki. Ona ma syna w maminy liceum, zagląda tam dosyć często, mama nawet nie musi fatygować się na wywiadówkę. Nie musi, ale się fatyguje z obowiązku. Dotychczas wypytywała głównie o Dominika, ale teraz i ze mną są trudności, jak to się w budzie określa.

- Tego się nie spodziewałam! - wzdychała po pierwszej roz-

39

mowie r geografką. Szczęk odstawianego na podstawkę żelazka dosyć rytmicznie urozmaicał te westchnienia. Usłyszałam o poderwanym zaufaniu, o krnąbrności i przekorze, o bimbanii prowadzącym do nieuchronnego stoczenia się w szeregi średnia-ków lub gorszych, o przykrych dla otoczenia kaprysach wieku dojrzewania, które można przecież - „podkreślam: można!” -o-panować, o ważnym zwłaszcza dla dziewczynek dbaniu o dobrą opinię. O obowiązku wywdzięczenia się rodzicom i opiekunom za wszystko, co dla dzieci robią, oraz o tym, jak smutne jest życie codzienne w rodzinach skłóconych, w których obie strony nie potrafią się przełamać, pójść na kompromis i okazać sobie więcej serca. A przynajmniej powinno się przestrzegać podstawowych reguł i form współżycia... Niesamowicie długie kazanie jak na nią! Na koniec dodała dużo ciepłej, ale nie chciałam wierzyć tak od razu w jej serdeczność: - Martwi mnie nie ta dwójka, bo to przecież zdarza się najlepszym uczniom i należy do szkolnego krajobrazu, lecz twoje niegrzeczne zachowanie wobec nauczycielki. Miny, mruczenie pod nosem, głupie komentarze. Zastanów się nad tym, córeczko, dobrze? I będziemy żyć w zgodzie, jak dotąd... Podaj mi te dwa prześcieradła, które zostały w łazience na pralce. - Podałam - Dziękuję. Zrozumiałyśmy się chyba, prawda?

- Prawda - przyznałam bez uśmiechu. Co tu jest do zrozumienia? A mama przesiąkła szkołą i musi gderać. Po prostu. Zaskoczyłam ją pytaniem: - Czy Panna Magister dzisiaj też ma przyjść do taty?

- Być może - odpowiedziała zaciskając usta. - Ale co to ma do naszej rozmowy? Nie słuchałaś mnie uważnie!

- Słuchałam. Zapytałam tak sobie. Ona bardzo głośno się śmieje i w ogóle gada bez przerwy, a ja chciałabym spokojnie odrobić lekcje. W moim pokoju wszystko słychać.

- To odrabiaj już teraz - westchnęła mama. Odłożyła żelazko, pomasowała przegub ręki. Wyglądała rzeczywiście na zmęczoną.

- Dlaczego się nie malujesz?-znowu ją zaskoczyłam.

- Nie wszystkim do twarzy w jaskrawym makijażu - mruknęła. - Idź już do lekcji! Szkoda czasu.

40

_ Dobrze, mamusi-powiedziałam grzecznie, jak dawniej. Najpierw dla hecy, ale za chwilę zrobiło mi się jej naprawdę żal. Wcale nie ma różowego życia, zwłaszcza jeśli uważa, że trafiła dużo gorzej niż jej przyjaciółki z tak zwanych dobrych domów. One nawet dużo lepiej wyglądają, włącznie z tą, która ma czworo dzieci (ale do tego kucharkę, niańkę i dwa samochody). A już przy Pannie Magister mama błędnie i zlewa się z tłem. Denerwuje mnie to okropnie, gdy tak siedzą przy wspólnym stole i porównania same się nasuwają! Raz na tydzień. Albo i częściej, bo kawowy maluch szybko zadomowił się na naszym podwórku.

- Ciekawe, kiedy skończą te eksperymenty - mruknął kiedyś Dominik, ponuro patrząc, jak wjeżdża przez bramę. - Myślałem, że to robi się w laboratorium, a nie przy kawie w prywatnym mieszkaniu. Oho, język mu się wyostrzył, podраста mój braciszek! Dziesięć lat to już poważny wiek.

- Może to będzie taka bardziej gadana praca doktorska - skrzywiłam się. Pomagaliśmy pani Królikowskiej w jesiennych porządkach w jej części mini-ogródka. Dorotka właśnie paskudnie rozbiła kolano i obie odeszły do domu. - Mama jest cierpliwa, więc im się dobrze siedzi przy stole. Zauważyłaś, jak jej się wszystko u nas podoba? Mamine serwety, poduszki i narzuty, a już nad tatowymi kinkietami nie mogła przestać rozplýwać się z zachwyty.

- Nad pawlaczami i półkami też - uzupełnił Dominik.

- W ogóle wychwala tate, jak może. Zawsze podkreśla, że dopiero co wśród inżynierów i dyrekcji

dobrze o nim mówiono.

- No, to dobrze, nie?-Dominik wzruszył ramionami. - Tata widocznie jest dobrym fachowcem.
- Może jest... Ale nie bądź naiwny! - zdenerwowałam się.-Nie zauważyłeś, że już nie ma „pana Mariana”, tylko „Marian”? A przedostatnio nawet wyrwało jej się „Marianku”...
- Do mamy mówi „Jadziula” - przypomniał Dominik.
- E!-machnęłam ręką. Co będę dyskutować ze smarkaczem.

41

Mam pewne podejrzenia, ale on widać jeszcze za młody, żeby mógł pojąć bez wyjaśniania powolutku od „a” do „z”. I właściwie takie myśli powinno się zachowywać dla siebie. Bo a nuż nie ma i tylko wywoła się wilka z lasu? Wandula kiedyś szeroko omawiała taki przypadek siedząc w słoneczku pod schroniskiem na Markowych Szczawinach z jakąś nieco młodszą, za to trzy razy grubszą turystką z Warszawy. Mieszałam zupę w kocherku i dobrze słyszałam. - W każdym razie nie musimy się spieszyć do domu - rozsiadłam się wygodniej wśród grządek Królikowskich. - Jak sobie o nas przypomną, to zawołają. - - Jasne - kiwnął głową Dominik. - Patrz, Grzesiek!

- Nie powinieneś ty tego wszystkiego robić? - powitałam go nieco zgryźliwie. Nie pokazywał się tu ze dwa tygodnie. A teraz wywijał zielono-złotą konewką w kształcie królowej-żabki w koronie. Opakowaną w celofan.

- Mogę, oczywiście! Ale niech najpierw mała to rozpakuje - pokazał konewkę. - Piłko-Królikowska była dwa dni w Pradze - wyjaśnił i poszedł na górę.

Kiedyś podobało mi się mówienie o tacie pan Miś, czy Miś, i Misiowa o mamie, ale mi przeszło i teraz tego nie cierpię. Grzesiek twardo stosuje ten styl. Cóż, musi jakoś rozgraniczać od razu w rozmowie obie panie Królikowskie, żeby nie było pomyłki. Wolno mu.

- Kiedy przyjeżdża Mirka? - spytał mój coraz bystrzejszy brat.

- W ten piątek - mruknęłam. Jeszcze pięknej kuzynki tu brakuje!

Grzesiek zapytał o nią dopiero tuż przed odejściem, a w piątek zjawił się We właściwym momencie z rzekomo zapomnianym poprzednio jeszcze jednym prezentem dla Dorotki - ślicznymi ciepłymi kapciuszkami z pomponami nie tylko z przodu, ale i na piętach. Mirka akurat była z nami pod trzepakiem, wszystko więc wypadło naturalnie i niewinnie. Kuzynka nawet się rozgadała, bo u nich we wsi był wielki pożar - to znaczy powiedziała dwa zdania więcej niż zwykle. I uśmiechnęła się do Grzeška półgębkiem,

42

kiedy odchodził. Z wrażenia omal nie wpadł pod kawowego malucha.

- Znowu - skrzywiłam się wymownie do brata. Krótko wyjaśniłam Mirce, kto siedzi wdzięcznie za kierownicą.

- Dzień dobry! Tatusz jest? - spytała słodko Panna Magister.

- Jest. Dzień dobry - odpowiedziałam po chwili. Miałam nadzieję, że Dominik pierwszy się wyrwie, ale padło na mnie. Bardzo chciałabym powiedzieć: „Nie, nie ma, wyjechał i wróci w poniedziałek nad ranem”.

- Świetnie! - ucieszyła się, jakby go nie widziała przez pół dnia w pracy. Porozglądała się trochę po podwórku, na coś czekała, ale w końcu poszła na górę, obrzucając Mirkę uważnym spojrzeniem. Nie widziała jej jeszcze.

I może nie przypuszczała, że razem zjedzą kolację. Sama dała hasło „młodzież z nami, co to za dyskryminacja w kuchni” i zamrugła oczami na widok sadowiącej się przy tacie Mirki. Uczesanej w koronę, a jakże. Ciekawam, czy na wsi też tak się czesze, czy każą jej ganiać w warkoczach, jak na smarkulę przystało? Zgrzytałam zębami podczas kolacji. Panna Magister była jeszcze bardziej rozmowna i wesoła niż zwykle, może dlatego że przybył drugi mężczyzna, pan Gajda. Tata czasem pomaga mu w majsterkowaniu na strychu, mają wspólne interesy i właśnie z takowym przyszedł. No i został chyba do północy, nie sprawdzałam.

Niemal polubiłam kuzynkę Mirkę tego wieczora, gdy zauważyłam, jak działa na Pannę Magister. Zwłaszcza wtedy gdy dosyć długo rozmawiała na boku z panem Gajdą. O malarstwie, oczywiście.

Widocznie Panna Magister nie znosi konkurencji (obie są czarne - tyle że Mirka z natury, nie od fryzjera - ale oczy mają inne: Mirka ciemne, tamta niebieskie). A o malarstwie nie udało jej się nic ciekawego wtrącić, musiała tymczasem gęgać z mamą o jakichś kosmetykach. Na tym to i tata jako chemik się zna, więc kiwał głową i poparł zdanie gościa, że mama powinna się malować. Łaskawie zezwolił. Jak dotąd podobała mu się natural-

43

ność. Zwłaszcza na trasie. Ale tu nie ma wysokich gór, tylko miejskie chodniki.

- Co myślisz o tej Pannie Magister? - spytałam półgłosem Mirkę, kiedy już zgasiłyśmy u siebie światło. - Ładna, co?

- Ładna - przyznała kuzynka obojętnie. I po chwili dodała: - Ale najlepiej byłoby ją narysować w „Szpilkach”.

- W szpilkach? - zdziwiłam się wyobrażając sobie zaraz superwysokie obcasy zasłaniające cały przód portretu. - Dlaczego? Może w takich wiśniowych jak jej szminka? - zaryzykowałam.

- Nie mówię o butach, tylko o satyrycznym piśmie - ziewnęła Mirka. - Twarz i w ogóle cała sylwetka nadaje się do karykatury...

Dobranoc!

I po chwili spała spokojnie. A ja chciałam ją uściskać! Pierwszy raz szczerze cieszyłam się z jej przyjazdu.

Odprowadziłam ją nawet nazajutrz do profesora i byłam w takim łaskawym humorze, że wstąpiłyśmy przedtem po Grześka. Omal nie spadł z wrażenia z kuchennego taboretu. A potem widziałam, wychodząc z bloku, jak Aneta pracowicie wiesza i wiesza jedyną parę koronkowych majtek na swoim balkonie, żeby nam się tylko lepiej przyjrzeć. Całej trójce, ale zwłaszcza ciuchom Mirki. Przyglądała się mojej kuzynce już podczas wakacji, powiedziała potem do Lusi, że jak na plastyczkę, to Mirka jest nędznie ubrana, ale zauważyłam we wrześnie, że sprawiła sobie dokładnie taki sam liliowy podkoszulek i tak samo obwiązywała się w taliu długim cienkim szalikiem. Wbrew zaleceniom Wanduli nie zamierzała „kontrastować”. Zresztą nie zna pouczeń mojej babci. Ale myślę, że jej mama, jedna z najlepiej ubranych kobiet w naszej dzielnicy, powinna też znać różne praktyczne sztuczki. Nie muszę się wcale martwić o powodzenie Anety!

Zaczekałam z Grześkiem na Mirkę w parku Krakowskim, trzęsąc się trochę z zimna na umówionej ławce, a przechodzący dorośli przyglądali nam się podejrzliwie.

- Mamy po dwie głowy i trzy nosy, czy co? - rozłościłam się.

- Trzeba było wziąć wrotki albo deskorolki, wyglądalibyśmy

44

normalnie parkowo, a tak to przypuszczają wnikliwie, że za parę miesięcy będziemy tu huścić bliźniaki - zażartował Grzesiek.

- To już tak staro wyglądam? - jęknęłam.

- Nie, ale nie jesteśmy niziutcy i pyzaci na bużkach.

- No i kto ma brzydkie myśli: młodzież czy dorośli?

- Przelećmy się do łabędzi i z powrotem! Kto pierwszy? - poderwał się Grzesiek.

- Trzeba zaklepać! - darłam się tuż za nim. Był szybszy tylko o długą rękę. - Uff! Gdybym ja miała taką łopatę! - sapnęłam padając na ławkę. (

- To byłabyś pśesliiicna - poskakał wokół udając goryla.

- Idź, ty!

Znowu ktoś krzywo na nas spojrział, ale wkrótce potem nadeszła Mirka i pomaszzerowaliśmy do tramwaju. Nie chciało jej się zwiedzać miasta.

Żałowałam trochę, że nie pogadałam z Grześkiem o niektórych sprawach... czyli o Rafale z mojej strony, a o Mirce z drugiej, był nawet taki krótki moment dobry do zwierzeń. Ale szybko minął i przepadło. Grzesiek na pewno jest lepszym powiernikiem niż Elka, zwłaszcza teraz, kiedy go ciągnie do Mirki. Cóż, trudno, może jeszcze zaliczymy odpowiedni nastrój.

W domu nie zastaliśmy Panny Magister, cud. Za to rodzice wyglądali, jakby się kłócili na chwilę przed naszym wejściem. Dlatego może Grzesiek, którego zaprosiłam, nie posiedział u nas długo.

Powiedział, że musi jeszcze odwiedzić Dorotę, i zwiął. Streściłam Mirce jego sytuację rodzinną, podkreśliłam kilka zalet. Tak sobie, z rozpędu. O zaletach wcale się nie wypowiedziała, o sytuacji tylko, że „rozmaicie bywa w życiu”. I odechciało mi się poważnych rozmówek. Wbiłam nos w pierwszą lepszą lekturę i zastanawiałam się dosyć długo, o co też starzy mogli się kłócić. Dominik szalał na podwórku, pewnie nic nie wiedział. A może tata po prostu był zły, że przez Mirkę przepadł wycieczkowy weekend przy nie najgorszej pogodzie? Pocieszałam się tą myślą, bo był to najmniej groźny powód do kłótni. O Mirce już zresztą nieraz rozmawiali trochę poirytowanymi głosami. Może nie tyle o niej, ile o przymusowej sytuacji, bo mama podkreślała kilkakrotnie, że

45

nie może dziewczynie nic zarzucić. Tyle że w chwilę potem wdychała na przykład, że stare mieszkania nie są wcale aż tak obszerne, jak to się lokatorom nowych bloków wydaje, czy coś w tym rodzaju. Potem szybko zmieniała temat. Może stopniowo przygotowuje grunt do większej dyskusji po egzaminach kuzynki? Bo słyszałam raz przypadkiem, jak mówiła do Wanduli o istniejącej w Krakowie bursie dla uczniów szkół artystycznych. Podejrzewam więc, że Mirka pomieszka z nami dwa lata najwyżej lub nawet rok. Nie martwi mnie to bynajmniej. Chyba że zniecka bardzo się zaprzyjaźnimy, na co się wcale nie zanosi. Zanosi się natomiast na coś niemiłego: muszę przyjrzeć się uważniej tacie i Pannie Magister, razem i z osobna. Dyskretnie. Postanowiłam to po następnym weekendzie, ostatnim takim słonecznym tamtej jesieni. Spędzonym po raz pierwszy z tak mało nam znanymi „dodatkami do węża rodzinnego”, jak dwoje przyjaciół Panny Magister. I z nią, oczywiście. Wprosiła się po prostu. A tata nie odmówił.

6

Było wyjątkowo ciepło, ale mama oznajmiła wieczorem, że nie pojedzie na żadną wycieczkę. Nie i już. Źle się czuje, chce odpocząć. Chociaż raz wyleży się w łóżku porządnie i nareszcie będzie miała błogą ciszę w mieszkaniu. Zaznaczyła, że nie miała solowych urlopów, odkąd ja się urodziłam, i jeden weekend na trzynaście lat (prawie) to wcale nie zanadto wygórowane Wymagania. Zaskoczyła tatę zupełnie. Nie wiedział w pierwszej chwili, co powiedzieć. Wyprawa już przygotowana, nawet jedzenie mama spakowała i wsadziła do lodówki. Plecaki gotowe, mapa przeanalizowana na dziesiątą stronę. Rozentuzjasmowana Panna Magister właśnie wybiegła do swego malucha, my kończymy kolację - a tu zniecka bunt w szeregu.

- Jedzie Wandula, poradzicie sobie doskonale beze mnie z żywnością i innymi detalami - mama była stanowcza. - Nie dyskutujmy!

46

- Taa...-tata popukał palcami w blat stołu. Wpatrzył się na chwilę w ciemne okno, a my wstrzymaliśmy oddechy. - Jak sobie życzysz - chrząknął wreszcie.-To może zostawić ci Wandulę jako opiekę? Można do niej zadzwonić.

- Nie - powiedziała krótko mama. - Dziękuję.

- No?-tata popatrzył na nas i wydobył z siebie ostrzejszy ton.-Na co czekacie? Zjedliście? To proszę zbierać się już do spania! Wstajemy wcześniej i nie życzę sobie ziewaczy na trasie!

- Dobranoc! - zawołałam już z przedpokoju. Zerknęłam ciekawie przez nie domknięte drzwi, ale nic się w kuchni nie zmieniło. Mama stała przy kredensie i wycierała szklanki, tata siedział przy stole i pukał palcami, czytając gazetę.

- Zobaczysz, będą jakieś komplikacje - szepnęłam do Dominika na progu łazienki.

- E, przecież trasa łatwa - skrzywił się pogardliwie.

- Ale wąż nie ten sam! Zobaczysz.

- Ty zawsze krzywo widzisz, Renówo!

- A ty masz kłapki na oczkach, Nikusiu!

- Nie jestem Nikuś. Uważaj!

- Nikuś-Pikuś! A co, wolisz Domcia?

- Nie kłóćcie się! - dosłyszała mama z kuchni. - Dobranoc!

- Co ja powiedziałem? - huknął prawie jednocześnie tata. Rozbiegliśmy się do swoich kątów.

Długo nie mogłam zasnąć. Nie cieszyłam się wcale, że bez mamy poczynię może nawet ciekawsze obserwacje. Nie rozkleję się jednak ani na trasie, ani po powrocie, niech nikt na to nie liczy!

O piątej siedem byliśmy na dworcu PKS. Złota jesień o tej porze jest raczej czarnoszara, trzęśliśmy się też niezłe, głównie z niewyspania. Dominik trzymał nos w kołnierzu kurtki i pewnie guzik widział, ja miałam oczy szeroko otwarte. Więc najpierw zarejestrowałam minę Wanduli. Z wrażenia nie odezwała się ani słowem, za to Panna Magister, która podeszła do nas o piątej dziewięć, głośno i długo wyrażała swoje rozczarowanie i zaniepokojenie stanem chorej. Koniecznie chciała wiedzieć, czy mamy

47

uczynnych sąsiadów, którzy w razie potrzeby udzielą pomocy. Jej przyjaciele, jakiś bladawy pan Jaś i nieco bardziej różowa pani Ola, potakiwali uprzejmie, ale było widać, że nic ich to nie obchodzi. Nie znają mamy. W ogóle od początku zauważyłam, że interesują się tylko sobą nawzajem.

- A może jednak ktoś zostałby w domu? - zakończyła wreszcie te ochy i achy Panna Magister. Oczywiście, najpierw popatrzyła na Wandulę, potem na mnie.

- Nie - Wandula odzyskała głos. Poznała już Pannę Magister wcześniej u nas, ale teraz też przyglądała jej się z zainteresowaniem. - Skoro Jadzia chce mieć święty spokój, niech ma. Wola boska! Już podstawili nasz autobus - i pierwsza poszła przez plac dworcowy.

- Cóż, trudno! - rozłożył ręce tata. Nie patrzył na Pannę Magister, tylko na nas. - Ruszamy bez mamy.

- Czy ktoś reflektuje na wolny bilet? - grzmiała Wandula pod drzwiami autobusu. Tłumu nie było, mogła nie sprzedać. Ale znalazł się w końcu jeden chętny. Jego miejsce wypadło obok mnie, ale zlitował się i zamienił z Wandulą. Siedział wygodnie przy oknie, nie zwracając uwagi na wierzącą mu się u boku Pannę Magister, która zagadywała do każdego z nas dosyć długo, zanim się uspokoiła. Wszyscy dookoła życzyli sobie drzemki i napotkała na kilka niechętnych spojrzeń. Zauważyłam to, ucieszyłam się... i nagle zasnęłam, chociaż mocno postanowiłam nie spuszczać z oka całego „węża”.

- Hej, już Bielsko! - potar mosiła mnie Wandula w dwie godziny później. Kilka razy zatrzęsło nami przy hamowaniu na zakrętach i wreszcie wysiedliśmy rozprostowując kości.

- Który to nasz następny autobus? - dopytywał się Dominik. - Może ten zaraz obok?

- Aleś ty wygodny! - zaśmiała się Panna Magister.

- Trzeba się zorientować - mruknął tata. - Na pewno jest tu jakaś informacja.

Panna Magister ochoczo ruszyła za nim. Ja za nią. Wandula chciała mnie zatrzymać, ale rozmyśliła się. Zagadała coś do

48

pozostałych. A my dowiedzieliśmy się co trzeba i pognaliśmy wszystkich na sąsiedni przystanek czerwonych autobusów miejskich. Tam musieliśmy zaczekać dziesięć minut.

- Ciekawe, czy w Bielsku są dzisiaj otwarte sklepy? - ożywiła się nagle pani Ola. - Różnie to bywa w soboty. Widziałam po drodze kolejki.

- Pod spożywczymi - mruknął pan Jaś. - Na inne za wcześniej.

- Nie sądzę, by otwierali je później niż o dziesiątej - pani Ola studiowała tarczę swego malutkiego zegarka na błyszczącej bransoletce. - Tymczasem moglibyśmy gdzieś tutaj zjeść śniadanie. Przecież nikt nie zdążył najeść się przed wyjazdem - zaśmiała się.

- Ja jadłem - oświadczył ponuro Dominik.

- O, jakiś ty szybki! - zaśmiała się na odmianę Panna Magister. Prawdopodobnie dla rozładowania napięcia, bo tata nie wyglądał milutko. *

- Śniadanie jest w planie na Szyndzielni - przypomniała dziarsko Wandula. - A tam za pół godzinki dotrzemy wygodnie w wagonikach. W górę cielska, kochani państwo!

- Och, przecież mnie się zrobi niedobrze, jak to zacznie huśtać na czczo! - zawołała pani Ola z wielkim wdziękiem.

- Naprawdę nie wytrzymasz? - zdziwiła się Panna Magister.

- Rzeczywiście, chyba nie każdy może na czczo - poparł panią Olę pan Jaś. - Wiecie co, drodzy państwo? Dogonimy was na górze. Dobrze? Po co jakieś dodatkowe sceny w wagonikach...

Przekąsimy coś w mieście, a potem się pospieszymy. Wy przecież też musicie chwilę posiedzieć na Szyndzielni, więc wszystko w porządku, prawda?

- Tam na pewno jest bufet. Na dolnej stacji-powiedziała sucho Wandula. /
- Nie wiadomo, czy otwarty tak wcześniej - powątpiła pani Ola.
- Mamy autobus!-zawołał Dominik.-To ten, tata, prawda?

4 Pępek węża

49

- Ten! Cóż... -mruknął tata przez zęby. Pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego w szeregach. I podejrzewam, że ostatni. Już nie da się nabrać na nieznanym znajomym. - Nie ma czasu, musimy wsiadać - popchnął mnie trochę za mocno, ale naprawdę był zły, a ja mu się wcale nie dziwiłam. - Państwo jesteście poinformowani dokładnie o trasie, prawda?

- Tak, tak. Przygotowałam ich! - odpowiedziała Panna Magister.

Pan Jaś coś tam jeszcze mówił, ale nie dosłyszeliśmy, bo trzeba było wsiadać. Zresztą mieliśmy chwilowo dosyć widoku pani Oli, nie oglądaliśmy się. Wandula zaraz wbiła nos w przewodnik i kiedy wjechaliśmy w jakiś rozległy park, oznajmiła:

- To się nazywa Las Cygański.

- Aha! - kiwnęłam głową. Guzik mnie to obchodziło. Przyglądałam się, jak Panna Magister usiłuje rozweselić tatę. Tym razem siedzieli obok siebie, trochę za daleko ode mnie, nic nie słyszałam.

Widziałam tylko, jak tata raz przytaknął, a raz pokręcił głową. Nie uśmiechał się w dalszym ciągu.

Wobec tego już na dolnej star i kolejki Panna Magister zachowywała należytą powagę. Razem z Wandulą odczytała kilka tablic, jeszcze raz naregulowała swój zegarek według tatowego, wygłosiła uwagę o temperaturze i wilgotności powietrza. Obeszła też z Dominikiem wszystko, co dało się obejść, i zgodziła się z nim, że tu jednak dużo nędziej niż pod Kasprowym.

Wagoniki są czteroosobowe, więc po odpadnięciu pani Oli i pana Jasia wytworzyła się trochę głupia sytuacja. Byłam ciekawa, jak ją tata rozwiąże, i słówkiem nie pisnęłam, chociaż lubię zabierać głos jako pierwsza. Certolili się i certolili, wreszcie tata orzekł, że pojedą najpierw kobiety i dzieci, a on doskoczy.

- A jak nagle zabraknie prądu? - zachichotała niby to przerażona Panna Magister.

- Przecież jadę ja-zauważył skromnie Dominik.

- No tak, przy dzieciach nie będziemy się wygłupiały - powiedziała poważnie Wandula. Panna Magister przez chwilę dziwiła się w milczeniu. Nie do niej, tylko do mnie Wandula mrugnęła.

50

I tak wyszło inaczej, bo w ostatniej chwili wepchnęła się na przód kolejki jakaś góralka z wielkim koszem na plecach i kontroler zatrzymał barierkę tuż przede mną. Pojechałam z tatą i dwoma mężczyznami w średnim wieku. Jeden co chwilę robił do mnie oko, zwłaszcza gdy rzeczywiście wagonik nagle stanął, jakby zabrakło prądu, i zahuszał się gwałtownie. Po chwili ruszył, a ja, uśmiechnęłam się do taty:

- Już tu widzę panią Olę!

- Nie bądź złośliwa! - Wszystko inne zabrzmiałoby niepedagogicznie, sądząc z jego miny.

Postanowiłam nie wspominać więcej imion przyjaciół Panny Magister, po co mu dokuczać?

A Panna Magister wyginała się na tarasie przed schroniskiem, wdychając świeże powietrze. Z rozkoszy przymykała oczy. I musiała to jeszcze omówić:

- To jest powietrze. To rozumiem. Żyć nie umierać. Oj, my biedni krakowianie!

- Proszę do stołu! - zawołała z progu Wandula. - Potem nam kierownik wycieczki opowie, co widzimy, gdy stąd patrzymy.

Przy śniadaniu też usłyszeliśmy kilka odkrywczych uwag Panny Magister o wykorzystywaniu czasu wolnego na regenerację w górach czy nawet na nizinach, byle w ruchu i na powietrzu. I o degeneracji całych pokoleń ucywilizowanej ludzkości.

- Niech nas gonia, jeśli znają trasę - przerwał te wywody tata sznurując plecak.

Posprzątałyśmy stół po naszych kanapkach, wyszliśmy znowu na taras i kierownik wycieczki powiedział kilka zdań o paśmie Klimczoka w Beskidzie Śląskim. Ruszyliśmy w to pasmo. Na Klimczok właśnie. Po drodze Wandula uzupełniła informacje geograficzne o historyczne i legendarne. Ów Klimczok, zbójnik, podobno zakochał się w córce pana bielskiego zamku i wykopał długi tunel spod tej góry do lochów, wykradł ją i albo żyli długo i szczęśliwie w jaskiniach na Klimczoku, albo ich przyłapano. Są co najmniej dwie wersje.

- A ta następna góra to Klementyna, matka Klimczoka. Albo ukochana - dodała, gdy już staliśmy pod kolejnym schroniskiem.

4*

51

- A ta łączka nazywana jest Saharą - odezwał się jakiś siwy, niewysoki turysta. - Mocne tu słońce, zwłaszcza w zimie, narciarze opalają się na śniegu.

Wandula chętnie pogadałaby z tym jegomościem, ale tata poganiał. Zostawił w schronisku wiadomość dla pani Oli i pana Jasia i żegnaj, zbójniku Klimczoku!

- Partyzanci też tu pewnie jacyś sławni byli, co?- spytał • trochę złośliwie Dominik, bo rzeczywiście Wandula nie wiedziała.

- Jeśli cię to tak bardzo interesuje, to po powrocie poszperamy w bibliotekach krakowskich, dobrze? - powiedziała słodko. - Pokażę ci, jak korzystać ze źródeł pisanych. .

- Eee...-zrezygnował Dominik.

Maszerowało się lekko, właściwie trasa spacerowa, cały czas lasem, gdzieniegdzie tylko punkty widokowe. Szłam na czele, obok taty, nie opuszczając go na krok. Z początku towarzyszyła nam Panna Magister, zagadując o tym i owym, ale tempo jakoś zaczęło wzrastać i spuchła. Szła potem z Wandula i z kolei ona musiała słuchać i kiwać głową. Nie wiem, czy tak wyobrażała sobie rodzinną turystykę Misiów? Może, gdyby tamci nie nawalili, tata miałby supertowarzyski humor i wszystko wyglądałoby inaczej - Panna Magister byłaby zadowolona, a nie ja. Na razie układało się dla mnie pomyślnie.

- Tata! Chyba mieliśmy skrócić na skrzyżowaniu - opamiętał się w pewnym momencie Dominik. On ma dobrą pamięć do map.

- Owszem - przyznał niechętnie tata przystając.-Ale mamy tak duży zysk czasowy, że śmiało możemy obejść Szczyrk górą. Wyjdziemy przez Przełęcz Salmopolską na Malinowską Skalę i ewentualnie możemy się cofnąć na Skrzyczne, żeby zaliczyć najwyższy szczyt.

- To nie wjedziemy tam kolejką? - biadał Dominik. - Przecież obiecałeś!

- Mamy więcej czasu i możemy więcej zwiedzić-powtórzył dosyć cierpliwie tata. - Jechałeś już jedną kolejką.

52

- Ale nie krzeselkową! Jeszcze w życiu nie jechałem! A wagonikiem tak! Na Kasprowy!

' - Aleś się uparł - Panna Magister nie bardzo wiedziała, za kim ma się opowiedzieć, i uśmiechnęła się do Dominika na wszelki wypadek.

- Przecież ty nigdy nie zmieniasz trasy - lamentował Dominik.

- Wy tłumaczyłem, dlaczego - mruknął tata. A ja pomyślałam, że w ten sposób to nie my będziemy musieli czekać na panią Olę i pana Jasia, tylko oni na nas. Ale milczałam. Może o to tacie chodziło. Minę miał niewyraźną.

- Mogłabym z nim zejść do Szczyrku i wjechać na tę górę, ale to znowu byłoby rozbicie grupy - powiedziała dyplomatycznie Panna Magister uśmiechając się z kolei do taty.

- Właśnie!-przeciął tę dyskusję tata. - Idziemy!

I Dominik musiał się z tym pogodzić. Szedł na końcu i na pewno kłął pod nosem. Nie sprawdzałam. W dalszym ciągu maszerowałam krok w krok z tatą. Podkręcając tempo.

Następna dyskusja odbyła się już na Malinowskiej Skale. Poudawaliśmy z Dominikiem zbójników wypatrujących ze skały łatwej zdobyczy albo niedobrych wojsk rządowych, a potem dowiedzieliśmy się, że ze skoku na Skrzyczne będą nici.

- Spójrzcie tylko-tata wskazał chmurę, której kilka minut temu wcale nie było na czystym niebie. Błyskawicznie też pojawiła się mgła. - A już chciałem pozwolić wam na zjechanie i wjechanie tym wyciągiem! - Tego nie musiał dodawać. Niestety, dodał. -Teraz pozostaje nam ostry marsz na Baranią.

- A może zdążymy obrócić? - podskoczył Dominik.

- Nie wiesz, co mówisz. Za chwilę łunie albo mgła wszystko eakryje - Wandula poparła ojca. - Tata

ma rację. Beskidy tylko są na oko łagodniutkie, milutko zalesione i wesołe...

- Lepiej nie ryzykujemy-dobiła Dominika Panna Magister. Wyglądała na bardziej zmęczoną niż na Przełęczy Salmopolskiej, gdzie dosyć energicznie machała autobusowi, który nas mijał. Ktoś tam również machał.

53

- Fajnie - miauknął Dominik, pierwszy ruszając w prawidłowym kierunku, czyli w stronę Baraniej Góry. - Zapamiętam sobie tę wycieczkę!

- I bardzo dobrze - uciał tata.

- Oj, dzieci, dzieci! - westchnęła Wandula i zaraz zaczęła nucić swoją zwykłą bojową „burzę huczącą wkoło nas”. Panna Magister ochoczo podchwyciła. Ja milczałam aż do schroniska.

Ledwośmy tam doszli. Nie widziałam jeszcze nigdy tak gęstej mgły, spadającej zniecka. Dosłownie musiałam stuknąć łokciem w ścianę schroniska, żeby je zauważyć. Trzymaliśmy się przez cały czas za poły peleryn, inaczej ktoś na pewno by się zgubił.

- Może tamci zatrzymali się szczęśliwie na Skrzycznym-powiedział tata otwierając drzwi. - Zaraz spróbuję zatelefonować od kierownika.

- Właśnie! Zadzwonimy razem. Ja znam ich personalia - włączyła się Panna Magister.

Nikt ich na Skrzycznym nie widział. Ani w żadnym innym schronisku na trasie. Nawet Wandula wolała milczeć, a my z Dominikiem siedzieliśmy jak myszy w kącie za stołem. Jeszcze jedna rodzina miotała się przy telefonie. Syn z wujkiem zawieruszyli się gdzieś po drodze i też nigdzie ich nie zarejestrowano. Okazała blondyna wymyślała im zaocznie w śląskim dialekcie, wypominając przy okazji stare grzechy z poprzednich wycieczek, i wszyscy w jadalni musieli tego słuchać. Co jakiś czas ktoś docierał do schroniska, przemoczony i bardzo zadowolony, że trafił.

- Jak oni wszyscy będą spali? - zainteresował się w końcu Dominik szeptem. - Straszny tłok!

- A jak my będziemy spali?-odszepnęłam.-Tata, zdaje się, jeszcze tego nie załatwił. Nic, tylko telefonuje.

- Już załatwione - kiwnęła głową Wandula.

Pewnie to ona załatwiła. Miałyśmy spać z Dominikiem na stryszku, ciasnawym, a tata chciał w jadalni na materacu. Bliżej telefonu. Panna Magister siedziała tam z nim bardzo długo, mnie przegonili. Zresztą wolałam nie przeciągać struny. Słuchałam

54

legend odczytywanych przez Wandulę w słabiutkim świetle spod sufitu i wściekłam się w duchu na panią Olę i pana Jasia.

- Są! - oznajmiła w pewnej chwili Panna Magister wciskając się przez zatarasowane materacem drzwi.

- Sami tu dotarli czy ich znaleziono? - spytała Wandula. Dominik już spał, a mnie się nie chciało podnieść powiek.

- Nie, tutaj ich nie ma, źle się wyraziłam - sprostowała Panna Magister. - Są w ogóle.

Zatelefonowali właśnie z Wisły. Śpią u jakiegoś górala.

- No, chwała Bogu! - odetchnęła Wandula. - Ale że aż tam ich zaniósł we mgle?

- Wcale nie poszli w góry - powiedziała Panna Magister z irytacją. - Pojechali najpierw do Szczyrku, popatrzyli na wyciąg krzeselkowy, odwiedzili sklepy i wsiedli do autobusu do Wisły, przez Przełęcz Salmopolską. Twierdzą, że nas widzieli po drodze i że im machaliśmy! To zdaje się był ten autobus, który rzeczywiście minął nas na samej przełęczy. Byli przekonani, że ich widzimy! - powtórzyła. - Ale mogli zadzwonić tu wcześniej, a nie w środku nocy! Tyle że zaniepokoił się o nas dosyć późno, bo usłyszeli od turystów o mgle już po rozlokowaniu się na nocleg... Zatrzaszczyli się!

- To ładnie z ich strony - pochwaliła obiektywnie Wandula. Może jeszcze rozmawiały, nie wiem, zasnęłam. Śniło mi się

pasmo Klimczoka... w miednicy, gotujące się na parze. Machałam białą chustką, żeby tę parę rozgonić, ale nie dawałam rady. A pani Ola, pan Jaś i tata mówili chórem za moimi plecami: „Tak, tak, to ładnie z twojej strony!”.

Zobaczyliśmy nasz nieszczególny ogon węża schodząc już z Baraniej Góry, nazajutrz rano. Mgły

ani śladu, piękne słońeczko. Pani Ola pozytywnie nastawiona do turystyki koniecznie chciała dotrzeć do źródeł Wisły. A potem chętnie wrócą z nami i dalej już plan zostanie zrealizowany w pełni.

- Mam nadzieję - wyrwało się tacie.

- Tak się strasznie o was wszystkich martwiliśmy! - pani Ola aż załamała ręce. - Mówię do Jaśka: skocz gdzieś do telefonu, rób

55

cos', trzeba szukać w tej mgle! No i poszedł w nocy, kilka kilometrów - tu czekała pewnie na objawy zachwytu, bo przerwała i patrzyła na nas po kolei, sama zadziwiona wyczynem pana Jasia. Ale nikt nie mrugnął okiem.

- Tak, mgły w Beskidach bywają paskudne - stwierdziła tylko Wandula.

I poszlis'my dalej. Od źródeł Wisły do stacji kolejowej Ustroń--Polana, przez Kubalonkę, Stożek i Czantorię - nic ciekawego już się nie działo. W pociągu też. A na dworcu w Krakowie Panna Magister zniecała pocałowała tatę w policzek, dziękując mu za s'wietnie zaplanowaną wycieczkę i przepaszając za niedociągnięcia. Tak to jakoś sympatycznie powiedziała, że zaklaskałam jak Wandula. Bez dodatkowych podejrzliwych myśli w tym momencie. Tata zmieszał się i wreszcie uśmiechnął, pani Ola i pan Jaś też byli bardzo, bardzo uprzejmi i radośnie rozeszliśmy się w swoje strony.

Nie wiem, czy przyjaciele Panny Magister pomogli mnie czy jej. Tata złościł się na nich, więc mógł patrzeć na Pannę Magister bardziej życzliwie -ale mógł też potraktować ją jako całość razem z nimi. I jak później dopasowywałam zapamiętane obrazki z trasy do jednej i do drugiej wersji, to właściwie za każdym razem wszystko się zgadzało. Jak to jest? Widocznie nie potrafię oceniać prawidłowo sytuacji. Nie umiem odczytywać min ludzi dorosłych i ich wypowiedzi tak, żeby nie mieć wątpliwości. I to własny tata, niby znajomy od wieków, okazał się taki zagadkowy! A już myślałam, że podczas tej wycieczki w Beskid Śląski dużo spraw się wyjaśni i będę wiedziała, czego się trzymać. Obserwacje w mieście są trudniejsze.

7 •

Nie wiem, czy tata opowiedział mamie dokładnie o naszych przygodach, z „ogonem węża”-przy nas tylko rzucił, że „było jak było”. Dominik za to rozgadał się nazajutrz, okropnie narzekając na tatę, mama więc chciała ode mnie usłyszeć, jak było

56

naprawdę. Powiedziała, co wiedziała, bez wdawania się w szczegóły. I tylko odpowiadałam na pytania, nic od siebie. I tak usłyszy jeszcze wersję Wanduli.

Ale najpierw musiała wysłuchać Panny Magister. Wpadła do nas zaraz następnego dnia wieczorem z całą furą ciastek i butelką dla dorosłych. Chciała jeszcze raz przeprosić tatę za zachowanie pani Oli i pana Jasia i podziękować za bardzo miły wypoczynek na łonie przyrody.

- Sama jakoś nigdy nie mogę wygrzebać się na dłuższą wyprawę, chociaż mam samochód. Ale do tego trzeba kogoś z inicjatywą, prawda? - uśmiechnęła się do taty, potem do mamy. I chwaliła zdyscyplinowanie rodziny Misiów, świetną organizację, wzajemną postawę i tak dalej, jakby czytała referat w telewizji. Tyle że z zachwytem w głosie i okrzykami lub śmieszkami co kawałek. Potem było dłuższe wypytywanie „kochanej Jazdiuli”, jak się czuje, czuła i zamierza czuć, i czy nie trzeba w czymś pomóc. Bo ona ma zaprzyjaźnionych lekarzy. A nawet zna dobrze jednego znachora, prawdę mówiąc, swojego wujka.

Mama wykręcała się, jak mogła, bąknęła nawet, że mamy lekarzy w rodzinie, ale długo nie udawało jej się zmienić tematu. Tacie też. A my tymczasem wsunęliśmy nasze przydziały ciastek i trzeba było odmaszerować do swoich zajęć, dlatego nic ciekawszego już nie usłyszałam. Potem jeszcze wpadł na chwilę pan Gajda, zasiedział się jak zwykle i gadali już zupełnie o czymś innym. Nam do zabawy został Gniot, jak zawsze towarzyski i skory do wybryków.

Nie pamiętam, które z nas wymyśliło, żeby podenerwować psa ciuchami Mirki, jakie zostawiła w szafie, aby ich nie dźwigać dwa, trzy razy w miesiącu. Wyjęłam sukienkę i zaczęłam nią machać przed psim nosem, drażniąc go i poszturchując. Dominik machał podkoszulkiem. Warczeliśmy przy tym, jak potrafimy najgroźniej, nawet na czworakach, podpowiadając Gniotowi, o co chodzi.

Popisowo obszczekaliśmy ciuch wiszący na wieszaku, potem „uciekający” na moich czy Dominika nogach. Istny teatr! Gniot najpierw po prostu wesoło brał udział w zabawie, aż w końcu

57

pojął, o co chodzi. Pod koniec wizyty1 warczał już i rzucał się na każdy kawałek garderoby Mirki. Wynagradzaliśmy go za to cukrem w kostkach.

- Przyniosę torebkę albo szalik tej tam - rozochocił się Dominik. Miał na myśli Pannę Magister. - Ale się zdziwi, wychodząc!

- Trzeba było od niej zacząć - westchnęłam. Bo niby dlaczego uczuliliśmy psa na Mirkę? Że sublokatorka? W sumie rzadziej u nas bywa niż Panna Magister.

- Przyniosę! Spróbujemy! On jest szybki - podniecał się Dominik.

- E, zostaw to!-opamiętałam się, ale co mu będę tłumaczyć różne subtelnosci. Powiedziałam tylko:- Innym razem. Gniot może się tak szybko nie przestawić.

- Ale mielibyśmy zaraz sprawdzian! A Mirka przyjedzie dopiero za tydzień.

- Rób, jak chcesz - wzruszyłam ramionami. - A teraz wynoście się obaj z mojego pokoju! Chcę sobie spokojnie poczytać na leżącym.

- Miła jesteś!

- Zjeżdżaj!

- Codziennie gorsza jędma!

- Powiedziałam!

- Chodź, pieseczku, chodź!-zaczął rozplływać się nad Gniotem. Słyszałam ten czuły głosik dosyć długo w przedpokoju, a potem jakieś ciche warczenie, szamotaninę, coś spadło i tata zawołał ze stołowego:

- Co się tam dzieje? Dominik! Nie wariuj!

- Proszę już iść do łazienki i do łóżka! - przypomniała mama. Rzeczywiście zrobiło się późno.

Pomyślałam złośliwie o pracy doktorskiej Panny Magister—kiedy ona ją napisze, jeśli tak bardzo lubi przebywać poza domem, laboratorium czy biblioteką? Ojciec Grzeška wstawał od biurka tylko wtedy, kiedy już musiał. Pani Królikowska podawała mu jedzenie na tacy. I trwało to ze dwa lata albo i dłużej. Teraz też sąsiad siedzi i siedzi w swoim gabinecie, od czasu do czasu

58

stukając na maszynie. Słyszę dobrze, bo to za ścianą mojego pokoju. Aneta ma pokój nad Piłko-Królikowską i mówi, że matka Grzeška też siedzi i siedzi, i stuka, a jak jest dłużej spokój, to znaczy, że wyjechała za granicę. Ja dłuższych przerw w stukaniu za ścianą nie zauważyłam, ale Dorotka raz na podwórku chwaliła się, że tata wyjedzie na trzy miesiące i przywiezie jej cały wagon klocków lego.

Mnie tata na razie wysypał na głowę „cały wagon” problemów do rozgryzienia. Jaki on właściwie jest? Przystojny? Co odkryłam teraz, dzięki Pannie Magister. Przecież do byle jakiego brzydala nie uśmiechałaby się tak wdzięcznie ładna młoda kobieta. Choćby nawet miała w tym interes.

Przylapałam jej kilka spojrzeń w stronę taty, kiedy na nią nie patrzył, bo rozmawiał z kimś innym... a potem zaraz patrzyła na mamę, uśmiechając się szeroko. Albo na Wandulę. Czy choćby na mnie (raz!), czyli rodzinę „Marianka”. Jest dorosła, po studiach, a chwilami przypomina mi moje niektóre koleżanki. Nie przypuszczałam nawet, że zapamiętam sobie minki Lusi, Kaśki czy Anety, przecież wcale nie interesowałam się dotychczas tą stroną życia. A teraz mam co porównywać, jak znalazł! Szkoda, że z okazji obserwacji własnego ojca... Chciałabym, żeby mnie te obserwacje tak bardzo nie denerwowały. Bo nie wyciągnę właściwych wniosków, przegapię coś ważnego. Nie mówiąc już o własnych kłopotach w szkole. Nie mogę skupić się na nauce. Aneta wygra ze mną w tym roku, na pewno, jak tak dalej pójdzie. Już ma niezłą kolekcję piątek. Ugruntowała dobrą opinię u belfrów. A ja? Utraciłam zaufanie wychowawczyni. -Powiedziała to na ostatnim polskim. Słyszała skargi geografki, sama też widzi, że się wyraźnie opuszczam, a także staję się niegrzeczna. Tak przy całej klasie wypominała, a mogła przecież wziąć mnie na bok po dzwonku i ostrzec, jak robiła dotychczas! Przestałam być także i jej pupilką. Trudno! Przeboleję to jakoś.

Aneta ma jedwabne życie, nie widać na jej czole najmniejszej troski, może więc gładko wpruć wszystkie przedmioty. Zwłaszcza że jest zdolna. Tego nie mogę nie zauważać. Przez cały poprzedni

rok, odkąd przyszła do naszej klasy, udawałam, że mam

59

inne zdanie, trochę na siłę. Może dlatego część klasy przestała mi przytakiwać i w tym roku zgodnym chórkim wybrali Anetę przewodniczącą. Niektórzy zaczynają krzywo na mnie popatrywać. Wiem, że to jej robota. Sama udaje niewiniątko i cichutko napuszcza jednych na drugich! Dobrze to widzę. Swoje wybryki ' zwała na kogo się da, bo ona musi mieć nieskazitelną opinię. Ona nie może dostać dwóji. Ani oberwać uwagi. Pupilka i prawa rączka nauczycieli na każdej lekcji, od maty po wuef i śpiew. Ochoczo powtarza polecenia i rozkazy, pokrzykuje na nieposłusznych... ; Może im się to w końcu znudzi? Już słyszałam szepty po kątach, że tak nie można, ale się nie włączam. Mieliby dowód, że jednak I jestem zazdrosna, Aneta na pewno wykorzystałaby to odpowied-

від.

A czy ja jestem zazdrosna? Hmm... Chyba tak. Trochę. Nie I mogę się tego wyprzeć, żeby nie skłamać przed sobą. I nie tylko o Anetę, bo Mirka też mnie zdenerwowała od początku (uroda!). I Ale mam przecież obecnie ważniejsze zmartwienia, jakoś może zwalczę zazdrość i podobne uczucia... Elka próbowała mnie przyłapać po dwóch miesiącach rządów Anety-robiła jakieś aluzje, gdy spacerowałyśmy w niedzielę po kościele, korzystając ze słońca. Była bardzo ciekawa, co powiem! Akurat, dam się nabrać, tylko na to czeka, a potem pogawędzi sobie mimochodem z kimś innym, a ten skwapliwie doniesie Anecie. Albo zrobi to sama, kręci się koło niej od wakacji. Moja tak zwana najlepsza koleżanka.

E, nieważne! Grunt, żeby minęło zainteresowanie Panny Magister naszym życiem rodzinnym (czyli Marianem Misiem, jasne). Może minie po zakończeniu eksperymentów? A jeśli nie? W tych sprawach nie ma mądrych, jak powtarzała parę razy dziennie pani Krausowa, kiedy rozwodzili się Królikowscy. Byłam wtedy dużo mniejsza, ale dużo więcej czasu spędzałam na podwórzu i słyszałam rozmowy dorosłych. Dobrze też pamiętam, jak cierpiał Grzesiek. Nigdy tego nie zapomnę.

W jednym z „listów Rafała” pocieszałam sama siebie, że się myślę, że mój ojciec nie wygląda na podrywacza, kocha mamę i tak dalej. A gdyby nawet coś się zepsuło, to przecież mam jego,

60

Rafała, najwierniejszego z przyjaciół... Oby to była prawda! To znaczy, z Rafałem, a nie z koniecznością wypróbowania jego przyjaźni w momencie rozpadania się naszej rodziny, oczywiście! Z Rafałem czy w końcu z jakimś innym chłopakiem... Podejrzewam jednak, że nie będę miała szczęścia w życiu osobistym. Zrobię, co mogę, będę się malować, modnie ubierać-ale czarno widzę własną przyszłość.

Mama znowu musiała powtórzyć, że też nie widzi różowo mojej przyszłości, przy czym miała na myśli wyłącznie szkolną karierę. Złapałam dwóję z maty, dwóję z fizyki, tróję minus z historii, wszystko w ciągu dwóch dni.

- Nosa z domu nie wystawisz, zanim nie zlikwidujesz tych ocen! - grzmiała biegając nerwowo po kuchni, bo spóźniła się z obiadem i tata prawdopodobnie zbliżał się już do naszej ulicy. - Koniec nawet z zakupami, wołę je sama robić, a nie czekać godzinami, aż raczysz łaskawie z nimi wrócić. Koniec z bieganiem pod blok, do Grześka czy kogokolwiek!

- To się nie dotlenie i będę miała jeszcze gorsze wyniki w pracy umysłowej - powiedziałam zjadliwie i spokojnie. Mama biega, ja mogę tkwić jak słup. Na pewno lepiej to wygląda niż wymachiwanie rękami do sufitu i potykanie się o własne kaptcie.

- Czemu sterczysz jak ten słup?-jakby odczytała moje myśli. - Natychmiast marsz do podręczników!

- Już idę, mamusiu - to prawie przekonywająco grzecznie. A z przedpokoju dodałam: - Do szkoły mam dwa kroki, nie zdążyłam się przewietrzyć i głowa mnie boli po sześciu lekcjach. Ale proszę bardzo, mogę siedzieć do nocy. Ciekawe, czego się nauczę.

- Renata! Uspokój się!

- Ja? - zdziwiłam się. - Przecież jestem spokojna i mówię bardzo cicho.

- Milcz!

- Przecież milczę - zdziwiłam się jeszcze raz i zamknęłam drzwi swojego pokoju.

Dobrze, że tata tego nie słyszał. Zresztą chyba bym się przy nim bardziej hamowała. Byłam tamtego dnia bezlitosna dla mamy. Prawie wściekła na nią nie tylko o banalne kazanko, ale i za to, że

61

tak jej się nic nie udaje. Z obiadem, ze mną, z Dominikiem (poszalał w szkole i przyniósł uwagę), z ojcem. Do mamy miałam pretensję, że Panna Magister podrywa tatę. Dlaczego nic nie robi, żeby to przerwać? Żeby ukrócić? Nie widzi? Jakby specjalnie wygląda gorzej niż zwykle, a mogłaby się przecież uczesać inaczej i umalować. Mogłaby trochę schudnąć! Mogłaby kupić sobie nowe ciuchy, przynajmniej jeden, ale szalowy! Mogłaby się do taty częściej uśmiechać! To przecież najmniej kosztuje!

Głowa rzeczywiście rozboleła mnie okropnie. Siedziałam przy biurku, ale nie przeczytałam ani jednej strony podręcznika. Jakoś chciałam dożyć do wieczora, a potem legalnie paść na łóżko i zasnąć, najlepiej na trzy doby. Lub na zawsze! Nie obchodziło mnie, czy mama poskarży się tacie, i co on wymyśli.

Nie poskarżyła, za dużo było ambarasu z obiadem, na który trafiła w dodatku Wandula myśląc, że już po, i będzie spokojna herbatka. Przyniosła szarlotkę. I jakieś wiadomości o dalszej rodzinie czy znajomych, nie dosłyszałam. Rozmawiały najpierw z mamą w kuchni, potem ogólnie przy stole, ale się wyłączyłam. Wandula, oczywiście, popatrywała na mnie ciekawie, na szczęście nie zagadnęła dziarsko, dlaczego mam taką minę, skoro życie jest piękne. Wysoko w górach i na emeryturze - to może jest piękne. I od czasu do czasu w niedziele i święta. Szarej codzienności to ja mam już dość. Przyszła jeszcze na moment pani Królikowska. Ona nigdy nie może rozsiedzieć się po sąsiedzku, kiedy mąż jest akurat w pobliżu - zaraz przysyła Dorotkę albo zjawia się sam z kwaśno-uprzejmą miną i wymyśla dla niej zadanie domowe. Głównym zajęciem pani Królikowskiej Drugiej ma być pan Królikowski. I tak właściwie jest. To jest żona! Wpatrzona w męża i gotowa na każde skinienie. Najlepsza gospodyni w naszym domu. Najlepsza ogrodniczka w naszym miniwarzywniku.

Najlepsza krawcowa--amatorka i artystka w robieniu na drutach. Wzorowa matka i macocha. A przy tym zawsze uśmiechnięta i życzliwie nastawiona do bliźnich. Skarb! Na dodatek ładniejsza od Piłko-Królikowskiej, chociaż matka Grzeška też jest przystojna. Ale jakoś taka

62

dostojna, a mama Dorotki milutka. Lubiłam do nich zaglądać, zwłaszcza pod nieobecność pana doktora. Kiedyś. Bo teraz nigdzie zaglądać nie lubię. Zwłaszcza tam, gdzie mi się wydaje cieplej niż we własnym domu...

Tylko Panna Magister może twierdzić, że u nas zawsze taka wspaniała rodzinna atmosfera. Nie znała nas rok temu. Ja też nie wszystko widziałam i rozumiałam. A czy obecnie jestem dużo mądrzejsza? To właśnie trzeba przeanalizować.

8

Jeszcze przez dwa czy nawet trzy dni po tej awanturze omijałyśmy się z mamą z daleka. Nie odzywała się do mnie, więc ja też milczałam. Wykonywałam wszystko, co do mnie należało, i nawet podciągnęłam się z matmy, poprawiając nędzną ocenę ze sprawdzianu. Sprzątałam, podlewałam kwiatki. Byłam grzeczna dla wszystkich pozostałych domowników, dla gości też. Do koleżanek nie tęskniłam. Przed telewizorem nie siedziałam za długo. Na spacerzy trzeba mnie było wyganiać. Pomagałam Dominikowi w lekcjach. W niedzielę z całą rodziną podziwiałam opustoszałe zoo. I dopiero wtedy wszystko wróciło do jakiejś takiej normy, nawet uśmiechnęliśmy się do siebie przy podwieczorku.

Żałuję, że dopiero wtedy. Wszystkiego żałuję! Wieczorem było u mamy Pogotowie. I to karetka reanimacyjna. Atak serca. Myślałam, że wyjdę na dach i skoczę.

- To nie zawał - uspokoił tatę lekarz. - Nerwica. Zabierzemy żonę do kliniki, gdzie zrobi się resztę badań, poobserwujemy dzień, dwa i myślę, że wszystko będzie w porządku.

- Dziękuję - powiedział tata, niezbyt przekonany tonem. Spytał, czy też ma jechać, ale nie zmieścił się w karetce. Staliśmy na podwórku, a mama uśmiechała się blado i dzielnie w świetle

lampy nad drzwiami i błękitów karetki. Nie odjechali na sygnale, nie spieszyli się za bardzo i to nas podniosło na duchu.

63

- Nie dalej, jak wczoraj... nie, przedwczoraj... rozmawialiśmy o medycynie, proszę pana! - westchnęła do taty obecna oczywiście pani Krausowa. - Pytałam, dlaczego pani, pani Jadziu, nie zrobi sobie na wszelki wypadek wszystkich badań, bo coś blado pani wyglądała już od dłuższego czasu, prawda?

- Tak, nie najlepiej - przyznał krótko tata. - Dobranoc pani.

- Dobranoc, dobranoc! Wola boska - westchnęła nasza właścicielka zamykając z rozpędu bramę na klucz, chociaż jeszcze daleko było do jedenastej. Słyszałam z piętra, jak otwiera ją z powrotem.

Lekarz nie pocieszał nas tylko dla samej pociechy - mama szczęśliwie wróciła już we wtorek wieczorem. Wandula zaraz wpakowała ją do łóżka i nie pozwalała drgnąć.

- O nic się nie martw, rozbiłam już tu swe namioty - wskazała rozłożony fotel. - Marian może spać w stołowym na wersalce. Nie wypuszczę cię w tym tygodniu z domu!

- Dostałam zwolnienie - uśmiechnęła się mama.

T- Śmieliby nie dać! Do liceum już dzwoniłam. Pewnie ktoś cię odwiedzi przed niedzielą, tylko nie rozgaduj się, masz się oszczędzać.

Rozgadana mama! Mrugnęliśmy do siebie z Wandulą, mama uśmiechnęła się. Dominik przysiadł w nogach łóżka i nie chciał się ruszyć.

- Idź do łazienki, idź-Wandula czule poklepała go po plecach.-Już późno., A przecież mieszkasz tu obok za szafą, pogadamy w nocy z mamą, jeśli będzie mogła. Ale najlepiej jej nie męczyć.

- Jutro już będę jak lew - obiecała mama.

- Trzymamy za słowo.-I to było właściwie pierwsze całe zdanie, jakie wypowiedziałam bezpośrednio do mamy. Bardzo drżącym głosem. Bo czułam się winna. I to jeszcze jak! Choćby mama na wszystkie sposoby próbowała mnie uspokoić (ewentualnie, bo nie było mowy na ten temat), nic tego nie zatrze.

- Mam nadzieję, że sama wiesz, jak powinnaś teraz postępować-nie oszczędził mnie tata. Stał przy oknie w ciemnym stołowym z rękami w kieszeniach i nie odwrócił się, gdy

64

weszłam. - Przystałam cię pouczać ze dwa lata temu, zauważyłaś to? Chciałem, żebyś sama zrozumiała niektóre rzeczy... Chyba nie męczymy cię zanadto kazaniami?

- Zanadto nie - odpowiedziałam cicho. Nie wypomnę mu przecież w takiej chwili, że jednak ostatnio ilość kazań wzrosła, a prawdziwych rozmów zmalała. Poszłam do siebie ze spuszczoną głową.

Niestety, później czasem zapomniałam o maminy słabym sercu, ale w pierwszym tygodniu po ataku byłam wzorową córką. Uśmiechałam się nawet czule do Panny Magister, która zapowiedziała, że „weźmie się pstro za Jadziule” i ani razu nie rozmawiała z tatą sani na sam. Przeglądałyśmy wspólnie kolorowe żurnale, jakie przytaszczyła, szukała także czegoś dla mnie. Było miło. Raz zabrała Wandulę samochodem na większe zakupy, będzie to częściej robić chętnie, jak najbardziej, jeśli tylko może się przydać.

- To co, że taka miła? Muszę ją lubić? - mruczał Dominik, kiedy po kolacji pozwoliłam mu posiedzieć chwilę w moim pokoju.

- A czy ja ją lubię? - zastanawiałam się. Czy ja wiem? Byłam akurat w [nastroju bardzo przychylnym dla bliźnich.

- To czemu wychwalasz, że taka miła?

- Dzisiaj miła, powiedziałam! - zaczął mnie jednak trochę denerwować ten nadęty braciszek.-A co, gdyby przywiozła książkę o koniach zamiast żurnali, toby cisie nie wydała miła? Nie było nic dla ciebie i dlatego się nadymasz.

- Głupia jesteś! -;obrazził się, wyszedł i miałam spokój.

A od rana do południa-coraz lepszy humor. Na pierwszej lekcji była fizyka, postarałam się, aby mnie pan Łysiak przepytął, tak z ławki, bo ciągle się po prostu zgłaszałam. No i poprawiłam dwóję. Potem bardzo sympatycznie rozmawiało mi się z dziewczynami, zwłaszcza z Elką. Zupełnie jak w dawnych czasach. Nic dziwnego, że i w samo południe, na historii, byłam wesolutka i aktywna, głównie w szeptach z sąsiadkami i komentowaniu lekcji. No i stało się, przeholowałam. Pytana Ania stękała, stękała, wreszcie została odesłana do ławki z dwóją. Pani wyrwała Anetę.

Pepek węża

.65

Niespodzianie. Aneta odpowiadała już dwa razy i niczego się nie obawiała. Stękała niezgorzej od Ani, ale pani Roszkowa cierpliwie podsunęła jej dwie, trzy myśli, dopowiedziała wniosek końcowy.

- To chciałaś powiedzieć, prawda? - zasugerowała Anecie wpisując jej do zeszytu czwórkę plus.

- Tak, tak, oczywiście! - Aneta szybko zamrugęła oczami. Czerwona, ale z dumną miną, wracała na swoje miejsce. Ktoś z tyłu mruczał o niesprawiedliwości, inni też poszeptali. A pech chciał, że nauczycielka popatrzyła na mnie w momencie, kiedy robiłam do Ani bardzo jednoznaczną minę, mówiącą wyraźnie: „Widzisz, ty nie podskakuj, dla ciebie są tylko dwóje, reszta dla Anety”!

- Misiówna - zapiszczało z katedry. - Słyszałam już od innych nauczycieli o twoim bezczelnym zachowaniu, a teraz widzę je na własne oczy! Poproszę zeszyt i dzienniczek, na wszelki wypadek, gdybyś udawała, że zgubiłaś. Oboje rodzice podpiszą uwagę! Co to za miny i gest? Uważasz, że lepiej oceniasz wypowiedzi koleżanek? Znasz się na tym?

- Ona chciała powiedzieć Ani, że powinna tak się uczyć jak Aneta - odezwała się niespodzianie Elka. Może tak z rozpędu, po miłej rozmowie na przerwie, ze starej przyjaźni? A może chciała na wszelki wypadek przypodobać się Anecie? W każdym razie byłam jej wdzięczna.

- Tak? Już Misiówna najlepiej wie, co chciała powiedzieć. Prawda? No, wytłumacz to koleżankom i kolegom.

Milczałam. Uwaga w zeszycie i w dzienniczku była bardzo długa, koniec moich postanowień niemartwienia rodziców, zwłaszcza mamy!

- Nie raczysz się do nas odezwać? Dobrze, dopiszę i to - czerwony długopis ruszył z kopyta.

- Przecież wszyscy wiedzą, że Aneta... - zaczęłam ze złością, ale w połowie, zamiast „zawsze musi dostawać lepsze stopnie”, skrzyłam bardziej dyplomatycznie:-...nie dostaje dwój!-co też nie zabrzmiało najlepiej. Podałam się. Dorzuciłam ciszej: - Umie odpowiadać.

66

- W każdym razie zachowujesz się pięknie-pani Roszkowa zamknęła zeszyt i dzienniczek, rzuciła je na brzeg katedry. - Siadaj! A my zajmiemy się nowym tematem. Za dużo czasu już zmarnowaliśmy.

Byłam wściekła, także na siebie, że stchórzyłam i nie powiedziałam wyraźnie tego, o czym klasa szepcze po kątach. Ktoś to kiedyś musi powiedzieć. Szkoda, że padło akurat na mnie i w nieodpowiednim momencie.

* Aneta dumnie wyszła z klasy, zagarniając po drodze niektóre dziewczyny. Cóż, poszeptają, ciszej i podstępniej mnie załatwią. Może Aneta czuje jednak, że zaliczyła niesprawiedliwą ocenę, i nie chce na razie podskakiwać? Bo nie wszyscy patrzyli na nią z sympatią, gdy tak wypływała dostojnie za drzwi.

- Co się martwisz? - pocieszył mnie znieńacka Sławek. - Przecież wiadomo, jak jest! A Roszkowa to tylko Roszkowa!

- Chcesz? - spytał, równie znieńacka, Jarek kładąc mi na stoliku sporą gruszkę. Nie czekał na moją reakcję, wyszedł za Sławkiem. A Elka omal nie przysiadła tej gruszki. Majtała nogami i gadała o modzie przez pół przerwy. Potem, co prawda, poleciała do Anety, ale pierwszy odruch też się przecież liczy.

Wlokłam się ze szkoły sama, daleko za grupką Anety, i próbowałam pocieszyć się jakąś weselszą myślą, ale nie wychodziło. Muszę obie uwagi pokazać w domu, to jasne. Może niekoniecznie dzisiaj? To zależy od nastroju rodziców. Następna lekcja historii dopiero w przyszłym tygodniu. Też niedobrze - tata ma kiepski humor, gdy nie przewietrzy się za miastem w weekend, a pogoda

paskudna, zaraz lunie i może tak łać przez kilka dni. Listopad.

Tata już miał zły humor. Wandula podała nam obiad, wesoło rozmawiając na rozmaite tematy (a raczej: monologując), pozmywała gary, przebrała się i oznajmiła:

- Misja spełniona, ruszam na swoje śmieci. Co za długo, to niezdrowo. Upiekłam coś na podwieczorek, zjedzcie spokojnie, wspominając mnie ciepło! Marian, przyznaj, jeszcze dzień, a otrulbyś teściową, co? Widziałam, jak grzebiez w tej swojej zakazanej chemicznej szafce!

5*

67

- O, przecież obiecałeś, że mi coś dasz do doświadczeń! - zawołał Dominik ułatwiając tacie sytuację. - Wszystkie materiały z „Małego Chemika” mi wyszły!

- Jak obiecałem, to dam-mruknął tata.-Teraz nie nudź, rozmawiamy z babcią. Może jednak zostaniesz na podwieczorku? - zwrócił się do Wanduli. - Po co ten pośpiech?

- Właśnie? - odezwała się mama z wersalki. Ubrana. Wstała zaraz na drugi dzień po powrocie ze szpitala, ale Wandulą chwila kazała jej kłaść się i odpoczywać.

- Postanowione, kości wyrzucone! - Wandula zmrużyła oko. -A poza tym za pół godziny ma u mnie być jedna stara koleżanka, umówiłyśmy się jeszcze w ubiegłym miesiącu - Wandula radośnie dopakowała rzeczy w torbie. Wzięła też mamina beżową wełnianą garsonkę, spyta krawcową, czy da się przerobić na mnie. Bo pani Królikowska zupełnie nie ma teraz czasu na szycie-pan Królikowski finiszuje z jakimś bardzo ważnym egzaminem.

Wandula wyszła, jej zięć również, dźwigając torbę, i zrobiło się w mieszkaniu okropnie cicho.

Mama czytała „Przekrój”, potem zasnęła. Nic, tylko się uczyć i odrabiać lekcje. Ale chciało mi się spać, nie uczyć. Przyłożyłam się na moment do poduszki - nic z tego, do pokoju weszła Mirka. Dominik ją wpuścił. Zupełnie zapomniałam, że ma dzisiaj przyjechać. Nie ucieszyłam się. Zwłaszcza gdy stwierdziłam, że kuzynka zauważyła trzy koperty z „Poznania” leżące na środku biurka. Że też akurat musiałam je wyjąć z szuflady!

- Popatrz, mam tu spuchnięte, co?-szybko pokazałam jej swój lewy profil, wyciągając szyję. - O, tu, za uchem i tak bardziej wzdłuż?

- Nic nie widzę - odparła Mirka odwracając się tyłem do biurka.

- Może mi się tylko zdawało - wstałam i schowałam listy. - Może mi się zbiera na grypę? - Milczała grzebiąc w szafie.-A ty nigdy nawet nie kichasz, co? - zabrzmiało to zjadliwie, skasowałam więc następnym pytaniem towarzyskim: - Miałaś dobrą podróż?

68

- Owszem. Tylko tutaj pod domem napadł na mnie Gniot - powiedziała to ze zwykłym spokojem. - Podarł mi pończochę. Nie wiesz, co mu się stało?

- Nie mam pojęcia! - wykrzyknęłam zerkając na tę pończochę. - Przecież on taki łagodny.

- Muszę to zaraz zaszyć-Mirka ściągnęła ofiarę Gniotą z długiej nogi i zaczęła rozglądać się za igielnikiem. Wszystko ma zawsze w swojej podręcznej torbie.

Wolałam wyjść z pokoju. Poszukałam Dominika. Siedział w kącie za szafą i na mój widok szybko zakrył coś na stoliku.

- Co mnie szpiegujesz? Pogadaj z kuzynką! - warknął.

- Już pogadałam. Gniot poszarpał jej pończochę. To twój sukces - pogratulowałam zaglądając mu przez ramię.

- Twój też! Gdzie mi tu pchasz nochal? Zostaw toj - trzepnął mnie w rękę, bo chciałam bliżej obejrzeć porcelanowy słoiczek stojący na stoliku.

- Przecież to z tajnej apteczki taty! - odkryłam. - Sam wzięłeś, czy ci dał? Nie zauważyłam!

- Ojej, przecież obiecał... to tak, jakby dał-mruczał niewyraźnie Dominik. - Kluczyk zostawił na szafeczce - usprawiedliwił się.

- No, to oberwiesz! Nie wiesz, czy tata pozwoliłby ci wziąć! Radzę ci, odnieś to. I to tak, żeby mama nie widziała.

- Mama śpi - zniżył głos. - A ja domknąłem drzwi od stołowego, jak Mirka zaczęła dzwonić - porwał słoiczek i jeszcze jakąś fiolkę i wybiegł do łazienki. - Tylko mi nic na stole nie przewracaj! - zasyczał jeszcze od drzwi.

- Dobra, dobra, o niczym nie marzę, tylko o grzebaniu w twoich śmieciach! - rozżłościłam się. Postąpiłam chwilę przy oknie w sypialni, nie chciało mi się gadać z Mirką. O czym? Może o kłopotach szkolnych? O wojnie z Anetą? Chyba jej to nie interesuje. Nie zauważyłam, by się czymś bardzo interesowała. O wszystkim mówi powolutku, na jednym tonie. Nie wyraża żadnych żywszych pragnień. Nawet sztuką interesuje się chyba tylko wtedy, kiedy rodzice ciągną nas wszystkich do krakowskich muzeów, na jej cześć. I zawsze jest z

69

tych wypraw zadowolona - to znaczy na pytanie: „i co, Mirka, podobało się?” odpowiada z uśmiechem: „podało, wujku” czy „ciociu”. To już prędzej z Dominikiem mogę dzielić się wrażeniami.

- Zrobiłaś Mirce herbaty? - spytała mama stając w drzwiach sypialni.

- Nie, jeszcze nie zdążyłam, dopiero co przyszła - poderwałam się. Nie pomyślałam o roli gospodyni, fakt.

- Może jest głodna? Podgrzeję jej coś z obiadu, chyba zostało - powiedziała mama.

- Może ja? - byłam teraz gorliwa.

- Nie, nie, ty odrabiaj lekcje. Przyślij mi Mirkę do kuchni.

- Dobrze, mamusiu.

Mirka nie miała nic przeciwko spożyciu odgrzewanych resztek. Porozmawiały chwilę z mamą, nie słyszałam, o czym. Mama jakoś potrafi z niej więcej wydusić. Też bardzo zdziwiło ją zachowanie łagodnego Gniotą. Dominik zaczął mrugać do mnie zupełnie głupio, musiałam kopnąć go pod stołem, kiedy przy kolacji omawiano po raz setny zachowanie psa.

- Przywiozłaś może z podróży denerwujący dla niego zapach - przypuszczał tata uśmiechając się do Mirki jak zwykle nieco bardziej ciepło niż do nas. - Macie może agresywnego psa na podwórzu?

- Nie, wujku.

- A na was też się rzuca? - spytała mama. - Może się wściekł?

- Nie, skąd! - wykrzyknął Dominik.

- On jest szczepiony - dodałam.

- To mu się coś ubzdurało - podsumował tata wsadzając nos w gazetę.

Dominik, dumny jak treser, snuł szeptem wielkie plany, ale go zbyłam, przestało mnie to bawić.

Wolałam poczytać. Do późna, bo Mirkę też opanował zapał czytelniczy, aż tata musiał do nas zajrzeć i zgasić światło. Niby sobota na horyzoncie, można się wyspać - ale tata zaplanował zwiedzanie Wawelu. Niestety.

70

Wybraliśmy się przed obiadem, podobno mniejszy tłok (nie zauważyłam!). Byłam tu już tyle razy, a za każdym odkrywałam coś nowego w komnatach królewskich czy w katedrze lub skarbcu - ale tamtej soboty snułam się po Wawelu bez większego zainteresowania. Nawet Mirka pobiła mnie w aktywności: notowała pilnie, co wisi, a co jest na stałe namalowane na tynku i co ciekawszego stoi pod ścianami. Grzesiek, który tak długo kręcił się pod naszymi oknami na podwórku, aż go tata zaprosił, z superpoważną miną wynajdywał wciąż nowe szczegóły, żeby czegoś przypadkiem nie pominęła i żeby stale była zajęta. Bo męskie grupy wycieczkowe oglądały się na nią lekceważąc to, na co kazali patrzeć przewodnicy. Dobrze zauważyłam te Grześkowe manewry. Tata, oczywiście, nie. Bardzo był zadowolony, że młodzież taka pilna i porządna. Ja też powinnam była wziąć notes - zaznaczył. To nic, że mam Wawel na co dzień, wiedzę trzeba utrzymywać. I tak dalej. Dominik ziewał za plecami taty, ratowały go tylko kapcie, na których ślizgał się niemal artystycznie, z figurami. Kiedy tata patrzył w inną stronę, ma się rozumieć.

Nie chciałam przeszkadzać Grześkowi, tym razem nie złościło mnie jego zainteresowanie Mirką.

Wyobraziłam sobie w sali balowej, że idzie u mojego boku Rafał, i wtrącanie się osoby trzeciej uznałam za wstrętne. Przyznaję, podpatrywałam ich gesty i miny i powtarzałam je „na niby”...

smutne i żałosne widowisko dla kogoś, kto z kolei mógłby podpatrywać mnie, a raczej całą scenkę!

Rozstałam się z „Rafałem” dopiero po wyjściu z dziedzińca, odsyłając go do kiosku z pamiątkami - miałam zaczekać na niego pod katedrą. Omal się nie poryczałam kończąc tę dziecinną zabawę!

- Patrz, Mirka, jaka ona smętna - usłyszałam głos Grzeška, kiedy rzeczywistość znowu zaczęła do mnie docierać. Schodziliśmy już na dół ze wzgórza, od strony Smoka. Drgnęłam, bo jakby się ze mnie wyśmiewał. Grzesiek! Cóż, każdy pretekst jest dobry, żeby tylko móc wymówić imię „Mirka”... Rozumiem to. Ale było mi przykro. - Czym ty się tak martwisz, dziewczyno?

71

- Plamami na Słońcu - odpowiedziałam ponuro.

- To normalne zjawisko - zaśmiał się radośnie. I dawaj tłumaczyć Mirce, co wyczytał niedawno w „Problemach” oraz innych pismach. Nie dosłyszałam, czy Mirka zareagowała choćby mruknięciem. Staralam się na nich nie patrzeć. Człapałam za kroczącym zdecydowanie tatą, który ciągle coś referował Dominikowi, i czułam się jak prawdziwy, nie bajkowy Kopciuszek. Życiowa fujara. Podrzutek-odrzutek. Nigdy nic mi się nie uda, to pewne.

- Renata! - zawołała mnie już pod domem Elka. Jechała na rowerze w nowym jaskrawym dresie. Pomachała, podjechała, stanęła. Zaczekałam na nią bez entuzjazmu. - Byłam u ciebie, ale mama powiedziała, że zwiedzasz Wawel. Co ci się stało?

- Trzeba było pokazać go kuzynce - wzruszyłam ramionami.

- Ja się pytam, czemu masz taką minę?

- Minę? Zwyczajną.

- E, nie kręć! - zniżyła głos. Oko jej zabłysło: - Rafałek nie pisze? Albo brzydko pisze?

- Też coś! To ja mu brzydko odpisuję, jeśli chcesz wiedzieć - prychnęłam możliwie beztrąsko. Że też ta Elka musi trafiać w dziesiątkę! Na nosie mam wypisane, że myślałam właśnie niedawno o Rafale? Dodałam z westchnieniem, nie patrząc na nią: -Mało to człowiek ma innych kłopotów?

- Masz na myśli aferę z Roszkową? - Elka ściszyła głos i rozejrzała się. - Mnie się też to nie podoba! Dobrze jej odpowiedziałas, nie przejmuj się. Ale szkoda nerwów na belfrów, mówię ci, trzeba utrzyć nosa Anecie!

- Co to, pokłóciłyście się? Przecież od wakacji trwała między wami wielka sielanka - zabrzmiało to ironicznie. Bardzo dobrze.

- E tam! Niektórzy w "klasie już też przejrzeni - może nie zauważyła tej ironii, bo nie zmieniła tonu. - Ostatnio nieźle dokuczyła Jolce, Kaśce, przez nią wleciała uwaga do dziennika Jarkowi, wkopała też Roberta. Nazbierało się trochę, nie?

- No i co z tej wylizanki?

- Właśnie mówię, żeby ^ej utrzyć nosa. Zbliżają się twoje imieniny?

72

_ Zbliżają.

- Zaprosi ją! Przecież w zeszłym roku zaprosiłaś. _ No to co?

- To to, że zaprosisz starą wiarę, czyli także Lusię, Kaśkę i Jolkę, prawda? I już ja się postaram, żeby one jej nadokuczały! Co Aneta rozkaże: teraz bawimy się w to i tamto, to my w coś innego. A jak już nie wytrzyma i zacznie się obrażać, to wsiądziemy na nią chórem i powiemy, co cała klasa o niej myśli naprawdę.

- Ale po co wam do tego moje imieniny? Ja już powiedziałam swoje, i to w klasie, a nie w prywatnym kąciuku. I nie zamierzam wcale z nią wojować.

- No właśnie! - Elka chyba trochę zaplątała się w ten swój wspaniały plan, ale nie mogła się wycofać. Wzięła mnie pod ramię i dowodziła: - Ja bym chciała was pogodzić, rozumiesz? Bo po co ci to? Aneta walczy nieuczciwie.

- I do pogodzenia nas potrzebna ci dzika awantura na moich imieninach właśnie? Dziękuję!

- Potrzebna! Bo to ty nas pogodzisz, jako gospodyni, rozumiesz? Wypadnie to naturalnie.

- E, niewyraźny ten twój plan. Nie podoba mi się.

- Czekaj, jeszcze to przemyśl. I przyjdę do ciebie, żeby omówić szczegóły. Na razie spadam.

Cześć!

A ja wzruszyłam ramionami. Też wymyśliła! I co ona chce właściwie osiągnąć? Rozgryzę to, ale

później. Mam o czym myśleć poza tym.

W domu tata wychwalał przed mamą postawę Mirki, a mnie zganił:

- Zobaczysz, kuzynka będzie znała Kraków lepiej niż ty, ani się obejrzysz. Uważasz, że jeśli się tu mieszka, to ma się czas i można odkładać zwiedzanie w nieskończoność? Na trasie w byle wiosce jesteś aktywniejsza - stwierdził.

- Kraków rozleci się od pyłów przemysłowych, zanim go dokładnie ruczysz zwiedzić - zażartowała mama. Zauważyła być może, że otwieram usta w zamiarze wygarnięcia tacie, co myślę o wścieklej planowanej turystyce, i ocaliła spokój domowy.

- A niech się rozleci! - mruknęłam tylko do siebie, bo ze

73

stołowego wyszłam bez słowa, a nawet z wymuszonym śmiechem. Geografka do spółki z panem Misiem i jego teściową wkrótce do reszty obrzydzą mi poznawanie rodzinnego kraju, jak tak dalej pójdzie.

Nie odezwałam się już ani słowem do Mirki przez cały wieczór, ale chyba tego nawet nie zauważyła.

Elka tak długo tłumaczyła mi, że to będzie delikatne ostrzeże nie dla Anety, która może opamięta się bez wywlekania sprawy przed całą klasą, aż się poddałam. Przedstawiłam mamie listę gos'ci, a dopiero następnego dnia obie uwagi pani Roszkowej, by już nie mogła wycofać się z obietnicy urzędzenia imienin. Dała ją w obecności Panny Magister. Ustaliłyśmy szczegóły, chyba ją to zaczęło bawić... Za to nazajutrz!

- Dziecko!-powiedziała cicho, siadając z zeszytem i dzienniczkiem w fotelu. -1 co ja mam teraz z tym zrobić?

Gdyby krzyczała jak zwykle, to pewnie bym się zacięła i awantura zatrzęsłaby domem jak tajfun. A tak, to rozryczałam się niespodzianie.

- Uwzięli się na mnie wszyscy, czy co? Staram się przecież! To jest niesprawiedliwa uwaga! Pani Roszkowa złości się, bo to ona zawiniła. Każdy w klasie ci to powie - beczałam tak, że nawet nie zauważyłam powrotu taty do domu. Stał za moimi plecami przez cały czas. A ja streściłam, o co poszło. I dołożyłam plan Elki w zarysie. - Chcemy to załatwić na razie między sobą, niech Aneta przyzna się, że to jej wina, niech mnie przeprosi... I innych też! Bo inaczej zrobimy zebranie w klasie. Z wychowawczynią i rodzicami. I panią Roszkowa. Bo to jest niesprawiedliwe...

- Cicho, nie rycz! Nie odbieram ci przecież tych imię- ; nin-mama popatrzyła na tatę i dopiero go zauważyłam.

1

- Ja nie ryczę o imieniny... tylko o sprawiedliwość - wykrztu siłam. Musiałam się wysmarkać. To była chyba zabawna scena tak z boku, ale wtedy tkwiłam w samym jej środku.

74

- Niedobrze, jeśli jest tak, jak to przedstawiłaś - zmarszczył brwi tata. -1 rzeczywiście możecie to najpierw załatwić same. Ale nie wolno ci się tak zachowywać wobec nauczycielki. Wyraźnie napisała, że robisz bezczelne miny, mruyczysz i tak dalej. Przeprosisz panią Roszkowa, a my sprawdzimy to.

- Masz wprawę, przepraszałaś już geografkę - westchnęła mama gorzko. - Renata, Renata, co to z tobą będzie?

- Dobrze będzie - ryczałam dalej, wycierając nos. - Niech się tylko wszyscy przestaną mnie czepiać.

- Spokój!-znieczierpliwiał się tata.-Cicho już! Idź do siebie, podpiszemy te uwagi i potem powiemy ci, co postanowiliśmy z mamą. A ty bezwzględnie się do tego zastosujesz. Bez-względn--nie! - powtórzył. - Zrozumiałaś?

- Tak - wyjęczałam i powlokłam się do swojego pokoju, gdzie ryczałam w poduszkę jeszcze z kwadrans.

Może nie mieli pojęcia, co ze mną zrobić, zwlekali w każdym razie z rozmową do późnego wieczora, kiedy już Dominik poszedł spać. Dowiedziałam się, że dotychczas mieli do mnie

zaufanie, które ostatnio jednak nieco poderwałam, na każdym odcinku zresztą. Dlatego po imieninach nie będzie żadnych rozrywek aż do świąt. Będzie poprawianie ocen i opinii nauczycielki. Im prędzej się z tym uwinę, tym lepiej. Chyba sama rozumiem.

- Tak, oczywiście - kiwnęłam głową.

- Jutro przeprosisz panią Roszkowa - powtórzył tata. - Przed lekcją, po co ma ci przygadywać przy klasie. Bardzo grzecznie ją przeprosisz.

- Tak.

- No! - zakończył tata.

- Idź spać, idź! - westchnęła mama. - Bładi wyglądasz. Może boli cię „głowa”?

- Boli.

- Niech nie przyzwyczajają się do proszków - skrzywił się tata widząc, że mama sięga do apteczki. - Niech sobie zrobi zimny kompres z ręcznika.

- Dobrze, zrobię jej kompres - powiedziała mama. Ale gdy mi nie przechodziło pod mokrym ręcznikiem, dała mi proszek. I

75

pogłaskała po włosach. - Śpij, śpij, buntowniku! Na pewno nie] wszystko na świecie jest w porządku. Ale nie od razu da się to poprawić... Dobranoc!

- Dobranoc - uśmiechnęłam się do niej, chociaż było ciemno w pokoju. Całkiem nieźle skończyła się afera na odcinku domowym, j Jeszcze tylko wysłuchać kazania pani Roszkowej, ewentualnie aluzji wychowawczynie, i spokój. Można zacząć nowe życie. Z mocnym postanowieniem poprawy.

- Co się stało? Roszkowa nic nie powiedziała, tylko rzuciła okiem na te podpisy pod uwagami. No, no. Postęp! - dziwił się

Sławek po historii.

- Jak widzisz - mruknęłam. Nie będę mu przecież streszczać rozmówki w pokoju nauczycielskim przed historią. Nie ma się czym chwalić, stękałam jak ostatnia gęś. I nawet łza mi się w oku zakręciła. Ze złości, ale pani Roszkowa mogła to odczytać inaczej.

Patrzyła z satysfakcją, jak się męczę. I po krótkim kazaniu!

łaskawie „tym razem” wybaczyła. Zlitowała się. Musiałam, naprawdę wyglądać żałośnie, ze spuchniętymi po wczorajszych l rykach oczami. Elka przyglądała mi się ze zrozumieniem i na i szczęście nie odezwała się. Może przesadzam z tymi jej „zdrada-J mi”? Może lubi mnie jak dawniej, a jednocześnie nie przeszkadzaj jej za bardzo Aneta i chce nas pogodzić? Nie miałam głowy do' analizy sytuacji. Dałam się prowadzić za rączkę, niech robią na, moich imieninach, co chcą. Jak to będzie zbyt głupie, to się przecież zorientuję w porę i zadziałam. Snułyśmy już wspólnie wiele takich koleżeńskich intryg w młodszych klasach i wiem, że rzadko wychodzi wszystko tak, jak się planuje. Trzeba działać na żywiol. Kiedyś byłam dobra w takich kombinacjach. Teraz zaJ dużo na mnie spadło i Aneta wygrywa.

Wysiliłam się i narysowałam przepiękne zaproszenia, z kwia-^ tuskami-serduszkarm, dla każdej z osobna. Dla każdej -bo ani jeden chłopak nie zmieścił się na liście. Oprócz Grześka, ale on już wcześniej zapowiedział, że doży rai tylko życzenia, bo gdzieś tam z Pilko-Srólikowską jechać. A Dominik się me

76

Zastanawiałam się, jak wręczyć zaproszenie Anecie, żeby wypadło naturalnie - okropnie mnie peszy drętwa sytuacja. Czy podrzucić jej do domu (czyli wetknąć w drzwi), czy dać w klasie, razem z innymi? Staralam się unikać starcia z nią od tamtej nieszczęsnej historii, zamieniłyśmy nawet kilka słów na wuefie, siedząc na ławce dla niećwiczących, ale to mało i Aneta może się zdziwić. A już ona potrafi bardzo obraźliwie się dziwić. Zwłaszcza przy licznych świadkach. I jak jej to dać? „Szczerze-serdecznie” czy tak, żeby odczuła, że to tylko dlatego, że siedzi z Lucyną, którą

zapraszam, i elegancko będzie nie pomijać jej sąsiadki. Nie wiedziałam, jak to ugryźć, całą noc rozmyślałam przewracając się na łóżku. To wcale nie są małe problemy! Mama połowy spraw nie załatwiła jak należy tylko dlatego, że wybrała złą formę - nawet sama to zauważyła ze dwa razy, w sklepie i u fryzjera. A Wandula potwierdziła, że mama właśnie zawsze miała z tym kłopoty, już w piaskownicy. Tata też nie jest gigantem dyplomacji. Jest uczciwy, nie kręci, lubi, żeby wszystko było jasne i wykonane według planu. I porządnie. Może Panna Magister dlatego wybrała do pomocy właśnie tatę? Podkreślała ciągle te właśnie „znakomite cechy”... Które na co dzień są dosyć nudne. Ale Panna Magister jeszcze nie spędza z nami całych dób.

Wszystko, o czym myślałam, kończyło się zawsze nawiązywaniem do Panny Magister! Zaczęło mnie to już męczyć. Ale nie mogłam się od niej uwolnić. Kiedy i jak skończą się te wspólne z tatą eksperymenty? Teiaz, kiedy okazało się, że mama ma nerwicę serca (i ogólnie nie jest zazdrosna), tata może powinien ukrócić nieco swoje kontakty towarzyskie. A może mama przez niego wpadła w nerwicę? A ja się na nią głupio w duchu złościłam, że nie widzi nic? Zapytać wprost... Jak? Też głupie! A może to tylko moje przywidzenia?

A może! A może! Głowa pęka. Ale ja naprawdę najbardziej na świecie boję się tego, co przydarzyło się Grześkowi. Choć jakiś czas po rozwodzie wszyscy Królikowscy mieli nawet wesołe miny, a sąsiedzi duży temat do plotek. Matka Grzes'ka nie mogła przecież wyprowadzić się z mieszkania, uie miała dokąd. I były dwie panie Królikowskie pod jednym dachem. I żadnych w

77

związku z tym afer. Dramat przeżyła dopiero mała Dorotka, kiedy ją niecałe dwa lata temu rozłączono z bratem. Spać nie mogła, wymiotowała po i przed jedzeniem, ryczała. Uciekała z domu. Na szczęście dla niej „ciocia Piłko” często wyjeżdża, ugruntowując karierę, i Grzesiek wraca pod stary adres. Nie wygląda na niezadowolonego z tego układu - ale jak człowiek wygląda, a co czuje, to mogą być zupełnie różne rzeczy! Tyle już wiem, chociaż na razie sama nie potrafię zbyt dobrze ukrywać swoich uczuć.

Z Anetą poszło gładko. Wykorzystałam moment w klasie tuż po dzwonku, kiedy pakowalis'my się do ławek, a pani jeszcze nie weszła. Pos'piech był nawet wskazany. Wcisnęłam Anecie i Lusi po karteczce, ich sąsiadkom też, i zwiłam do siebie mówiąc, żeby sobie to przeczytały i kiwnęły mi głowami na lekcji, czy przyjdą. Kiwnęły wszystkie. Aneta nawet się blade usmiechnęła. Napisałam na zaproszeniach, że obowiązują stroje udziwnione i będzie konkurs na ciekawe dodatki, więc na przerwie dziewczyny zaciągnęły mnie w kąt korytarza, wypytujac o szczegóły.

- Przecież to wy macie coś ekstra wymyślić! - śmiałam się. -Nie mogę wam podpowiadać. To chyba jasne!

- Jasne! - westchnęła Lucyną. - Ale moje dwie siostry ostatnio wyczyściły chałupę z wszystkich ciekawszych dodatków. Mama ciągle narzeka, że goła chodzi.

- Na pewno coś wykombinujesz, nie lamentuj - powiedziała spokojnie Aneta. Stała za Lucyną i na początku jej nie zauważyłam. Uśmiechnęłam się do niej, przymrużyłam oko.

- Jasne, że wykombinuje - powiedziałam. - Ale przedtem musi się nawyzalać. Lucyna, nic się nie zmieniasz od pierwszej klasy!

Przygadywałyśmy sobie tak na wesoło przez całą przerwę, ale po dzwonku, chociaż byłam w świetnym humorze, pilnowałam się bardzo. Siedziałam na lekcji jak trusia, wpatrzona w tablicę i belfra. Kaśka nawet chciała mnie wypróbować i kłuła delikatnie agrafką - nie drgnęłam. Potem jej nawymyślałam, też na wesoło. Wracałyśmy ze szkoły wszystkie razem rozgadane jak kiedyś,

78

choć deszczyk nas nie oszczędzał. Pomachały mi na pożegnanie, gdy skręciłam w naszą uliczkę. Stały przypadkiem według wzrostu w prawie identycznych pozach, z takimi samymi minami - istna defilada ku czci solenizantki. Cóż, widocznie wystarczy obiecać koleżankom kawałek tortu i okazję do przebrania się w mamine ciuchy, a już wraca stara zardzewiała przyjaźń. Cieszyć się, czy płakać? Raczej byłam jednak zadowolona, przyznając. Postanowiłam, że te imieniny będą miłe i scementują nas ponownie.

- Ja ci też zrobię przyjemność - obiecał Dominik tajemniczo. Domyślałam się, jaką, bo coś zbyt chętnie biegał do pana Gajdy, aby wyprowadzać Gniotą na trawkę.

- Tylko nie przesadz! Nie chcę tu krwawego rozszarpania człowieka przez łagodne udomowione zwierzę - pogroziłam mu palcem.

- Skąd wiesz, co ja chcę zrobić? - zaśmiał się głośno, ale z wydłużoną miną. - Jasnowidzka się znalazła!

Szkoda, że nie jestem jasnowidzem... Imieniny miały być nagrodą za podciągnięcie się w nauce - więc naprawdę solidnie wkuwałam i powtarzałam, powtarzałam i wkuwałam, siedziałam przy biurku zatykając uszy, żadna Elka czy Grzesiek nie mogli mnie z domu wyciągnąć po szkole. Każdy belfer byłby ze mnie zadowolony, gdyby to widział. I co? Mam pecha? W przeddzień imienin rano mama kazała mi zostać w łóżku. Miałam temperaturę. Wmawiałam rodzinie, że to z przejęcia i przemęczenia, zaraz powinno minąć, ale nie mijało. Przyszła pani doktor i stwierdziła grypę.

- Tydzień murowany! - westchnęła mama; A lekarka przytaknęła.

- E, bo lekceważycie sobie ostatnio dalsze wycieczki i rozhar-towujecie się! - zdenerwował się tata, gdy tylko wyszła. - Od lat z tym walczę, nie zauważyliście? Dla was to tylko moje zwariowane hobby, prawda? - i też wyszedł na zdrowotny spacer, zabierając Dominika.

Poryczałam się ze złości, a potem zasnęłam i spałam do wieczora. Calutki dzień. Tymczasem zaniepokojona Elka przyszła

79

razem z Kaśką do mamy po informacje, potem po południu wpadła jeszcze raz, taszcząc zebrane wśród dziewczyn prezenty. Ale spałam tak mocno i smacznie, a wyglądałam podobno tak biednie, że mama „nie miała serca mnie budzić”. Poza tym-higiena. Może jestem źródłem szczególnie paskudnych zarazków, z dzisiejszymi grypami nic nie wiadomo. Dziewczyny poszeptaly z mamą, obiecały, że wpadną w połowie tygodnia z lekcjami-i miałam je z głowy. Tylko Aneta nie przestraszyła się zarazków. Chociaż na wszelki wypadek mama kazała jej siedzieć na krześle tuż przy drzwiach pokoju i nie podchodzić do łóżka.

- Cześć! - powiedziała siadając. Rozejrzała się dyskretnie.-Jak się czujesz?-na kolanach trzymała kwiatki i książkę opakowaną w kolorowy papier. I był to dokładnie dzień imienin.

- Nie tak źle - zachrypiałam. Może nawet bardziej z wrazenia niż z bólu gardła. - Mam pecha!

- Nie przejmuj się. Urządzisz bal w przyszłym roku-pocieszyła. - Z tym konkursem na dodatki to fajny pomysł! Jeszcze wykorzystamy... Podobno miałyście też inne pomysły, o których ja miałam dowiedzieć się ostatnią? - wypaliła prosto z mostu. -Tak coś słyszałam. Ale nie przejmuj się, wisi mi to, poradziłabym sobie.

- Na pewno - uśmiechnęłam się niezbyt szeroko. Czułam, że się czerwienię, choć i tak miałam wypieki z gorączki. - Ja też nie znam tego... pomysłu w szczegółach - powiedziałam po chwili, bo wydało mi się, że Aneta czeka na wyjaśnienia. - Miałam nadzieję, że opanuję sytuację.

- Aha!-kiwnęła głową. I zmieniła temat na szkolne plotki. Po półgodzinie już jej nie było, a ja patrzyłam na puste krzesło z głupią miną. Żałowałam, że nie posiedziała dłużej. I byłam wściekła na Elkę. Już na pewno nie dam się nabrać na jej inne plany. Może nawet nadała Anecie, że to mój pomysł? I jak ja teraz wyglądam? Wygarne jej wszystko, jak tylko raczy się tu zjawić. Obrazi się, to trudno, będę wreszcie wiedziała coś o jej przyjaźni.

80

- Gorączka wcale nie spada - usłyszałam mamę mówiącą do Wanduli w przedpokoju. Pewnie, zdenerwowałam się niezłe!

- Przyniosłam dodatkowy tort-Wandula mrugnęła do mnie od drzwi. Uśmiechała się od ucha do ucha, jakbym zrobiła niezły kawał kładąc się do łóżka w imieniny. - Myślisz, że nie damy mu rady? Damy! Czy kazali ci zachowywać dietę? - szepnęła konspiracyjnie z bardzo zabawną miną. Uśmiechnęłam się mimo woli.-Mam nadzieję, że nie?

„- Nie było mowy o brzuchu - powiedziałam. -I mam apetyt na tort.

- Świetnie. Zaraz pokroję.

Wcale nie miałam apetytu, zwłaszcza na tort, ale nie chciałam jej martwić. Buntuję się czasem, narzekam na jej gadulstwo czy inne cechy, ale przecież kocham ją, to jasne! A Wandula niestety nie jest coraz młodsza i skakanie koło chorowitej rodziny na pewno ją męczy, chociaż powtarza, że jest

szczęśliwa tylko wtedy, kiedy może się komuś przydać, i nie cierpi swojego pustego mieszkania, odkąd umarł dziadek. Toteż ciociababcia Kinga Klara potrzebuje siostry co chwila, wzywa ją niemal codziennie. My staramy się rzadziej, ale sama przychodzi z pomocą. Czasami myślę, że pod tym względem chciałabym być do niej bardziej podobna, bo jak na razie to bliźni raczej mnie denerwują, przeszkadzają... Nie zrobiłam nic dobrego nikomu tak sobie, ze szczerego serca. Bezinteresownie. Od innych natomiast stale wymagałam pomocy, zrozumienia i przyjaźni. Zdaje się, że przy solidnej gorączce lepiej się dostrzega to i owo - niekoniecznie zwidy-majaki. Tak, tak, nie jestem dobra. Nie podobam się sobie za bardzo.

- Nie podobasz mi się! - powiedziała mama w kilka dni później, mierząc mi rano temperaturę. - Dlaczego gorączka nie spada? - popatrzyła na mnie podejrzliwie. - Poproszę dzisiaj do ciebie panią doktor.

Pani doktor nic nowego nie stwierdziła, zaleciła cierpliwość, dopisała witaminy i szybko wyszła.

- Kiepsko sypiam - zwierzyłam się mamie. - Może dlatego?

6 Pępek węża

81

Rozmyślałam, rozmyślałam, zastanawiam się, i już robi się świt za oknem.

- Trzeba było poskarżyć się lekarce - zdenerwowała się mama. - Dlaczego jesteś taka gapa i nie odzywasz się w porę? - Wyszła.

- Dlaczego! Dlaczego ktoś jest taki, a nie siaki? - mruczałam w poduszkę. Żeby to człowiek był od razu mądry po urodzeniu!

- Nie może spać, bo leży cały dzień - powiedziała radośnie Panna Magister zaglądając do mnie wkrótce potem. - Cześć, mała! Spróbuj ubrać się ciepło i pochodzić. Telewizję pooglądać czy coś w tym rodzaju.

- Wystarczająco psuje sobie oczy czytaniem na leżąco - zaprotestowała mama. Ale przeciwko wstawaniu nic nie miała, zapowiedziała, że spróbujemy jutro.

Już chciałam wstać, posłuchać trochę, o czym mówią, bo śmiali się, gadali w stołowym do późna.

Przyszedł pan Gajda z Gniotem. Włożyłam ciepły szlafrok i pomaszzerowałam do łazienki, powoli mijając drzwi stołowego. Otwarte zresztą. Ale zaraz mnie zauważyli i porozmawialiśmy przez chwilę o grypach, szkole, wywiadówce, zakichanym dla turystyki sezonie - czyli akurat nie o tym, o czym chciałabym posłuchać. Dali mi wreszcie spokój. Za to Dominik kiwał palcem z sypialni.

- Chcesz zobaczyć? - spytał konspiracyjnym szeptem. Wyjął zza pleców jakąś kolorową apaszkę.

Gniot podniósł się na łapy na łóżku mamy, gdzie leżał, i wyczekująco patrzył na nas. - To jej szalik! Wypadł z rękawa kurtki pod wieszak, to się nim zaopiekowałam.

- Już widzę, jak „wypadł”!

- Wypadł, naprawdę! W zeszłym tygodniu - rąbnął się w pierś Dominik. - Ona ma sto takich szalików. Sprawdź, na wieszaku wisi dzisiaj zielony.

- Nie chce mi się sprawdzać. No, i co potraficie pokazać? - zwróciłam się także do Gniotą.

Zamerdał ogonem, a potem znów go czujnie wyprężył.

- Patrz! - Dominik machnął apaszką. Gniot skoczył. Roztań-

82

czyli się po pokoju, pies wyraźnie zadowolony, że go podziwiamy. Musiałam co chwila podawać mu kostkę cukru, rozbestwił się. Na swoje nieszczęście...

Rozbiła się cukiernica i Dominik, odczekawszy, czy ktoś z dorosłych nie usłyszał brzęku, pofrunął cichutko na paluszkach wyrzucić jej resztki do kuchni. A ja rozejrzałam się, w co by tu wsypać cukier, i znalazłam na parapecie okna, za firanką, pustą szklaną miseczkę. Była trochę przykurzona, biaława w środku. Zdmuchnęłam pył z grubsza, wsypałam kostki i grzechotałam nimi pod nosem Gniotą, denerwując go tym coraz bardziej, bo odsuwałam miseczkę w ostatnim momencie.

Wreszcie zagapiłam się, kłapałam mocniej zębami i następna „cukiernica” leżała na podłodze. Tym razem cała. Gniot pospieszył się, zasłaniając zdobycz przede mną, połknął zawartość i wylizał miseczkę. Okropnie starał się mnie ubiec, wyglądało to komicznie, śmiałam się i tylko udawałam, że chcę mu cukier odebrać. Wreszcie odskoczył, otrząsnął się jakby ze wstrętem i dostojnie wyszedł do przedpokoju. Pośmiałam się jeszcze trochę i poszłam do siebie. Ruch po kilku dniach leżenia

plackiem zmęczył mnie porządnie, z ulgą runęłam w pościel. Starłam się o niczym nie myśleć, może uda się tak od razu po „ćwiczeniach fizycznych” zasnąć?

Słyszałam, jak w przedpokoju trzasnęły drzwi. Dominik zajrzał do "mnie.

- I co? Zdolny piesek? - pochwalił się.

- Musisz mi tu włączyć akurat, kiedy zasypiam? - zgrzytnęłam. Znow będę się przez pół nocy miotać po łóżku! I mimo woli wyteżać słuch, by pochwycić coś z gościnnego gwaru w stołowym. A może już poszli, bo trzasnęły drzwi? - Poszli już? - spytałam.

- Nie, siedzą, tylko pan Gajda na chwilę wyskoczył z Gniotem, bo zaczął skuceć w przedpokoju - poinformował Dominik i dodał: - Zobaczysz, co ja jeszcze z nim razem zwojuję!

- Nie chwal się! I daj mi wreszcie spać!

- Ojej!-Wyszedł wreszcie. A ja chyba zdrzemnęłam się, bo kiedy otworzyłam oczy, stał znow nade mną, tylko ubrany w

6

83

kurtkę. Myślałam, że rzucę w niego czymś ciężkim, ale miał dziwną minę. Wystękał z trudem:

- Cos.... coś się dzieje z Gniotem. Pewnie zezał coś na podwórku! - pociągnął nosem i zniknął.

Wstałam i pobiegłam do stołowego.

- Mamo! Co się dzieje?

- Być może zjadł trutkę na szczury. Biedaczek - westchnęła mama. Zbierała puste szklanki na tacę. A inni byli chyba na podwórku. Wyjrzałam kuchennym oknem, ale mama zaraz kazała mi je zamknąć albo włożyć sweter i szalik. I tak zresztą nic nie było widać w ciemności.

10

Obudziłam się nad ranem i rozmyślałam o biednym Gniocie. Przez trzy lata sąsiedztwa można się nawet do cudzego zwierzaka przywiązać. A jeszcze tak sympatycznego jak Gniot. Poryczeniśmy się z Dominikiem, mama też miała łzy w oczach... Dlaczego był taki głupi, że nie ominął trutki? Co prawda tata i Panna Magister, kiedy powąchali, co zwymiotował pies, mieli wątpliwości, czy to była trutka. A w każdym razie taka, jaką się w naszych piwnicach zwykle podobno stosuje. Długo w nocy z panem Gajdą roztrząsali okoliczności śmierci Gniotą, naglej i niespodziewanej. I nie doszli do wyraźnych wniosków...

Za to mnie nad ranem oświeciło. Usiadłam na łóżku i złapałam się za głowę. Czyżby? Czy to możliwe? Cukier? Ale kto go zatruł! Do licha! Po co?

Nie cukier. Bobym się też otruła. Przecież porwałam kilka kostek, ku szczeremu żalowi obzartucha Gniotą. Dominik też jadł. Na początku popisu, jeszcze zanim rozbiła się cukiernica... Cukiernica! Zakurzona miseczka!

Nie mogłam doczekać się, kiedy wstanie Dominik, i na palcach podkrađłam się pod sypialnię.

Wszyscy jeszcze spali. Jak wleźć do Dominikowego kąta, żeby się rodzice nie obudzili? Udało mi się. Delikatnie zaczęłam ciągnąć brata za ramię. Trochę to trwało.

84

- Co... -otworzył przerażone oczy.

- Cii!-kazałam mu szybko wyjść do łazienki. Zamknęłam drzwi. - Może mi wytłumaczysz, co to była za miseczka, którą znalazłam na oknie sypialni za firanką? - spytałam wymawiając wyraźnie każde słowo. - No? Taka nieduża, szklana. Co w niej było?

- W szklanej miseczce? - ziewał nerwowo braciszek.-W jakiej szklanej miseczce?

- Może nie twoja? To czyja?

- Taka nieduża? Okrągła?

- A jakie, do licha, są na ogół miseczki? Raczej okrągłe, prawda? Nie zagaduj, tylko odpowiadaj! Gdzie ona jest?

- Jaka miseczka, do licha!

- Podałam w niej Gniotowi cukier, kiedy rozbiłaś cukiernicę. Była zakurzona, tak raczej na białawo...

- Oj... - jęknął Dominik i przysiadł na wannie. A potem szybko popatrzył na wiszącą wysoko w kącie tatową tajną szafkę, do której absolutnie nikomu nie wolno zaglądać.

Zrozumiałam wszystko.

- No tak - klapnęłam obok na wannie. - Ty głupi morderco!
- Ja? - rozryczał się wpychając pięści do oczu jak małe dziecko. - To ty dałaś mu cukier w tej misce!
- A ty najpierw nasypałaś do niej trucizny!
- Co wy tu robicie? - spytał tata. Ziewał w drzwiach łazienki.
- Otruliśmy Gniotą! - rozryczałam się również. Nie udało się tego ukryć. Poza tym we wczorajszej rozmowie tata i Panna Magister zastanawiali się nad zawiadomieniem Sanepidu i nad sekcją zwłok psa i już zaczęli brzydko posądzać anonimowego truciciela. Po co całe śledztwo? I jaki wstyd, gdyby ktoś po nitce do kłębka do nas dotarł. A przede wszystkim okropnie nam było żal i czuliśmy się jak najpodlejsi mordercy.

Oj, był to ciężki dzień! Zwłaszcza moment zetknięcia się twarzą w twarz z panem Gajdą. Nie wytrzymał, ryknął znowu. Aż musiał nas pocieszać. Obiecaliśmy mu psa, którego kupimy z własnych oszczędności. Tata pochwalił ten pomysł, więc pan Gajda nie powinien odrzucać oferty. Wiadomo, żaden pies Gniotą

85

nie zastąpi, trudno o taki mity charakter i tak skomplikowaną rasową mieszankę, ale może uda nam się zdobyć coś zbliżonego...

- Kochani, nie róbcie sobie kłopotu - uściskał nas pan Gajda. - A może ja chcę być przez jakiś czas sam? Powspominać Gniotą, zanim polubię znów jakieś zwierzę?
- Tak... ale my... musimy! - ryczał Dominik. - Chcemy..
- Trudno, skoro musicie - westchnął pan Gajda. Pomógł nam wyjść z zagraconej pracowni, pomachał ze schodów, a my wlekliśmy się żałośnie. Ja słaba po chorobie, a Dominik nieruchawy po tęgim laniu, jakie mu wlepił tata. Lanie obiecane każdemu, kto ośmieliłby się zajrzeć do szafki. Strach było na tatę patrzeć w tym momencie, kiedy uświadomił synowi- i mnie przy okazji- jakiego naprawdę śmiertelnego niebezpieczeństwa rodzina cudem uniknęła. Dzięki Gniotowi. Natychmiast wyszorował czymś cuchnącym stół Dominika, parapet okienny, podłogę w całej sypialni, wszystkie fiolki i naczynka „Małego Chemika”, podeszwy naszych kapci i wszystko, co mu wpadło w oko po drodze... I potem jeszcze raz, kiedy urwał się z pracy, aby zdezynfekować mieszkanie innym środkiem, w aerozolu. I wbijał nam w głowy (Dominikowi nawet dosłownie, dwa razy), że nie wolno niczego brać z podłogi do ust i ręce myć jak najczęściej.
- Wypadaloby wyprowadzić się nago, a wszystko razem z meblami spalić! - krzyczał. Mama nie wiedziała, jak go uspokoić, dreptała za nim po mieszkaniu pilnując, żeby jednak nie stłukł Dominika za mocno. Sądny dzień! A ciągnął się przeraźliwie długo, jak żaden inny. Dominik nie poszedł do szkoły, bo się ledwie ruszał, a poza tym dostał gorączki - ale to z przejęcia się przestępstwem, a nie z lania - i właściwie cały dzień przespał na dawniej swoim, a obecnie Mirki łóżku w moim pokoju. Rodzice po powrocie z pracy milczeli, Wandula akurat nie przyszła, Panna Magister też, nikt z sąsiadów nie zajrzał... Telewizora nawet nie chciało się nikomu włączać. W rodzinnym grobowcu nie może być ciszej. Z ulgą powitałam sen, zresztą wypełniony zdychającymi zwierzakami i zwiędłymi roślinami na wielkim polu pokrytym receptami jak pierzyną.

86

Nie mogliśmy się zdecydować, jaki to ma być pies: bardziej pudel czy bardziej jamnik? Kolor można łatwiej dobrać „pod Gniotą”, ale fason? Gdzie szukać takich dziwadeł? Tata radził wybrać się do azylu i w końcu pojechali tam z Dominikiem. Mnie mama jeszcze nie wypuściła po chorobie. Siedziałam smętnie w fotelu w stołowym i rysowałam w brudnopisie rozmaite psie mieszanki, głównie mordy, bo z proporcjami całości mam kłopoty. A jak mi wyszedł prawie idealny portrecik Gniotą, to się popłakałam.

- No, przestań już, przestań - westchnęła mama sadowiąc się w drugim fotelu z szydełkiem i wełną. - Życia już mu nikt nie zwróci. A inny szczeniak też może być miły - znów westchnęła, jakby sama w to nie wierzyła. - Wybór na pewno będzie, niestety, często ludzie po prostu wyrzucają zwierzaka z domu, gdy gdzieś wyjeżdżają. Bardzo to smutne!
- Wolałbym tam za często nie bywać - przyznał tata, który wrócił ponury i rozdrażniony. - Albo wziąć wszystkie, albo żadnego! Te biedne napraszające się mordy!

- No! - przytaknął nie mniej ponury Dominik.
 - Więc nic nie przynieśliście? - spytała mama i jakby odetchnęła.
 - E! Jest. W koszyku pod drzwiami - Dominik podrapał się w głowę. - Tylko nie wiemy, czy wnieść.
 - Właśnie - westchnął tata. - Czy może od razu do weterynarza? Coś słabawe toto i najbardziej podobne do skrzyżowania setera z owcą, hm... Ale nic podobniejszego do Gniotą nie było.
 - Ojej! Jakie toto ślicznie brzydkie! - zawołała mama, kiedy koszyk stanął na środku stołowego. - Biduś, marniutki taki. I ma otartą łapkę - przejrzała zdobycz dokładnie.
 - To ona. Na dokładkę - mruknął tata. Usiadł i odgrodził się od rodziny gazetą.
 - Hm - mruknęła z kolei mama.
 - Pan Gajda jako artysta powinien mieć wyobraźnię - wyrecytowałam jednym tchem. - Sądząc po Gniocie właśnie. Ale gdyby mu wysiadła, to ja się chętnie zaopiekuję tym... tą pikwą. Za karę!
- S7
- Pikwa! - ucieszył się Dominik. - Nawet pasuje.
 - Dam jej pić! - poderwałam się.
 - Dobrze byłoby, gdyby ją już właściciel zaczął karmić - zauważyła mama. - Idźcie szybko na górę, a potem ewentualnie zajmujemy się nią!
 - Pikwa, ti, ti, ti! - Dominik poskrobał psinę za uchem i poszliśmy. Co stopień, to wolniej.
 - Juuż? - splotywał się trochę pan Gajda.
 - Eee...-zaczęłam stękać. - Właściwie, to pan nie musi jej przyjmować... jest brzydka... ale trochę do Gniotą podobna. My chcieliśmy kupić pudła albo jamnika i poszukamy jeszcze.
 - Wejdźcie i postawcie toto na podłodze - powiedział prawie wesoło pan Gajda. Wziął rudawe szczenię za kark i postawił własnoręcznie. - O, jaka fajna tupła!
 - Tupła - ucieszył się Dominik. - Też pasuje. Bo Renata nazwała ją Pikwa.
 - Cicho, chrztu oficjalnie nie było - przyhamowałam go. - To pan Gajda musi wybrać imię.
 - Może być Pikwa-Tupła, czemu nie? - zaśmiał się artysta. - Muszę wam powiedzieć, że właśnie przed chwilą mocno sobie postanowiłem nie mieć już żadnego zwierzaka, zwłaszcza psa. Ale Tupli nie mogę się oprzeć.
 - Naprawdę podoba się panu?! - wykrzyknęłam. Słyszałam, jak Dominik za moimi plecami odetchnął z ulgą.
 - Chodź, malutka, nie bój się. Koszyk masz, miseczki też... - zaniósł ją do psiego kąta i zrobiło nam się rzewnie na widok ulubionych zabawek Gniotą. - No, no! - pan Gajda pokrzepił nas słowem i mrożoną kawą. Właściwie prawie lodami.
 - A jak pan pojedzie kiedyś gdzieś, gdzie nie wolno z psami, to proszę ją nam zostawić na przechowanie, dobrze? - poprosiłam na zakończenie wizyty.
 - Oczywiście - ukłonił się pan Gajda. Pikwa-Tupła głupawo zwiślała mu spod pachy.

88

11

Niebezpieczna szafka znikła po aferze z Gniotem - to znaczy, sama szafka została, tylko tata zabrał dokądś jej zawartość. Teraz mama trzyma w niej zapasowe kosmetyki i inne łazienkowe drobiazgi. I chyba posprzeczali się, zanim tata zlikwidował chemiczny magazynek, końcówkę tej kłótni przypadkiem podsłuchał Dominik wracający z podwórka. Nie potrafił mi nic dokładnie stęścić, ale się domyśliłam. W każdym razie była to jedna z pierwszych kłótni rodziców, jakie pamiętamy. Nie mówiło się u nas przy dzieciach podniesionym głosem (chyba że właśnie do dzieci). Tak było dotychczas. Bo odtąd nie udawało im się przeżyć miesiąca bez przynajmniej dwóch sprzeczek, takich większych, z wychodzeniem taty z domu na nerwowy spacer wieczorny lub ze zniknięciem mamy nazajutrz na pół dnia u którejś z dawnych koleżanek.

- Obawiam się, że wiem, co się za tym kryje. I kto - powiedziałam ponuro, kiedy któregoś grudniowego popołudnia patrzyliśmy z okna, jak tata idzie na spacer w jedną, a w chwilę potem mama w drugą stronę, do pętli tramwajowej.
- Ona? - domyślił się Dominik.
- Ona! - skinęłam głową. - Zauważyłaś, jaki tata był wczoraj wesoły? I jak nagle zainteresował się

indyjską bluzką Panny Magister? Niby że dobrze byłoby mamie takie coś kupić.

- Nie zauważyłem. Byłem z Tupią na dole.

- To ci właśnie streszczam, jak było! Mama wyszła do kuchni i oni zaczęli szeptać, tak prawie głowa przy głowie, skąd dla mamy na imieniny wytrzasnąć jakiś ciuch. Tata po chwili opamiętał się, bo popatrzył na mnie i mrugnął, że niby to ja też mam być wciągnięta do sekretu. A jaki był różowiutki, mówię ci!

- Przecież pili wino? Po tym ma się rumieńce.

- O, takiś doświadczony? - zakpiłam. - Ona nie piła, bo była autem, a też miała rumieńce, że hej!

- Ona się maluje.

- Głupiś! Po co ja w ogóle rozmawiam z tobą na ten

89

temat? - rozzłościłam się. - Idź sobie do swojego kąta, dobrze? Muszę się uczyć.

- Dobra, dobra! Zdaje się, że nikt w tym domu nie mówi normalnym tonem. Wrzeszczycka!

- Półgłowski!

- No, uważaj, Renowata! To nie ja ostatnio zbieram najwięcej dwój i uwag w rodzinie.

- Uspokój się, powtarzam, i racz wyjść!

- Raczę, wstrętna Renowo... A ona była wściekła i zmartwiona, że jej pies się nie spodobał, zauważyłaś? - rzucił od drzwi. - I tata pocieszał ją z tego powodu. Mama też.

A w, dwa dni później pan Gajda miał oprócz Tupli jamnika, boksero-wyżła, chomika i kota.

Jamnika przywiozła maluchem Panna Magister. Rodowodowy, to znaczy - po rodzicach z rodowodem, ale sam wykluczony z psiej arystokracji jako siódmy w miocie, takie są przepisy Towarzystwa Kynologicznego, wyjaśniła. I dodała do mamy na ucho, że dlatego za darmo, dobrze przypadkiem słyszałam. Od koleżanki koleżanki. Boksero-wyżła przytaszczył Grzesiek. Chomika - Dorotka. A kota okrytego chustą w kratę wniosła wstydliwie Wandula.

- Jak na złość u nikogo znajomego nie było dziwnych szczeniaków, choć trochę podobnych do Gniotą - tłumaczyła się nam skruszona. - Tylko Murmuranda. Jej pani zmarła, a była gosposia wolała odziedziczyć mieszkanie bez sublokatorki. Jak myślicie, czy pan Gajda dopatry się u niej cienia podobieństwa do Gniotą? - z niepokojem zaprezentowała nam Murmurandę.

- O, to jest kot! - stwierdził Dominik. - Uszy ma w porządku... wąsy też. Ale tylne nogi jakies psie...

- Właśnie - chrząknęła mama. - Przypomina trochę syjamczy-ka, a trochę... hm. Trudno określić, co.

Murmuranda bardzo leniwie przeszła kilka kroków po stole i wydawało się, że zamarła na wieki na jego krawędzi, gdy nagle jednym susem znalazła się na kredensie. I krótko miauknęła na nas z góry.

- O, a głos to ma na pewno po motocyklu tego faceta, który

90

mieszka w bloku obok Piłko-Królikowskiej - rozpoznał Dominik. - Po klaksonie! - uściślił.

Spodobała nam się Murmuranda. Panu Gajdzie też, ale Pikwie-Tupli zdecydowanie nie. Innym psom była obojętna. Inne psy zresztą długo na strychu nie mieszkały. Byliśmy dumni, że nasze najbrzydsze kaczątka okazało się najmiłsze dla pana artysty. W jamniku zakochała się córka pana Gajdy, z byłego małżeństwa, odwiedzająca ojca raz na pół roku. Boksero-wyżła zatrzymał Grzesiek, Piłko-Królikowska nie zaprotestowała, bo poszłam tam wspierać Grzeška w walce o zwierzę. A chomiczek Bryłko zamieszkał na jednej z belek strychu, żeby go Pikwa-Tupla nie załatwiła. Oczywiście, w szklanym pudle z kołowrotkiem. Dorotka postanowiła odwiedzać go regularnie we wtorki i piątki. Cóż, nam podrzuciono Murmurandę. To znaczy, Wandula chciała zabrać ją z powrotem, ale kotka nie dała się ruszyć z kredensu. Zignorowała rodzinę Misiów, czule lub groźnie pomiaukującą z podłogi.

- Nie będzie z nią łatwego życia - zakrakał na koniec tata. - Ale to kara za Gniotą. - Wy macie o nią dbać, nikt inny! - zwrócił się do nas. - Ja wcale nie muszę na nią patrzeć. Ona do mnie tyłem, to ja do niej, też-udał wielce obrażonego i roześmieliśmy się, a na początku tatowej wypowiedzi wcale nie byliśmy tacy pewni, czy nie krzyczy na nas serio.

- Mamy kota za Gniotą! Kota za Gniotą! - podśpiewywał Dominik ganiając wokół stołu, jakby

miał pięć, a nie dziesięć lat.

- Cicho! - warknęłam. Nie wypadają. Gniot to Gniot. - Zauważyłam, nie bój się. Już miesiąc temu. Masz błyskawiczny refleks, Nikusiu.

- Eeee, do kitu z taką rodziną! - trzasnęła drzwiami. I wołał rozżalony w przedpokoju: - Żeby chociaż Murmuranda była towarzyskim psem, a nie nadętą kocią hrabiną! Trzeba było zatrzymać przynajmniej tego jamnika, byłoby z kim wyjść i pogadać!

- Z jamnikiem byś się wspañiale nagadała! - zawołałam. Ale

91

prawdę mówiąc też chciałabym mieć psa. Grzesiek zupełnie zwariował na punkcie swojego Bowa. Wszędzie są razem, czujni na każde poruszenie drugiego. Bow nawet reaguje na miny Grześka. W szkole kiedyś była draka, kiedy sprzątaczką ganiała psa po piętach z jednej, a pani dyrektor z drugiej strony. A Bow wymknął im się, usiadł pod salą gimnastyczną i zawył. Wyczuł pana w dżungli szkolnych smrodów. Grzesiek dostał naganę i musiał wytresować Bowa, żeby nie przekraczał szkolnej bramy. Siaduje teraz co najwyżej na skraju boiska albo przy ostatnim stopniu frontowych schodów. O ile uda mu się wyskoczyć z domu przez balkon albo wypuści go Piłko-Królikowska.

- Ja widziałam, jak on wyskoczył pierwszy raz za Grześkiem - opowiadała Aneta. - Myślałyśmy z mamą, że połamał wszystkie łapy, to przecież bardzo wysoki parter. Ale pozbierał się i prysnął. Jak rakietka! A skuczał przedtem na balkonie, pisał, spacerował tam i z powrotem, walił ogonem w balustradę!

- No! Psy się przywiązują i są wierne - wygłosiła rewelację Kaśka i zaraz zaczęły gadać o swoich czworonogach.

Głupio gadały, ale im zazdrościłam, nie ukrywam. Ja mogłam im tylko opowiadać o Tupli, z której cała dzielnica się śmieje. Toteż nie miałabym nic przeciwko jamnikowi, może tylko to, że był darem Panny Magister. Zdaje się, że i ona wołałaby, żeby pies został raczej u nas, skoro Tupla nie znosi konkurencji. Zauważyłam, że aż podskoczyła na krześle słysząc o córce pana Gajdy. Czyżby nie wiedziała, że miał rodzinę? Wypytała nas o szczegóły i szybko zmieniła temat. A na koniec znów powtórzyła, że szkoda jej jamniczka (Psiulek - tak go nazwała!), bo u nas mogłaby śledzić jego rozwój, pogłaskać czasem, dostarczać kosteczek... Przypominam sobie dokładnie tę scenę: tata kiwał, to znów kręcił głową, mama uśmiechała się szydełkując, a ja kipiałam w duchu, bo podejrzewałam, że Psiulek byłby raczej prezentem dla taty, że o niego chodziło Pannie Magister, a nie o pana Gajdę czy o mnie. „Renatko, należy ci się właściwie zwierzątko za te nieudane imieniny i okropność z Gniotem - tak dosłownie kląskawa. - Widziałam, jak to wszystko przeżywasz, i mogę ci dostarczyć innego

92

jamniczka, chcesz?" Warknęłam wtedy, że nie chcę, i wyszłam z pokoju, potem było kazanie od mamy o zachowaniu się przy gościach. W nocy w kuchni krótka sprzeczka, już tylko dla dorosłych.

- ... mówi się do niej jak do słupa! - grzmiał tata. - Nic nie dociera! A ty nie zwracasz na to uwagi! Dojrzewanie dojrzewaniem, ale bez przerwy tłumaczyć jej nie można... Ty jesteś tej samej płci, a nic nie robisz, żeby załagodzić...-tu znów mniej wyraźnie. I mama:

- Tak, odpyskuje. I rzeczywiście nie raczy reagować na żadne polecenie. Już nie mam siły... - dalej niewyraźnie. A potem z wielką pretensją w głosie: - Dlaczego tylko ja? Ty całkowicie umywasz ręce, tak?

- Czy ja się odcinam? Od czegokolwiek? Także od twoich spraw? Nie przypominam ci co chwila, co powinnaś zrobić dla swojego własnego dobra, o rodzinie nie mówiąc?

Oho, to zaczęło być ciekawsze, ale spostrzegli się, że ktoś jest w przedpokoju, i przycichli.

Poczłapałam specjalnie głośno do łazienki, a potem prosto do łóżka, bo w kuchni panowała cisza.

Co mama powinna zrobić dla dobra rodziny? Próbowałam się domyślić, bo nad „dyskusją” o moim dojrzewaniu nie warto się było zastanawiać - żadna dyskusja, tylko same zarzuty z obu stron, bez zastanawiania się nad jakimś wspólnym planem pedagogicznym. Wygląda na to, że są bezradni! Mogłabym to wykorzystać, ale czy mi na tym naprawdę zależało? Wołałabym wiedzieć, o co im

chodziło poza tym. Z kilku oderwanych słów nie mogłam nic wywnioskować/Tyle że chodzi o mamę, o mamę i tatę, o mamę i całą rodzinę... Próbowałam dopasować do tego Pannę Magister, ale nic nie wymyśliłam i zasnęłam.

Obserwowałam ich po tej sprzeczce, ale wyglądali jakby nigdy nic, nie mogłam się połapać. Złość wyładowała na Dominiku, zachwyconym obietnicą Panny Magister: ma dostać od niej na Gwiazdkę stację kosmiczną z raketkami, o ile jakaś jej kolejna znajoma zdąży to dostarczyć na czas z zagranicy.

- Łapy ci poprzetrącam! - syczałam.

- Ojej, przecież to ma być coś w rodzaju zapłaty za tatową

93

■; ■■- * pomoc w eksperymencie! - oburzył się. - Przecież o tym wyraźnie • mówili przy stole! Przecież tata wykręca się od innej zapłaty!

- Tu nie chodzi o ciebie, baranie!-wrzasnęłam. Aż Murmuranda spojrzała na mnie z szafy bardzo pogardliwie jednym okiem. - Pomyśl trochę, to zrozumiesz! I nie zaczyna się zdania od „przecież” ... - dorzuciłam zupełnie jak mama i trochę spokojniej, bo ktoś' z dorosłych wszedł do sypialni.

- Wychodzę, Renatko - powiedziała mama, ubrana, umalowana i pachnąca. Z tą swoją bardziej oficjalną miną, po której poznałam do razu, że jednak nocna sprzeczka nie pozostała bez śladu. Mama idzie do którejś z koleżanek, nie wie, kiedy wróci, i ma tatę oraz nas w nosie na cały wieczór. Żeby ona wiedziała, jak to łatwo odczytać! - Nie wiem, kiedy wrócę. Kolacja przygotowana w lodówce, chyba potrafisz przygrzać, prawda?

- Prawda - odpowiedziałam w stronę szafy, żeby nie zauważyła mojej przygnębionej miny.

- A tata? - odważył się spytać Dominik, też cienko i niepewnie.

- Poszedł na spacer - usłyszeliśmy. I trzask drzwi wejściowych.

Wkrótce potem ktoś do nich zadzwonił. Przeleciałam przez przedpokój jak burza, strącając coś z wieszaka, taka byłam naładowana. I wyrwało mi się mało grzeczne, bo ironiczne „o, kogo widzę?”. Bo ujrzałam Anetę.

- Cześć - powiedziała uprzejmie. - W stąpiłam, bo chcę sprawdzić, jak ci wyszło zadanie z matematyki. Czy on też może wejść, czy ma posiedzieć na wycieraczce? - odsunęła się trochę i zobaczyłam mordę Faraona. Przeszła mnie wreszcie atakować zwierzakami, czy nie?-On posiedzi-powiedziała szybko Aneta zauważając moją minę - ale nie wytrzyma długo i będzie pisał.

- To niech wejdzie, tylko może wytrzymy mu łapy?-rozejrzałam się za jakąś ścierką. Bez entuzjazmu patrzyłam, jak Aneta wyciera każdą psią łapę po kilka razy, i dziwiłam się w duchu, bo to do niej zwykle chodzi się z pytaniami o zadania, nie tylko z matematyki.

94

- Dobry wieczór - powtórzyła grzecznie Aneta w przestrzeń, kiedy wieszala kurtkę. Popatrzyła w stronę kuchni.

- Nie ma nikogo, tylko Dominik - wyjaśniłam. - Chodźmy do mnie. Napijesz się herbaty? - spytałam wytwornie i zupełnie mnie to zaskoczyło, bo jeszcze sekundę przedtem nie myślałam o ugoszczeniu Anety w salonowym stylu.

- Nie rób sobie kłopotu - zaprotestowała machając rękami. Przypadkiem musnęła mnie jedną dłonią i stwierdziłam, że jest lodowata. Policzki też sinawe...

- Żaden kłopot, zaraz będzie!-zawołałam znikając w kuchni. Ale zmarzła! Wygląda, jakby od powrotu ze szkoły spacerowała z psem. A pogoda właśnie przypominała sobie, że jest grudzień. - Jedziesz gdzieś na narty? - spytałam wnosząc herbatę do pokoju. Jak wytworna rozmowa, to trudno, trzeba o pogodzie i urlopach.

- Owszem: Do Zakopanego - odpowiedziała mieszając cukier powolutku i bezszmerowo. - Rodzice załatwili wczasy już miesiąc temu. A wy?

- Nie wiem — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Ale prawdopodobnie też w tamte strony.

Rodzina ma na Antałówce stary duży dom - dorzuciłam niedbale. Bo ma. Ale to własność rodziny nieboszczyka męża ciocibabci Kingi Klary i mniej utalentowanej artystycznie grupy Misiów tam się nie zaprasza... Natychmiast przeniosłam się na tapczan, bo prawidłowa postawa na krześle

przypomniała mi salon w starym mieszkaniu, i przestałam być wytworna. Machnęłam ręką: - Częstuj się! Jak chcesz, możesz też się rozłożyć, mama nawtykała tu tyle poduszek, że ruszyć się nie można.

- Nie narzekaj. Masz o wiele więcej miejsca, niż ja. Nawet z kuzynką - Aneta nie dała się długo prosić, klapnęła płasko obok zapłatanego w poduchy Faraona. - Mirka przyjedzie jeszcze przed świętami?

- Ma przyjechać, ale może śnieg zawali wiejskie drogi?-zaśmiałam się. Humor zaczął mi się poprawiać.

Złapałam muzykę w naszym starym gruchocie, przyniosłam z

95

mamanej półki zagraniczne żurnale, które pożyczyła nam Panna Magister do końca roku. Herbata parowała, andruty chrupały w zębach... I Aneta wydała mi się bardziej sympatyczna. Prawdę mówiąc, sympatyczniejsza od wszystkich innych koleżanek, z Elką na czele. Jaka jest naprawdę? Co myśli o tym, o czym myśleć warto? Co lubi? Jasne, że tak od razu nie da się pogadać... Po tyłu miesiącach „wojny”. Ale i bez pytań zasadniczych i odpowiedzi przeleciała nam miło cała godzina, póki ktoś nie zastukał do drzwi.

- Proszę! - zmarszczyłam się niezbyt grzecznie, bo myślałam, że to Dominik znowu nam przeszkadza. Ale to była pani Królikowska. Chciała pożyczyć dużą tortownicę. Musiałam ruszyć do kuchni, fujara Dominik nie ma pojęcia, gdzie co jest.

Nasłuchałam się podziękowań, miłych słówek, napatrzyłam na urocze dołeczki w twarzy matki Dorotki - ale wróciłam do pokoju przygaszona, bo niewinne pytanie „kiedy mamusia wróci z miasta” przypomniało mi o mniej różowych stronach życia rodzinnego Misiów. Zmusiłam się do dalszej konwersacji:

- Ojciec Grzeška zdał jakiś ważny ostatni egzamin... zdaje się na docenta. Robią bal.

- Habilitacja, aha!-kiwnęła głową Aneta. Też ma kilku docentów w rodzinie. Wszystko ma w rodzinie! Popatrzyła na zegarek i zaczęła gramolić się z tapczana. - Zasiadziałam się - powiedziała światowym tonem. W jej wykonaniu szczególnie go nie cierpię! - Moi już pewnie wrócili. Poszli na wernisaż znajomego, a mnie się iść nie chciało. Chodź, Faraon, nie śpij, łobuzie! - pociągnęła psa za ucho. Już w milczeniu ubierała się w przedpokoju. Sterczałam nad nią ze ściśniętym gardłem: po prostu zapomniała klucza, starzy wyszli i nie miała się gdzie podziać, a ja marzyłam przez sekundę o przyjaźni! Nawet o pretekście, czyli o zadaniu z matemy, zapomniała zupełnie-mam widoczny dowód, o co chodziło naprawdę. Głupia jestem i tyle.

- Cześć, do jutra - uśmiechnęła się na progu.

- Cześć...-zamknęłam drzwi może trochę za szybko, jeszcze

96

się usmiechała spod ślicznej czapeczki i być może trąciłam jej śliczny kożuszek, trudno. Chciało mi się ryczeć.-Matematyka! - kopnęłam w pokoju jedną z poduszek walających się po dywanie. - Tylko ja mam pokój dla siebie, nie poszła więc do Elki! - kopnęłam drugą, ale pod nią była nie dosunięta szuflada komody i paluch zabolął mnie porządnie. Przewracałam się po tapczanie masując stopę i ryczałam. Nie podgrzałam kolacji Dominikowi. Udawałam, że śpię, kiedy wrócił tata.

12

Nie miałam różowego humoru także i nazajutrz. Ponure myśli snuły się pod czaszką. Przy śniadaniu rodzina nie odzywała się prawie do siebie, ale mama była dosyć pogodna. Nie połapię się w tym tak łatwo! I jeszcze Aneta. Też nie wiedziałam, co dalej i byłam na nią raczej zła, ale tylko do momentu, kiedy popatrzyła na mnie na początku pierwszej lekcji i uśmiechnęła się. Na odmianę ucieszyłam się jak głupia. Ale porozmawialiśmy dopiero na trzeciej pauzie. Aneta bezceremonialnie wzięła mnie pod ramię zlekceważyła demonstracyjnie Lusię i Kaśkę, odwróciła się od Elki i poszłyśmy wolno wzdłuż korytarza.

- Tyle było u was wczoraj gadania o pieczeniu i tortownicach że koniecznie chciałam naciągnąć mamę na coś słodkiego - śmiała się Aneta. - Pędziłam z Faraonem, żeby zdążyć i ewentualnie wysłać ojca do cukierni, bo mama raczej nie piecze, i wiesz? Właśnie wracali z całą furą ciastek!

Na wernisazu było nudno i tylko koreczki z sera, więc wstąpili potem do „Koktajlu”.

- Fajnie!-też się uśmiechnęłam. Zarejestrowałam uważne spojrzenie Elki.
- Pysznie! Ale wiesz, kogo tam mama zauważyła przy stoli-' ku? -Aneta zawiesiła głos.
- Oj, przecież nie zgadnę!
- Twojego tatę.
- Coś ty?-spłoszyłam się nagle. Ale zlekceważyłam to. -E,

7 Pepek węża

97

pewnie mama stała przy ladzie i kupowała ciacha. Też wczoraj opychaliśmy się na deser po kolacji—głównie wsuwał Dominik, bo ja nie miałam na nic apetytu. Nie pamiętam, czy to mama przyniosła ciastka, czy tata, wyszłam ze swojego pokoju dopiero po czwartym głośnym zaproszeniu ze stołowego.

- Nie, twojej mamy tam wcale nie było... a może rzeczywiście stała przy ladzie, tylko moi się zagapili. Twój tata siedział z tą brunetką, która ciągle przyjeżdża do was maluchem - Aneta zajęła się śniadaniem i nie zauważyła chyba, jak błędnie i czerwienię się na zmianę. - Ładnie się ubiera, dlatego mama ją zauważyła. Czy to jakaś wasza krewna, jak Mirka?

- Nie... znajoma - wykrztusiłam.

- Ładna - dobiła mnie Aneta.

- Tak... dosyć - mruknęłam. Z tonu Anety nie mogłam wywnioskować, co myśli o randce pana Misia z Panną Magister, raczej wyglądała, jakby ją nic to nie obchodziło. Powtórzyła mi informację matki i tyle. Do końca przerwy gadała o czymś innym, a ja starałam się też mieć obojętną, a nawet wesołą minę. Och, to bystre oko eleganckiej matki Anety! I po co dzieli się takimi wrażeniami z córką, po co? Nigdy nie lubiłam jej zanadto, a teraz zniecierpliwiona w jednej chwili... Przepadła też szansa na przyjaźń z Anetą. Nie da mi spokoju myśl, że ona może rozplotkować spostrzeżenia mamuni i będę ją stale podejrzewać, obserwować, podsłuchiwać, zamiast starać się o dalsze ocieplenie stosunków...

Rozkleiłam się do tego stopnia, że na biologii lzy zaczęły mi kapać na zeszyt, kiedy nauczycielka łagodnie poprosiła mnie o uzupełnienie czyjejs wypowiedzi na temat budowy i trybu życia porostów.

- Renata! Zdumiewasz mnie! Nigdy przecież nie byłaś beksą. Nie denerwuj się, dziecko, nie pytam na oceny, siadaj, siadaj! - zakończyła serdecznie. A ja dopiero pomoczyłam te porosty w podręczniku! Musiałam wyjść na chwilę do ubikacji.

Przyszła tam za mną Aneta. Podobno z własnej inicjatywy. Zaniepokoiła się, czy mi się nie zrobi słabo, i nauczycielka zaraz ją wypuściła. Elka mi to zrelacjonowała na ostatniej przerwie.

98

- Już ci lepiej? - spytała Aneta, kiedy umyłam twarz i dopiero ją zauważyłam. Kiwnęłam głową. - Nie przejmuj się! Dobrze, że to nie na geografii, prawda? Gadania byłoby do końca tygodnia... Jak chcesz, to sobie pójdę.

- Nie... nie musisz - stęknęłam. Nie patrzyłam na nią, wstydziłam się. I tego wybuchu załości, i rozmaitych myśli właśnie o Anecie. Trochę byłam zła, że tak zareagowała, ale jednocześnie wdzięczna. - No, już mi przechodzi - uśmiechnęłam się z wysiłkiem. - Nie wiem, co mnie napadło.

- Nie przejmuj się - powtórzyła Aneta. - Nie masz pojęcia, jakie ja czasem urządzam koncerty w domu!

- W domu to co innego. Gorzej publicznie-westchnęłam. Znowu spróbowałam uśmiechnąć się swobodnie. - Wiesz, chyba za bardzo obżarłam się wczoraj ciachami. Rodzice przywieźli z „Koktajlu”. Sami nie mogli jeść, bo się tam na miejscu zapchali. Śmiali się, że nie mogli wygramolić się z malucha tej znajomej brunetki, którą widziała twoja mama. Byli tam w trójkę, twoja mama po prostu nie zauważyła...-teraz Aneta musi w to uwierzyć! I musi w to uwierzyć jej mama! Bo nie będę mogła spać spokojnie. - Nic się nie stało, nie szkodzi.

- Pewnie, że nie szkodzi - zdziwiła się Aneta, a ja zmieniłam temat:

- Nie chce mi się wracać do klasy, ale chyba już trzeba, co?

- Powolutku. Nie pali się. Zaraz dzwonek.

- Oby już! - westchnęłam przewracając oczami.

Wróciłyśmy do klasy na kilka minut przed przerwą. Nauczycielka mrugnęła porozumiewawczo-pocieszająco, że wszystko w porządku, i dała mi spokój. Inni też. Dziewczyny nawet starały się mnie jakoś rozerwać na przerwie udając, że wcale nie o to chodzi, i śmiałam się pod koniec całkiem szczerze. Wracałyśmy też całą paczką, popychając się i padając na wyslizganym fragmencie dróżki między działkami.

Kiepski humor powrócił dopiero na podwórku pałacu Krauso-w.ej. Wlokłam się do sieni i potem po schodach noga za nogą, nie uśmiechając się nawet do Tupli, którą właśnie pan Gajda wypuścił na świeże powietrze. Omal nie zapomniałam mu się

7*

99

i

ukłonić. Chyba nie zauważył mojej miny, konferował przez płot z sąsiadem, hydraulikiem. Cos' widocznie popsulo się w pracowni.

- Możemy iść do kina! - oznajmił radośnie Dominik. Był sam w domu. - Tata pozwolił, o ile nadrobimy jutro zaległości w lekcjach, oczywiście - zmarszczył się po ojcowsku. - To znaczy w ten weekend mamy spokój z turystyką.

- A ty, oczywiście, cieszysz się jak głupi - mruknęłam. Tata, zadowolony widocznie z wczorajszego wieczoru poza domem, zrobił się dla potomstwa bardzo łaskawy. Potomstwo ma być wdzięczne i skakać z radości.

- A co, mam płakać z tego powodu? - zdziwił się Dominik. - Renata, ty się robisz nienormalna!

- Uważaj, co mówisz - ostrzegłam. I poczułam, że za chwilę znowu rozczulę się nad sobą. Jak tak dalej pójdzie, chyba naprawdę zwariuję! Może to nawet byłoby najlepsze wyjście.

- Co, nie idziesz? - zapytał Dominik pukając do moich drzwi. Musiałam chwilę odpocząć na tapczanie. - Trzeba już lecieć po bilety. Na „Imperium” ciągle kolejki!

- Akurat mamy iść na „Imperium kontratakuje”? - skrzywiłam się, ale wstałam dosyć szybko.

- A co masz innego ciekawego? O, zobacz! - pomachał mi przed nosem gazetą. - Już to dobrze przestudiowałam. ¶

- Oj, przestań mi tu machać! Nie możesz sam skoczyć po bilety? Ja muszę przynajmniej się czegoś napić, jeśli nie mdobiadu - poszłam do kuchni.

- Nie widzisz, obiad na piecu. A mama jest u pani Królikowskiej, zaraz przyjdzie - poinformował Dominik. Szybko wkładał kurtkę. - Ja już jadłem. Jak chcesz, to poczekam na ciebie pod kinem. Mam skoczyć po Grześka? Albo po Daniela?

- A skacz, po kogo chcesz... Dobra, spotkamy się pod kinem! Zaraz, pod którym? - zapytałam, ale braciszka już wymiotło. Nie chciało mi się ganiać za nim po schodach lub wydzierać przez okno, zajrzałam do gazety.

- Zdążysz? - spytała mama wracając wreszcie od Królikowskich. Była w fartuszku, pewnie pomagała w przygotowaniach

100

do wieczornego przyjęcia na cześć pana docenta. Nawet trochę mąki miała jeszcze na wierzchu dłoni. Zauważyła to i umyła ręce. - Zaraz podam ci drugie danie, z zupą poradziłaś sobie, jak widzę! - była w dobrym humorze.

- Przecież to żadna sztuka - powiedziałam. - A do kina zdążę... Idziecie do Królikowskich na bal?

- Nie, skądże! Tam będą sami naukowcy z małżonkami. Już gratulowałam po sąsiedzku, mniej oficjalnie, wystarczy.

* - Pewnie. Oni u nas na żadnych imieninach nie bywają - mruknęłam. Ojciec Grześka niechętnie rozmawia z ludźmi bez wyższego wykształcenia. Nawet coś w tym rodzaju wyrwało mi się głośno i mama zmarszczyła brwi:

- Nie opowiadaj głupstw! Pomyśl dwa razy, zanim coś palniesz, dobrze?

- Dobrze, dobrze!

Czy mama wie? Czy nie podejrzewa, że tata nie sam kupował te nieszczęsne ciastka w „Koktajlu”? A może wie i wcale się tym nie martwi? Nie udało mi się myśleć przed snem wyłącznie o

„Imperium”...

13

Ciociababcia Kinga Klara czuła się w tym roku dosyć kiepsko, toteż postanowiła urządzić Wigilię po staropolsku. Czyli cała żyjąca rodzina w komplecie przy jednym długim stole ustawionym przez otwarte drzwi środkiem dwóch wielkich pokoi starego mieszkania. Początkowo chcieli zaprosić wszystkich do Zakopanego, jednak stan zdrowia ciocibabci na to nie pozwolił. Oczywiście, przygotowała to wszystko Wandula przy pomocy mamy Januszka i Henryczka, dochodzącej gosposi, jednej ze swych starych przyjaciółek oraz naszej mamy. Stara przyjaciółka doczekała się również zaproszenia, w ostatniej chwili, jako osoba samotna, dopełniająca liczbę obecnych, aby nie było nieparzyście. Tata już od początku grudnia mruczał niechętnie - on przecież nie bywa zapraszany na co dzień w wytworne progi i śmieje się z

101

maminej rodziny, ale święta to święta, raz w roku można wytrzymać. Tak argumentowała Wandula i w końcu się zgodził. Bo zanosilo się na skandal, gdyby mama poszła tylko z nami.

- Zobaczycie, ona co roku będzie wpadać na podobne pomysły i w ten sposób wielka familia stłucze wspólnie tonę jaj wielkanocnych oraz pożre piramidę tortów imieninowo-urodzinowych, z ostatnich zdmuchując sto i więcej świeczek - krakał tata. - Odkąd was znam, Kinga Klara była słabego zdrowia! Ja nie chcę krakać - krakał dwa dni później - ale tai właśnie będzie wyglądało nasze życie rodzinne w najbliższym ćwierćwieczu!

- Powtarzasz się - powiedziała mama. - Lepiej zobacz, dlaczego mikser nie działa, bo będziesz musiał ucierać ręcznie.

- Co ucierać? - przeraził się tata. - Nie ma mowy!

- Będziesz musiał, my i tak mamy co robić - stwierdziła spokojnie mama. - Janusz z ojcem ucierają dwa serniki, ty możesz jeden.

- A ja przekręcę mak! Ja! Dobrze? - zaczął napraszać się Dominik. - Tak jak w zeszłym roku.

- To był ostatni taki spokojny nasz rok rodzinny - zakrakał znowu tata rozgrzebując mikser.

Dominik zaraz zapomniał o maku. Tata bardzo starał się naprawić uszkodzenie i dosyć szybko mu się to udało. - No! - powiedział dokręcając ostatnią śrubkę. - Jeszcze tegoroczne święta przetrzyma.

Ale dalej nie gwarantuję! - wstał z taboretu i przeciągnął się. - Tak samo, jak nie gwarantuję swojej przyszłorocznej obecności u Kingi Klary - podkreślił wychodząc. Niby tak na wpół żartobliwie.

Mama uśmiechnęła się lekceważąco i wzruszyła ramionami, a mnie, niestety, ręka drgnęła i na podłogę pacnęły dwa jajka, które wyjmowałam właśnie z lodówki.

- No i co ty robisz, dziewczyno?! - zawołała mama. - Słowo daję, trudno z tobą wytrzymać!

Powycieraj to zaraz... Dlaczego płaczesz? - dodała po chwili, ciągle gniewnym tonem. - Ostatecznie nic się strasznego nie stało. Oj, Renata, Renata!

Założmy, że nic się nie stało! Jeśli chodzi o jajka, to tak. Ale czy nikt poza mną nie widzi; że tata nie gwarantuje swojej obecności

102

za rok nie tylko u ciocibabci Kingi Klary? Może w chwili wypowiedzenia tego niby lekkiego zdania myślał wyłącznie o Gwiazdce, założmy, że tak... ale jak tak dalej pójdzie, to okaże się, że miałam powody do płaczu. Nikogo na świecie - ale tak naprawdę nikogo! - nie obchodzi, co czuję, co myślę, co widzę. Proszę bardzo! Będę milczała. Będę milczała grzecznie. Proszę bardzo! Zobaczycie. Zobaczycie, jak ponuro i głupio to się skończy; Wszystko!

Pówycierałam, a nawet umyłam podłogę i dalej pomagałam mamie dosyć przytomnie. Potem dołączyła się Mirka, która przyjechała ostatni raz przed świętami, i z niej mama była bardziej zadowolona, oczywiście. Jej nigdy nic z rąk nie wylatuje, a to, co trzeba pokroić, kroi na niemal idealnie równe cząsteczki. I to, co układa na półmisku, wygląda kolorowo i elegancko. Ja niestety nie mam zdolności plastycznych! Trudno... Powiesiłam fartuch na klamce, bo mama ze zniecierpliwieniem odsunęła mnie kilka razy na bok, kursując po kuchni, i wyszłam. W stołowym tata oglądał telewizję, a u mnie rozsiedli się nad szachami Dominik z Grześkiem. Bow leżał pod biureczkiem.

- Mirka lubi to robić, więc mama jej tak szybko nie wypuści z kuchni, nie ma strachu -

powiedziała półgębkiem, nie patrząc na Grześka ani nie odpowiadając na jego „cześć”.

Pogłaskała Bowa, który nie zareagował. - Oczywiście, szachy mi nie przeszkadzają, siedźcie tu sobie, siedźcie - dodałam uprzejmie - ale ja nie będę bardzo towarzyska, bo mam coś jeszcze do przepisania. Bow, cofnij się trochę, nie mogę zmieścić nóg.

- Przejdźmy do sypialni. Albo do stołowego - opamiętał się Dominik.

- Właśnie! - mruknął Grzesiek. - To jeszcze w przedostatni dzień dali wam tyle zadań? - spytał mnie też bardzo uprzejmie. - Nie mogą odpocząć? Chce im się sprawdzać?

- Jak widzisz! Im się zawsze chce.

- Chodź do mnie za szafę! - popędzał Dominik. - Bierz szachownicę z drugiej strony, przeniesiemy to jakoś.

- Ale po tej partii będę już leciał do domu. Bow! - zawołał,

103

jakby pies już dawno nie stał przy jego nodze. - Czes'ć, Renata! Miłej pracy!

- Czes'ć! Miłych snów!

Nie donieśli tej szachownicy, słyszałam, jak wali się na podłogę ; w przedpokoju. Może Grzes'kowi rączka drgnęła na widok Mirki? Bo zaraz potem usłyszałam, jak mówi z chrypką:

- Uwważaj, Mirka, masz pod nogami dwa pionki. Szkoda byłoby takich pięknych kanapek.

Myślałam, że powie co najmniej „pięknych stopek” lub „pięknych kantelek na krajowych dzinsach”, to byłoby w jego dawnym stylu. Ale widocznie doceniał jej pracę wnoszoną na półmisku do stołowego. Mirka nic nie odpowiedziała, poprzestała pewnie na uśmiechu, za to Dominik wrzasnął:

- Renata! Kolacja!

- Do widzenia - głos Grześka.

- Ależ zostań - głos mamy.

- Nie, nie, dziękuję, muszę już iść. Dobranoc!

- Dobranoc - głos taty. Trzask drzwi.

Miły wieczorny fragment słuchowiska pt: „Misiowie”. Uroczym, spokojnym. Kto by pomyślał, że w każdej chwili może się to skończyć z hukiem? Poczułam, że znowu się rozklejam.

- Renata, czekamy tylko na ciebie! - zawołała mama.

- Akurat mnie najbardziej wam brakuje - mruknęłam wycierając oczy i nos. - Bo uwierzę!

Dzwonek. I kto przyszedł z ostatnimi przedświątecznymi życzeniami dla Misiów? Oczywiście, Panna Magister. Z ogromnym trudem dobrnęłam do końca kolacji i jak najszybciej poszłam spać.

Nie miałam najmniejszego powodu, żeby cieszyć się z nadchodzących świąt.

A w Wigilię siedziałam przy wielkim stole obok taty. Tak nas ciociababcia Kinga Klara usadziła.

Od dość dawna nie rozmawiałam z nim normalnie, tak jak kiedyś, więc dodatkowo było mi głupio i niewygodnie. Tata też milczał. Przy opłatku życzył mi wszystkiego najlepszego, a zwłaszcza pogody ducha i pokonania szkolnych trudności, ja mu wszystkiego najlepszego i szybkiego oraz szczęśliwego zakończenia naukowego eksperymentu. Wy-

104

krztusiłam to, czerwona, ze spuszczonej oczami, więc nie wiem, jaką miał minę. A szkoda.

Należy sprawdzać zimnym okiem reakcje dorosłych. Dlaczego ciągle tego nie potrafię? Dlaczego rozklejam się coraz częściej? Dlaczego nie mam odwagi spytać taty, czy mu się Panna Magister naprawdę tak bardzo podoba? Przypomnieć mu o maminy słabym sercu? Zagrozić, że my z Dominikiem nie będziemy długo patrzeć na to wszystko spokojnie?

Niestety, jestem tchórzem i nic mi się w życiu nie uda. Najchętniej udławiłabym się wtedy ością wigilijnego karpia. Spokój święty na całą wieczność.

Przy stole ciągle było sztywno, ale już trochę mniej uroczysto i zaczęły się rozmowy

indywidualne, zagłuszające nieco historyczno-pedagogiczny monolog ciocibabci Kingi Klary.

Niektórzy już doszli do klusek z makiem, któraś ze starszawych maminych kuzynek zaśmiała się dyskretnie w chusteczkę. Mama wyglądała na zadowoloną. Pasowała do tego otoczenia. W ciemnej sukni i w kolczykach trudno było ją poznać. Dominik też gapił się na nią zamyślony i niemrawo grzebał w talerzu, aż mu Wandula zwróciła szeptem uwagę, żeby się pospieszył.

- Ach! - wykrzyknęła raptem matka Januszka, dramatycznym gestem pokazując zebrany zegarek.

Nic więcej nie dodała, skoczyła do telewizora, a ciociababcia Kinga Klara sprawdziła czas na swojej dyndającej na złotym łańcuchu cebuli i powiedziała karcąco:

- Spóźniłaś się, moja droga!

- Co to będzie? - zdziwił się szeptem Dominik.

Był Henryczek. W chórze i solo. Kolędy w wykonaniu chóru chłopięcego naszej filharmonii. Żywy wnuczuś ciocibabci Kingi Klary powstał zgrabnie z krzesła, ustawił się między fotelem babci a choinką i pomagał telewizorowi najlepiej, jak potrafił. Wszyscy byli wniebowzięci, nasza mama uśmiechała się dokładnie tak, jak matka Januszka i aniołkowatego solisty.

Wstałam ostrożnie i wymknęłam się na palcach do przedpokoju. A potem znalazłam się jakoś mimochodem w kiszkatym pokoju kuzynów. Poszukałam w ogromnej płytotece czegoś nowszego - Janusz kiedyś pokazał mi tę swoją ulubioną i Chopinem zakry-

łość wana przed babcią półteczkę z najmodniejszymi i najgłośniejszymi zespołami-i ... włączyłam adapter. Tańczyłam boso, z zamkniętymi oczami, potargałam też kunsztownie ułożoną fryzurę. Nie mogli mnie złapać, wuj Karol, wuj Stanisław i tata. Uspokoiliam się dopiero, kiedy mama dała mi dwa razy po buzi.

I to był mój ostatni skandaliczny występ w wytwornym starym mieszkaniu. Na pewno więcej mnie tam nie zaproszą. Czyli następna Wigilia u nas, w ścisłym gronie Misiów. Oby w pełnym!

Tata wyprowadził mnie wcześniej od ciocibabci Kingi Klary, mama przyjechała później z Dominikiem autem wuja Karola. A my nie mogliśmy złapać taksówki i wędrowaliśmy pieszo przez ciemne puste uliczki, podglądając oświetlone choinkami okna. Osobno. Ja kilka kroków za tatą lub przed, kiedy wolał mnie mieć na oku. Zresztą prawie nic nie mówił, on jeden nie miał zgorszonej miny. Wydawało mi się nawet, że jest rozbawiony, uśmiechał się do siebie, a spacer wyraźnie sprawiał mu przyjemność. Przyspieszył kroku dopiero wtedy, kiedy zauważył, jak się trzęsę. Zbliżaliśmy się już do naszego domu. ■"

- No, co to jest?- spytał czule, obejmując mnie ramieniem. - Bo mi się tu rozsypiesz na brudnym chodniku i jak cię potem pozbiem i posklejam? Hop! Pędzimy!

I popędziliśmy nie zatrzymując się aż pod bramą. Rozgrzałam się trochę, zęby latały mi raczej ze zdenerwowania. Tata pożałował głośno, że nie ma śniegu, wytarzałby mnie porządnie, pogonił po grządkach Krausowej, postrzelał śnieżkami i wszystko byłoby w porządku. A tak muszę natychmiast wpakować się pod kołdrę. Z aspiryną w zębach.

- I postaraj się zasnąć, po co jeszcze jedno kazanie po powrocie mamy? - mrugnął porozumiewawczo, odbierając ode mnie pustą szklankę. - Prawda?

- Prawda - uśmiechnęłam się blado. A przed snem pomyślałam, że gdyby jednak miało dojść do rozbicia rodziny Misiów, to ja wolałabym chyba zamieszkać z panem Misiem. Tak! Zaraz potem

106
przestraszyłam się i przeżegnałam. Nie chcę tego! Nie wolno do tego dopuścić! Zrobię, co będę mogła... jeśli się odważę.

Pomyślałam także zniecka o Rafale, o którym od dosyć dawna prawie zapomniałam. On też wygląda na samotnego - o ile go dobrze pamiętam. W każdym razie wydał mi się trochę inny niż wszyscy. Może dogadalibyśmy się, gdyby rzeczywiście zechciał do mnie napisać... Nawet życzeń świątecznych nie przysłał. Czyli koniec. Życzę mu wszystkiego najlepszego!

14

Dominik nazajutrz wrzeszczał od rana, że przeze mnie ma zepsute ferie, bo podobno wuj Karol chciał nas zaprosić do Zakopanego na narty, ale po moim występie mu przeszło. Skakał po pokoju, wymachiwał łapskami, pinił się, a ja naciągnęłam kołdrę na głowę i odwróciłam się do ściany. Bo, oczywiście, chuchrowata Renata miała temperaturę. Ze zdenerwowania? Z przeziębienia? Mama nie wiedziała, a o lekarza w pierwszy dzień Świąt raczej niełatwo.

- Przestań!- przegoniła Dominika. Przyniosła mleko z miodem, czosnkiem i czymś tam jeszcze według recepty Wanduli, na wszelki wypadek. - Wypij to i nie odkrywaj się przez chwilę - powiedziała. - I nie przejmuj się tym, co mówi" Dominik. I tak nie puściłabym was samych do Zakopanego.

- Ale dlaczego ja muszę przez nią mieć złamane życie - zawołał zza drzwi Dominik.
- Nie podsłuchuj pod drzwiami - skarciła go mama.
- On ma trochę racji - odezwał się tata ze stołowego. Zaszleściła świąteczna prasa. - Trzeba będzie coś wymyślić.
- O, hurra!-wrzasnęła Dominik, ale zaraz zaniepokoił się: - Czy może masz na oku jakąś ciekawą górską zimową trasę?
- Hm! - mruknął tata.
- Bo ja bym wołał gdzieś na dłużej posiedzieć, gdzie jest pagórkowato i śniegowato.

107

- Śnieżnie. Ewentualnie - poprawiła mama. Otułiła mnie lepiej kołdrą i wyszła z pokoju. Znowu miałam tylko słuchowisko rodzinne, ale nie chciało mi się uważać, o czym mowa. Cieszyłam się, że dali mi spokój nie wspominając ani słowem o moim wczorajszym wybryku. Mama nawet jakby specjalnie starannie pomijała to milczeniem. Niestety, omijała także wzrokiem całą moją nędzną osobę, zwracała się jak do ściany. Choć uprzejmie.

Trudno, zarobiłam na to. Jestem w rodzinie czarną owcą. Może da się z tym jakoś żyć, zobaczymy. Nikt mi nie musi współczuć, nie potrzebuję!

Między świętami a feriami byłam tylko trzy dni w szkole, bo mama wołała mnie poobserwować. Temperatura w kratkę, trochę kaszlu i kataru, nic specjalnego. Nie martwiłam się jednak, że leżę (lub siedzę opatulona w fotelu). Czytałam, uzupełniałam pamiętnik, uczyłam się szydełkowania. I czekałam na dalsze dowody tatowej sympatii dla Panny Magister. Przyglądałam się też mamie, zwłaszcza jej reakcjom na to, co mówi czy robi tata. Wydawała mi się trochę smutniejsza i częściej zniecierpliwiona. Ale nie wydarzyło się w tym czasie nic specjalnie interesującego. Panna Magister wyjechała na narty, zaglądał do nas tylko pan Gajda z Tupią, pani Królikowska, która miała więcej czasu na szycie, więc poprawiała naszą garderobę, no i Wandula. Zawsze z jakimś smakołykiem, książką czy płytą dla młodzieży. Też nie robiła zacinych aluzji do mojego popisu, powoli zaczęłam o nim zapominać.

Przypomniał mi Januszek. W pierwszy dzień ferii, kiedy robiłam porządki w szafie, bo nic innego nie mogłam zaplanować, kuzynek zjawił się znienacka, uśmiechnięty, zadowolony z życia i nie sam. Przywłókł jakiegoś dryblasę, bladego, chudego, ciemnowłosego. Myślałam, że to Dominik wali w drzwi, bo czegoś zapomniał wychodząc na łyżwy z Danielem, i otworzyłam z gniewną miną, nie pomyślałam też o tym, żeby się uczesać czy zdjąć okropny szlafrok. Zacerwieniłam się więc na widok nieznanego.

- Dzień dobry! Można? - zagaił uprzejmie Januszek. Super-

108

wytwornie przedstawił kolegę, który bardzo starannie wytarł buty i przed przekroczeniem progu zdjął futrzaną czapkę: - Pozwól, Renata, to jest Marek ...wicz-nie dosłyszałam z wrażenia-mój kolega z klasy. Bardzo chciał cię poznać, kiedy opowiedziałem mu o twoim występie w Wigilię, ale wcześniej nie wypadało przyjść, skoro byłeś chora.

- Taak? - nie wiedziałam w pierwszej chwili, co powiedzieć, bo mnie zatkało, ale potem wykrztusiłam ze złością: - Miły jesteś! Wszystkim w klasie opowiadasz o sprawach rodzinnych?

- Nie zauważyłem - uśmiechnął się Marek. - Raczej tylko mnie, a i to nie o wszystkim. Nie przejmuj się, to była niezła heca. Gratuluję!

- Nie ma czego - nie wiedziałam, co robić z rękami, miętoliłam w nich jakiś ciuch. Nogi też zaplątały się trochę w dywanik. Czuję się okropnie.

- Znam rodzinę Janusza, mogłem to sobie dokładnie wyobrazić - śmiał się Marek. - Dobra jesteś!

- Dziękuję... - bąknęłam. - Wejdźcie tutaj, do stołowego, bo u mnie bałagan - przypomniałam sobie o roli gospodyni. Miotałam się beznadziejnie po mieszkaniu. Straciłam z wieszaka tatową kurtkę, potem wykopałam na środek Dominikowy but, upuściłam, co miałam w ręku, ze dwa razy wbiegłam i wybiegłam z kuchni. - Zrobię wam herbaty! A może kawy?

- Nic nie rób, dziękujemy - powiedział Januszek. - Pogadamy chwilę i znikamy. Przecież ja dzisiaj wyjeżdżam do Zakopanego i właśnie chciałem się pożegnać.

Co za obyczaj! Salon! Dotąd jakoś nie żegnał się z nami przed wyjazdem dokądkolwiek. Myślałby

kto, że utrzymujemy silną więź rodzinną. Popisuje się przed tym Markiem i tyle. Zgry-wus! Pozbyłam się wreszcie szlafroka, przeczesałam się w locie, wysypałam na talerzyk resztki herbatników i już dłużej nie wypadało wykręcać się od salonowej konwersacji. Nie miałam pojęcia, o czym z nimi rozmawiać. Pierwszy raz tak mnie dokładnie zamurowało. Wyobrażam sobie, co pomyślał Marek! Nie okazał tego, ale na pewno był rozczarowany. Rozmawiali

109

głównie oni sami, bardzo płynnie i elegancko, o muzyce poważnej, rozrywkowej i eksperymentalnej. O zupełnie mi nie znanych artystach, belfrach, kolegach. Marek spacerował po pokoju, wypatrzył półkę z płytami, przejrzał i powiedział, że przywiezie mi coś z Francji, wybiera się tam z matką do rodziny. Tylko co ja lubię? Ba, nie miałam pojęcia!

- Coś bombowego-odpowiedziałam więc możliwie lekkim tonem.

- Sam się zorientujesz - machnął ręką Januszek. Popatrzył na zegarek. - Za chwilę musimy lecieć - zauważył. - Myślałem, że zastaniemy ciocię, ma przecież ferie, prawda?

- Owszem - odpowiedziałam też wytwornie.-Ale wyszła wcześniej rano po zakupy. Już powinna wrócić... o, pewnie mama! - poderwałam się, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Mama co prawda nosi w torbie klucze, ale może zapomniała, a może ma obładowane ręce?

- Czes'ć!-To Elka.-Co robisz? Nie możesz jeszcze wychodzić? Przeleciałybyśmy się nad Białuchą.

- Nie, jeszcze nie wychodzę... Proszę, wstąp na chwilę-ciekawa byłam, jaką zrobi minę na widok gości. Poczułam, że humor zaczyna mi się poprawiać. - Wejdz, wejdz! - popchnęłam ją nawet do stołowego. - To moja koleżanka z klasy, Elżbieta - przedstawiłam.

- To Janusz-Marek wskazał kuzynka wygłupiając się trochę.

- To Marek - kuzynek podchwycił ten ton i Elka nie mogła ruszyć z progu. Miała naprawdę głupią minę. Ona, ta najładniejsza, podśmiewająca się po kątach z mojej nijakiej, kurczakowatej postaci.

- Janusza już przecież znasz - powiedziałam swobodnie, uśmiechając się od ucha do ucha. -Siadaj!

- E... dziękuję! Tak, znam - zamrużyła oczami i klapnęła na wskazane krzesło. Milczała, a ja nie chciałam jej przeszkadzać.

- To może rzeczywiście pójdziemy już?-po chwili Janusz ponownie popatrzył na zegarek. - Nie doczekamy się chyba cioci. Pozdrów ją ode mnie, wujka też!

110

- Dziękuję, pozdrowię - wyszłam za nimi do przedpokoju. Elka tkwiła przyklejona do krzesła. Kiwnęli jej głowami, bez słowa, obaj w bardzo podobny sposób. - Fajnie, że wpadliście.

Przyjemnych ferii.

- Nawzajem. Cześć - powiedział Marek.

- Do zobaczenia - powiedział Januszek.

- Na razie!-zawołałam za nimi. I powolutku zamknęłam drzwi. Nie spiesząc się wróciłam do stołowego. - Chcesz herbaty? - spytałam.

- Nie - Elka odzyskała głos. Poderwała się z krzesła. - Ja też polecę! Wyjeżdżam dzisiaj, muszę się spakować, bo mama wciśnie mi tylko to, co jej się podoba - terkotała. - Kaśka wyjechała wczoraj wieczorem, z lekką grypą, wiesz? A Aneta ma najlepiej, co? Siedzi w górach od świąt! Ale nasza pani miała rację, kiedy powiedziała, że to nie w porządku wobec innych uczniów i szkoły, prawda? Bo przecież Anetę miała na myśli, nie uważasz?

- Mówiła ogólnie. O „niektórych”. Marcin też przecież wyjechał wcześniej - przypomniałam.

- Myślała o Anecie, na pewno. Cześć! Szkoda, że ty nigdzie nie wyjeżdżasz. Napiszę do ciebie, chcesz?

- A napisz - powiedziałam obojętnie. - Baw się dobrze! Cześć-i zamknęłam drzwi nie czekając, aż zejdzie po kilku schodkach. Już chciała obrzydzić mi Anetę! Nie może strawić, że ostatnio ze sobą rozmawiamy, to jasne. I musi mi wsadzić szpileczkę - przecież sama dobrze wiem, że nigdzie nie wyjeżdżamy. I nie zaczęła wypytywać mnie o Marka, widocznie głupio jej, że ją tak zlekceważył. Bardzo dobrze. Nie popisała się towarzysko.

Ja zresztą też. Prawdopodobnie nie zobaczę już Marka w tych progach. Trudno! Nie zakochałam się w nim, nie będę cierpieć. Co też Januszkowi strzeliło do głowy? A temu Markowi? Nudzili się pewnie potężnie i postanowili wstąpić dokądkolwiek. Przecież Januszek dobrze wie, że nie znam

się na muzyce, a już poważną to na pewno się nie interesuję. Nie jestem dla wytwornego Marcuszka żadną atrakcją. Po prostu kuzynek nie chce zrywać rodzinnych stosunków, może mu znów załatwimy wakacje na trasie (płonął-

111

entuzjazmem dla turystyki, kiedy rozstawaliśmy się w lecie na krakowskim bruku). A Marek nawinął mu się pod rękę, to wymyślili pretekst. I jest się czym przejmować?

Stałam przed lustrem w przedpokoju, wzruszając ramionami. Przerzuciłam warkocz z boku na bok... a, chyba rzeczywiście obetnę włosy, jak radziła Wanduła. Ale tylko i wyłącznie dla siebie, a nie z powodu jakiegoś Marka czy głupiego kuzynka! Choćby dlatego, że Aneta przed świętami zaczęła zapuszczać.

Mama nie chciała słyszeć o fryzjerze. Podobam jej się z chudym warkoczem i kropka. Poryczałam się, że nie mam ferii, to mi się coś innego należy. Przecież nie moja wina, że ciągle choruję.

- Uspokój się - powiedziała mama z resztą cierpliwości.

- Właściwie mogłabyś jej pozwolić - odezwał się tata. Złożył gazetę, bo kolacja wjechała na stół. Wcześniej nie poruszałam tematu fryzury. - Rzeczywiście nędznie ułożyły się jej ferie.

-A mnie?-kwiknął Dominik.-Co ja mam sobie uciąć zamiast? Albo inaczej jakoś urozmaicić wolny czas?

- Spokój!-powtórzyła mama. Przez chwilę było cicho, straciłam już nadzieję, lecz dodała innym tonem: - Proszę bardzo, jak chcesz. Tylko potem nie żałuj, jeśli będziesz wyglądała jak oskubane kaczę. Jesteś mizerna i chuda, zastanów się.

- Już się zastanowiłam!

- Jak chcesz.

- Dziękuję-przypomniałam sobie o mocnym postanowieniu bycia grzeczną córką. I wnuczką. Przecież to pomysł Wanduli! Niech mnie teraz zaprowadzi do tego swojego znakomitego fryzjera. Czekałam niecierpliwie na Wandulę, a tymczasem ktoś inny niespodziewanie złożył nam wizytę. Nazajutrz, w drugi dzień ferii. Mniej więcej koło południa zajechała przed pałac Krausowej półcięzarówka wujka Misia i tata Mirki koniecznie chciał porwać nas przynajmniej na tydzień na wieś. Oczywiście, mnie to nie dotyczyło, niestety, jeszcze się nic wykurowałam należycie. Za to Dominik szalał z radości, kiedy upewnił się, że są tam we wsi pagórki do zjeżdżania oraz staw do ślizgania się. Nie byliśmy tam jeszcze nigdy, to dalsza, mało „używana” dotychczas rodzina

112

taty, więc trochę żałowałam, bo lubię zwiedzać nowe kąty. Nawet z Mirką w tle. Może na rodzinnym terenie jest trochę zwawsza i więcej mówi?

- I było o co wyć wczoraj przy kolacji? - skrzywiłam się do Dominika, w pośpiechu pakującego graty do torby. -I kto tu jest pokrzywdzony przez los?

- Ja nie - przyznał beczelnie. - Jak jeszcze są tam jacyś fajni chłopcy, to pełna Amazonia!

- Tak, kompletny Spitsbergen to dla mnie - westchnęłam. - Ale o ile wiem, Mirka ma dwóch dorosłych braci. O małych nie słyszałam.

- To nie musi być rodzina, prawda? - wzruszył ramionami. - Od rodziny trzeba czasem odpocząć.

- Ba! Jak ja mam to zrobić?

- Udawaj zdrową, to cię też gdzieś w końcu wyślą - niewiele go to obchodziło, pogwizdywał, nie patrzył na mnie.

- Tak, na kolonie letnie do Rabki!

- Spakowałaś się?-mama weszła do sypialni.-Po co ci tyle niepotrzebnych drobiazgów? O! Nawet niezły drobiazg!-wyciągnęła z torby największy z modeli samolotów Dominikowej kolekcji.-To już przesada-odłożyła go na szafę.

- Ojej, a jeśli by mi się tam przydał, na przykład do podarowania jakiemuś nieznanemu kuzynowi? Coś trzeba mieć - zajęczał Dominik.

- A znasz gusty nieznanego kuzyna? - uśmiechnęła się mama. - Patrz, ile teraz miejsca w torbie! -I dopchała lukę czymś praktycznym, czyli drugim dressem i flanelową koszulą. Gdy odwróciła się do drzwi, Dominik wymownie i smętnie pokiwał głową, ale już bez słownego komentarza.

- Rzeczywiście chciałaś się go pozbyć? - spytałam wskazując srebrzystobłękitny odrzutowiec.

- Przecież mam mieć stację kosmiczną z raketami, to chyba lepsze, nie?
- Ale ciągle jej nie masz. Panna Magister zapomniała po prostu. Nie oblizuj się, kiedy jedzenie w lesie!-rozzłościło mnie przypomnienie Panny Magister, poszłam do swojego pokoju i

8 Pępek węża

113

nawet nie wyjrzałam, kiedy Dominik z wujkiem kotłowali się wychodząc. Życzyłam im tylko głośno zza drzwi udanych ferii. Do okna też nie podeszłam, aż tak nie zazdroszczę Dominikowi, żeby mu żałośnie pomachiwać chusteczką na pożegnanie.

Wandula przyszła w chwilę potem, jak Dominik odjechał, z biletami do teatru na młodzieżowy musical. Sprzedałyśmy te bilety w drodze do fryzjera, bo uznałam, że „Kopciuszek” to jednak za dziecinne dla mnie. Dominik też na pewno by się krzywił, woli cyrk.

- Nie, to nie - powiedziała Wandula dosyć pogodnie. -Aha, zmuszacie mnie do kłamstwa, drogie dzieci. Te bilety zafundowała wam moja siostra, będę musiała opowiedzieć jej, jak bardzo wam się podobało przedstawienie.

- O! Ciociababcia już się na mnie nie gniewa? - zniżyłam głos, jakby siedzących przy sąsiednich stolikach cokolwiek obchodziły nasze rodzinne konflikty. Czekaliśmy, na swoją kolejkę w kawiarni niedaleko fryzjera. Bardzo mi się tu podobało.

- Nie wiem. Jak zwykle wygłasza raczej potępiające zdania o bliźnich, o wszystkich - podkreśliła. Wcale nie musiała w ten sposób pocieszać. O czym innym wolałabym z Wandula porozmawiać. Ale jak zacząć? Spytała w dodatku: - Szukasz kogoś? Bez przerwy rozglądasz się po sali, to nie jest zbyt eleganckie-i zmroziła mój dobry humor. Nie uwagą o zachowaniu, ale tym, że uświadomiłam sobie nagle, kogo tak wypatruję przy stolikach: Panny Magister. Z tatą u boku... Wiem, to głupie. Ale prawdziwe.

- Widzę, że nie jesteś zadowolona - powiedziała potem Wandula, kiedy już po wszystkim wędrowaliśmy do taksówki, otulając u fryzjerskich głów chustkami, bo zaczął sypać śnieg. -Mogłaś powiedzieć fryzjerowi dokładniej, o co ci chodzi. Ale według mnie wyglądasz wspaniale! Ciekawe, czy rodzina zemdleje z wrażenia od razu na progu czy kawalek dalej? - chciała mnie rozweselić, robiła, co mogła. Uśmiechnęłam się blado, wypadło to docenić. - Twojej mamie też się nigdy nic z początku nie podobało.

114

- Tata też? - wypaliłam.

- A wiesz, że tak - zatrzymała się na środku zebry, musiałam ją delikatnie pociągnąć za rękaw. - Jak na to wpadłaś, Reniu?

- I myślisz, że teraz jej się podoba? - brnęłam dalej, nie odpowiadając na pytanie.

- A ty może myślisz, że są córki, które mówią całą prawdę swoim starym matkom? - wykręciła się.- Patrz, mamy taksówkę!-wykrzyknęła z entuzjazmem.-Nadzwyczajne!

I dalej była mowa o pogodzie, podwyżkach cen i innych zupełnie obojętnych dla mnie sprawach, bardzo interesujących Wandulę i taksówkarza. Wolałam zamyślić się o niczym patrząc w okno dorosłym okiem, dostosowanym do fryzury. Szkoda, że było już ciemnowo i nikt ze znajomych nie snuł się chodnikiem.

- Wiecie, jak jej fryzjer pomógł? - zawołała Wandula w domu, -kiedy już rodzice przestali robić zdziwione miny. - Od razu zaczęła dyskutować na poważne dorosłe tematy - mrugnęła do mnie.

- Gdyby to zależało od fryzury - westchnęła mama. - Siadajcie, zrobiłam na kolację jabłka w cieście. Jeszcze się jakieś w piwnicy przechowały. Dominik bardzo to lubi, nie myślałam, że nie będzie go dziś z nami przy stole.

- U Misiów wiejskich piwnica też pełna, nie bójcie się - powiedział tata. - Mają przecież wielki sad.

- Podzielałam gusta Dominika - oznajmiła Wandula wbijając widelec w talerz. - Nie dbaj o talie, Renato!

- Niech ona więcej zadba o wyraz twarzy! - zdenerwował się nagle tata. - Fryzura niewiele pomogła. Taka sama nadęta królowna, jak była!

- Przepraszam - mruknęłam. Zabrałam swój talerz i wyszłam.

- No 1 po co to? - usłyszałam głos mamy. Pewnie skierowany do taty. A potem łagodzące mruczando Wanduli. Fajnie jest u Misiów miejskich, co?

s*

115

15

W szkole nie mogli się do mnie przyzwyczaić, tak twierdzili przez trzy dni, belfrzy też, a potem obcięła włosy Lusja, po niej Sławka-i przycichło. Cóż, musiałam czymś zaimponować na początek, skoro inni chwalili się udanymi feriami, aż huczało na przerwach, nawet na lekcjach, bo każda pani czy pan uznawali za stosowne popytać na wstępie o wrażenia z zimowego wypoczynku. Aneta, opalona, w nowym golfie, uśmiechnęła się na mój widok i powiedziała tylko „o, fajnie”, za to Elka piała z zachwytu. I koniecznie chciała mnie codziennie odprowadzać po lekcjach pod sam dom. Stałyśmy chwilę pod bramą, jak za dawnych smarkatych czasów, i paplałyśmy o niczym. Aneta skręca ze szkoły w inną stronę, jeszcze jej się nie zdarzyło pomylić.

Za czwartym razem dopiero domyśliłam się, o co Elce chodzi.

- A ten... ten Janusz, przyszedł się przywitać po powrocie do rodzinnego miasta? Cha, cha-pękała ze śmiechu. I do towarzyszącej nam Kaśki: -Wiesz, jakiego ona ma wytwornego kuzyna? I w ogóle jakich wytwornych miewa gości?

- Trzeba było od razu powiedzieć, w którym się zakochałaś, to urządziłabym wieczorek zapoznawczy - powiedziałam elegancko. - W sam raz na zakończenie ferii i rozpoczęcie nowego etapu życia. Jeszcze nie jest za późno, powiedz więc, w którym się kochasz: w Januszu czy w Marku?

- Chi, chi, chi! - śmiała się z kolei Kaśka.

- Coś ty? - Elka zmieszała się. A tak lubiła zawsze dokuczać mi w rozmowie i peszyć!-Spadłaś ze schodów do piwnicy, czy co? Czy ja wyglądam na zakochaną? - wytrzeszczyła oczy na Kaśkę.

- A czy to źle? - spytałam zimno.

- Chyba nie - śmiała się Kaśka. - Wpadłaś, Elżuniu!

- Idźże, idź! Jeszcze długo nie!-zawołała bojowo Elka, ale minę miała nieco kwaśną. Nie patrzyła na mnie, odchodząc, chociaż powiedziała sztucznie serdecznie: - Pa, Renatko, nikt mnie tak nie umie rozśmieszyć jak ty! Do jutra!

116

Nazajutrz była niedziela, miałam więc nadzieję, że Elkę spotkam dopiero w szkole. Nie tęskniłam jakoś do jej towarzystwa. Ale nadziałam się na nią podczas rodzinnego spacerku. I to z kim u boku? Z kuzynkiem Januszkiem i jego przyjacielem Markiem, taty i mamy nie licząc. Januszek chciał pokazać koledze naszą dzielnicę, snuliśmy się więc tam i z powrotem wzdłuż rzeczki. Na dalszy spacer pogoda była zbyt niepewna. Mama źle się czuła, milczała przez całe rano, dopiero po kościele, kiedy spotkaliśmy pod domem chłopców, trochę się ożywiła. Też była zdziwiona nowymi obyczajami Januszka, powiedziała to do taty wieczorem, ale na wspólnym spacerze oczywiście nie dała nic poznać. Rozmawialiśmy elegancko o turystyce, żeby było coś dla taty, i o muzyce. Kłanialiśmy się znajomym, oni nam, wiadomo, niedziela. A wszyscy patrzyli na Janusza, Marka, a potem szybko na mnie. Wściekłam się. Rzeczywiście Wandula zafundowała mi cudowną dorosłą fryzurę! Wyglądam na panienkę na wydaniu czy co? Czy nic innego nie przychodzi ludziom do głowy na nasz widok?

- Czemu tak się na ciebie gapią? - nawet Dominik to zauważył.

- Wydaje ci się, Nikusiu! - zbyłam go.

Nagle z następnej przecznicy wyłoniły się Elka i Kaśka, każda z psem. Naturalnie, musiał zachwycić je nasz komplet.

- Cześć! - powiedziałam do nich pogodnie, ale tylko tyle, nie raczyłam przystanąć.

- Cześć...-dosłyszałam zza pleców podwójne stęknienie. A potem cichy chichot.

- Idą za nami? - spytałam po chwili Dominika.

- Nie - obejrzał się. - Sterczą na rogu i rajcują. Ale gapią się tu.

Ja myślę! Jutro w budzie ściany będą falować od plotek. Licho przyniosło tych wytwornych nieletnich muzyków!

I nawet nie zamieniłam z Markiem jednego słowa bezpośrednio, wszystko zostało powiedziane w ogólnej rozmowie. Z naszej strony głównie mama ją podtrzymywała. Dopiero przy pożegnaniu na przystanku autobusowym Marek mrugnął do mnie:

117

- Pamiętam o płycie! Cześć!

- Cześć...-nie byłam zachwycona. Ale zupełnie nie obchodziło mnie, czy to go nie urazi. Nie obchodzi mnie ten długi Marek! Trzeba dać to do zrozumienia Januszkowi wy-raż-niej. Przy jakiejś następnej rodzinnej okazji, gdy kolega nie zostanie zaproszony. Ale on podobno bywa w domu ciocibabci Kingi Klary. Nie muszę się tym martwić, przecież ja tam nie bywam.

- Czy Marek to też pianista?-spytał mnie tata, gdy wracaliśmy już szczęśliwie do domu.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam.

- Jak to? Misiowie, co z wami? - zdziwiła się mama. - Przecież nawet dosyć trafnie kiwaliście głowami, gdy była mowa o muzyce! I o ich szkole.

- Myślałam o czymś innym - machnęłam ręką lekceważąco.

- Tata też! - zarechotał Dominik. - A Marek gra na skrzypcach.

- O, jeden przytomny! Waszemu tacie wszystko jedno...

- Dosyć! Nie lubię kabotynów! A ty coraz częściej wpadasz w ten ton!-wyrwało się tacie.

Mama zbladła, przykłada. A my struchleliśmy. Wlekleliśmy się po schodach coraz wolniej. Tata za to sadził wielkimi krokami, nie oglądając się za siebie, wściekle szarpał zamkiem przy otwieraniu, a potem trzasnął drzwiami łazienki.

- Co tata powiedział? - spytał mnie szeptem Dominik.

- Cicho bądź! - odmruknęłam. Nie wiedziałam. Sprawdziłam to nazajutrz w „Słowniku wyrazów obcych” w

szkolnej bibliotece. Mamy ten słownik w domu, ale nie chciałam, żeby mnie ktoś nad nim przyłapał. To nie są przyjemne odkrycia.

Nie rozumiałam dokładnie, o co tacie chodziło. Kto tu jest „pozerem”, „zgrywusem”, „kiepskim aktorem”? Mama? Janusz i Marek? Zgrywiają się wszyscy troje? W każdym razie nie jest to pochlebne przezwisko. Przyglądałam się mamie uważnie przez dwa wieczory-nie wyglądała na obrażoną, ale nie była wesoła. Zagadywała do taty pojednawczo, a on jak zwykle odzywał się bardzo skąpo. Wolał czytać prasę.

118

Czasem myślę, słowo daję, że gdyby nie awantury i inne konflikty, życie dorosłych byłoby nie do zniesienia! Praca, utrzymanie domu, wizytki u rodziny i znajomych, zakupy i ewentualnie ciekawsze dwa tygodnie urlopu-nuda stukilowa, kompletny Spitsbergen od trzydziestki w górę! Tyle że awantury i konflikty nienadzwyczajnie robią dzieciom tychże dorosłych. Fakt. Ciekawe, jak to wygląda u Anety? Stale o tym myślę. Jej rodzice to na oko świetna para i na pewno mają trochę bardziej interesującą codzienność jako naukowcy-artysty... Kiedyś odważę się i porozmawiam z Anetą o wszystkim.

Na razie trzeba ją oswoić, bo się zdziwiła, kiedy po lekcjach zaproponowałam, że ją odprowadzę pod blok.

- Nie chce mi się jakoś gnać do domciu - wyjaśniłam beztrosko. - Nudno w obejściu Krausowej. U was na podwórzu więcej się dzieje.

- E, też nic ciekawego! Teraz zimą? Najwyżej maluchy kręcą się w kółko po zamrożonej kałuży. Stałyśmy przez chwilę na niewysokiej haldce śniegu, patrząc na wrzeszczącą gromadkę. I na trzech sąsiadów Anety niemal identycznie krążących wokół swoich samochodów. Dwaj byli w skórzanych kurtkach, jeden w rozpiętym kożusku. Te same uwagi, te same gesty, te same miny.

- Cyrk! - zauważyła Aneta.

- No!-ucieszyłam się, że to też spostrzegła. Jednak inaczej rozmawia się z nią niż z taką na przykład Ełką. I jest szansa, że później pogadamy. Ale nie należy jej rozpieszczać. - Cześć, polecę już!

- Renata, zaczekaj!-to Grzesiek. Wypadł z sieni za Bo-wem. - Idę do Dorotki. Można odwiedzić Dominika?

Akurat! Mirkę, a nie Dominika czy Dorotkę, przecież dzisiaj piątek, jutro konsultacja artystyczna uzdolnionej kuzynki.

- Nie mogę zabronić panu odwiedzania Dominika, panie Grzegorzu - ukloniłam się wytwornie. - Wszyscy będziemy wać-panu radzi.

- Raduje mnie to wielce - odpowiedział z równie głębokim ukłonem, a potem zręcznie przywalił mi śniegową pigułą. I

119

jeszcze raz, i jeszcze! Zems'ciłam się, oczywis'cie. A potem czyściliśmy sobie nawzajem ubrania pod czujnym okiem wyglądającej z kuchni pani Krausowej.

- Jeść! - oznajmiłam radośnie, wpadając do mieszkania.

- Cii, nie hałasuj! Mama śpi - przyhamowała mnie Wandula. To ona, a nie mama, kręciła się przy obiedzie,

- Co się stało?-czułam, że wrastam w podłogę.

- Nic, nic, mama tylko trochę słabiej się poczuła i wróciła wcześniej z liceum. Telefonowała po mnie, więc jestem. I wymagam! - ze sztuczną groźbą wskazała moje ociekające wodą buty. - Dominikowi już się dostało.

- Oj, już zdejmuję!-szarpnęłam but niecierpliwie. Potem zajrzałam ostrożnie do sypialni - mama drzemała w łóżku. Dominik siedział u mnie, odrabiał lekcje. Trudno. Powiedziałam tylko: -Grzesiek się do ciebie wybiera. Może raz ty skoczysz do Królikowskich?

- Czemu nie?-poderwał się skwapliwie.

- Zaraz! Wracaj, posprzątaj ten cały kram! Gdzie ja mam się uczyć?

- Dobra, dobra! - posprzątała i zwiła. Wyobrażam sobie rozczarowanie Grzeška.

Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie powinnam mu dokuczać, właśnie jemu. Ale chciałam mieć święty spokój od brata, no i hałas niewskazane, gdy mama śpi... Sumienie całkiem mi się uspokoiło wieczorem, bo Mirka nie przyjechała.

Zjawiła się nazajutrz rano. Mama już lepiej się czuła, ale Wandula tkwiła na posterunku od śniadania i kazała jej leżeć. Tata pokręcił się ponuro po mieszkaniu, wreszcie poszedł do laboratorium.

- Nie przejął się mamą za bardzo, zauważyłeś? Siedział wczoraj w tym laboratorium do późnej nocy - powiedziałam cicho do Dominika.

- Przecież mógł nic nie wiedzieć.

- Wiedział. Wandula dzwoniła do niego.

- Jak mu powiedziała, że do nas jedzie i wszystkim się zajmie,

120

to po co on miał tu lecieć i denerwować się? On chyba kończy ten eksperyment i spieszy się. To dobrze, prawda?

- Takie to proste według ciebie?-mruknęłam. Nie mogłam nie docenić rozumowania brata, może rzeczywiście jestem przeczulona i przesadzam, ale niech mnie raczej nie poucza, bo swoje też wiem!-Jeszcze zobaczysz, Nikusiu, mówię ci!

- Bo ty masz jakieś wyjątkowo krzywe oko! - zdenerwował się i wyszedł na podwórze. No i z Tupią u nogi doczekał się tam powrotu taty na obiad. Małuchem Panny Magister. Zaniepokojona, wstąpiła do nas na górę, zjadła mimochodem gościnną porcję i długo zawracała mamie głowę swoją troskliwością.

- Widzisz? To tylko moje krzywe oko, tak? - pastwiłam się nad Dominikiem za szafą.-Mam przywidzenie, tak? Posłuchaj, o czym rozmawiają!

- Sama sobie podsłuchuj - wolał nie wyłazić ze swojego kąta. - A w ogóle kto cię tu prosił? Ty mnie zawsze z pokoju wypędzasz, więc się tu bez zaproszenia nie pakuj!

- Phi, phi! - skrzywiłam się, ale odeszłam bez dalszych awantur. Wolałam rzeczywiście posłuchać, o czym dorośli rozmawiają w stołowym.

- Żadne góry tym razem, nie ma mowy! - grzmiąca Panna Magister. - Marian, przecież możesz załatwić coś na nizinach. Serce ma się tylko jedno - spróbowała zażartować.

- Niby tak - westchnął tata z komicznie skromną minką. Ale dla mnie to wcale nie było takie

śmieszne! Udając żarty też

można powiedzieć prawdę, ukrywaną przed bliźnimi. To już wiem, dziewczyny stosują takie metody od przedszkola.

- Pojedziemy do Lisiego Jaru, tam jest naprawdę fantastycznie! - wykrzykiwała Panna Magister. - Ośrodek wypoczynkowy z prawdziwego zdarzenia. Wiem, co mówię, jeżdżę tam prawie co roku. Przypilnuję, żebyś złożył odpowiednie papiery w odpowiednim czasie w dziale socjalnym. Przecież wy jeszcze nigdy nie korzystaliście z zakładowych wczasów, o ile wiem - zdziwiła się.

- Na razie nie - uśmiechnęła się blado mama.

121

- No, to tym razem tak! - i Panna Magister triumfalnie potoczyła wzrokiem dookoła. - Prawda, proszę pani? Proszę mnie poprzeć! - zwróciła się do Wanduli.

- Cóż, może to jest dobry pomysł... - poparła ją Wandula. Czy ona nie widzi, co się dzieje? Czy musi nas tak zdradzać?

Czy także i babcię będą musiała us'wiadamiac?

- Zobaczymy - powiedział tata stukając palcami po stole. Pan Gajda też twierdził, że mama powinna wyjechać raczej nad

morze niż w góry, a i reszcie rodziny należą się dwa tygodnie luksusowej beczynności. Przyszedł do taty właśnie w momencie ostrego ataku Panny Magister, która zaraz zwróciła się do niego o poparcie. Z rozpędu nawet Mirkę zapytała o zdanie, chociaż nie czekała na jej odpowiedź, tylko trajkotała dalej o wielkich korzyściach nadmorskiego klimatu. Myślę, że i dorośli też odetchnęli, kiedy sobie wreszcie poszła zabierając pana Gajdę. Chciała coś tam obejrzyć w jego pracowni. Lisi Jar! Eksperymenty na plaży! Po moim trupie! Jestem pępkiem węża i na pewno coś wymyślę... Niemal do rana przewracałam się z boku na bok, że dwa razy budząc Mirkę, ale nic nie przyszło mi do głowy. Co robić? Przeszkodzić im w wyjeździe na wczasy. Jak? Polecieć do działu socjalnego „Polfy” i zrobić skandal? W ostateczności i taką scenę można urządzić, chowając wstyd i honor rodziny do kieszeni... Nie, trudno to sobie wyobrazić! Rodzice nie darowałyby mi tego do końca życia. Może nawet taki występ, zamiast skleić rodzinę, rozbiłby ją jeszcze szybciej? Wszystko możliwe.

Oby jednak tata nie zgodził się na Lisi Jar bez wywlekania sprawy na szersze pole. Może raz wygra z Panną Magister? Przy każdej okazji będę go podpuszczać przedstawiając w czarnych kolorach wakacje bez górskich wędrówek. Może zapomni o tym, że od jakiegoś czasu narzekałam, właśnie na rodzinną turystykę?

Rano przy śniadaniu oświecił mnie jeszcze lepszy pomysł:

- Mamo, a czy ty nie powinnaś pojechać do sanatorium? Albo na jakieś inne wczasy lecznicze?

- Oto rozsądne zdanie - poparła mnie Wandula. Wczoraj

122

popierała Pannę Magister, ale cóż, byłam jej wdzięczna za pomoc. - Poradź się lekarza, moja droga! To nie żarty - zwróciła się do mamy.

- Poradzę się - kiwnęła głową mama.

- Właśnie! A my nad morze! - podskoczył Dominik. Miałam wielką ochotę skopać go porządnie pod stołem, ale siedział za daleko.

16

Czujnie tropiłam każdą domową aluzję do Lisiego Jaru i denerwowałam się codziennie, mniej więcej przez dwa tygodnie, a potem sprawa przycichła. Nawet Panna Magister zmieniła temat, zresztą chyba miała kłopoty z eksperymentem, pisanem i pracą w ogóle, bo rzadko do nas zaglądała. Rodzice stali się bardziej małomówni, o ile to możliwe, i tylko dzięki Wanduli, telewizorowi i radiu słyhać było na klatce schodowej, że Misiowie jeszcze żyją. Prawie wcale nie rozmawiałam z Dominikiem, nie było czasu, bo musiałam przysiąść nad podręcznikami, skończyły się żarty. A braciszek odwalał wszystko jak najprędzej i gna! do Daniela czy Grześka wracał też ze szkoły godzinami. Minę miał ponurą, ale tylko moje grymasy rażą, jego, wiadomo, nikt się nie czepiał. Na kolację zawsze zdążył. Chciałam go nawet kilka razy zagadnąć i ewentualnie pomóc, bo może rzeczywiście trzeba, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Głównie właśnie z braku czasu.

Niby nie miałam już w szkole kłopotów z belframami, uwagi nie wpadały do dzienniczka, ale sama nauka wystarczała. Pozwoliłam sobie na luki i teraz to zaczęło się mścić.

Na szczęście pogoda sprzyjała wkuwaniu, nie chciało się nosa z domu na pluchę wysuwać. To śnieg z deszczem, to sam deszcz, w sumie ciapa na ulicach. Gdzie ta wiosna? Nie spieszyła się. Na co drugiej lekcji wychowawczej planowaliśmy trzydniową wycieczkę, machaliśmy mapami, przewodnikami, rozkładem jazdy... a potem ktoś podchodził do okna, komentował pogodę i zapalał stygł. Nawet plotki fruwały znacznie wolniej pod sufitem, intrygi też raczej wędły, zanim mogły się rozwinąć. Gorzej niż jesienią.

123

Czołowa para naszej klasy, Majka i Robert, pokłóciła się, ale jakoś' też dosyć niemrawo: to się rozstawali, to sobie przebaczali, aż znudzili najwytrwalszych kibiców.

Do mnie za to nieco ostrzej przyczepiła się Elka, może ■zazdrośna o Anetę? Chyba tak, bo niby dlaczego atakowała mnie przy każdej okazji? Nie dawałam jej żadnych powodów, a nawet omijałam starannie. Kiedy pierwszy raz korzystałam ze słownika w bibliotece - szukałam jakichś dwóch, trzech mądrzejszych słów do wypracowania-też tam była, mogła więc przyczepić się także później.

- Popatrz, popatrz! Jaka pilna - usłyszałam drwiący głos byleż najlepszej koleżanki. Wymieniła już swoją książkę i sterczała mi nad głową przy bocznym stoliku. - Ciągłe studiuje słowniki i encyklopedie. Jeśli nie dostanie nagrody na zakończenie roku, to uwierzę w niesprawiedliwość.

Nie, Kaśka?

- Właśnie!

- Może byćście sobie łaskawie poszły? - mruknęłam. - Chcę to skończyć na t e j przerwie!

- A może chcesz być mądrzejsza... chi, chi, chi... dla Marcuszka i Januszka? - Elka była zachwycona własnym dowcipem i nic do niej nie docierało. - Wiesz, Kaśka, oni nawet wygląd mają inteligentny, a gadają! Nie masz pojęcia.

- Odczep się, Elżbietko, dobrze? - powiedziałam to możliwie słodko. - Bo pomyślimy, że mówi prawdę przysłowie „uderz w stół, a nożyce się odezwą”, nie, Kaśka? Jakby cię nie interesowali, tobyś w ogóle o nich nie mówiła.

- Racja, chi, chi, chi! - zaśmiała się Kaśka, ta chorągiewka.

- Ja nie jestem taka kochliwa, jak ty-nadęła się Elka. -I myślałby kto, taki kurczak - potrząsnęła pięknymi lokami-a najpierw jakiś Rafał, teraz Marek... Tyle że obaj daleko od Krakowa!

- Odkochałaś się już w Rafale?-spytała -Kaśka całkiem serio.

- Zapytaj się zazdrośnicy! - pokazałam Elkę i wyszłam swobodnie.

Zupełne głupstwa, ale Elka nie odzywała się do mnie przez

124

następny tydzień. Za to Jarek ze Sławkiem odprowadzali mnie i Anetę regularnie po lekcjach najpierw pod blok, potem do nas, lub odwrotnie. Aneta podśmiewała się z nich po cichu, ale w trakcie przechadzki była wyjątkowo uprzejma i skłonna do poważnych dyskusji na męskie tematy. Na przykład o karate. Śmiać mi się chciało z wątłego Sławka, gdy wypinał pierś lub balansował między kałuzami, lekceważącym tonem oceniając możliwości niektórych bohaterów małego i dużego ekranu-on byłby lepszy, gdyby mu rodzice pozwolili na treningi, oczywiście. Jarek nie jest od niego dużo większy, ale solidnie umięśniony, no i nie trajkocze bez przerwy. Za to błyskawicznie zauważa każdą zmianę na trasie, w ogródkach, na działkach, na balkonach i nie ma dnia, żeby nie znalazł jakiegoś ciekawie wygiętego patyka, dziwnego kamienia czy innej osobliwości, nawet wyciąganej ze śmietników. Przerabia trochę i powiększa kolekcję. Przynajmniej ma jakieś hobby! Aneta też to docenia. Byłam tylko bardzo ciekawa, kiedy znudzą jej się te wspólne romantyczne powroty ze szkoły.

Trwały do świąt wielkanocnych. A potem - jakby ich w ogóle nigdy nie było. Aneta pierwszego dnia szkoły po feriach wybiegła z szatni rzucając „cześć” wszystkim akurat tam obecnym, ani się na mnie nie obejrzała. Tak sobie, ni stąd, ni zowąd. Jarek też się gdzieś zapodział, tylko Sławek dreptał koło mnie do zakrętu ulicy. Dalej nie poszedł, zawołał go jakiś kolega. Wzruszyłam ramionami,

pomaszerowałam sama, nawet coś sobie nuciłam pod nosem. Elka i Kaśka dogoniły mnie z łatwością. Odkąd Janusz, który przyszedł do nas złożyć świąteczne życzenia, raczył zajrzeć do jej pełnego pisanek koszyczka, Elka jest dla mnie szczególnie słodka. Myślałam, że pękne z wrażenia, kiedy tak ich zniecka zobaczyłam pod płotem Krausowej, gruchających nad święconym! Tym razem Elka nie milczała, usta jej się nie zamykały i wyszczerzała zęby bez chwili odpoczynku. Uśmiech ma ładny, myślę że Januszek to zauważył. Milczał jak grób na jej temat, kiedy znowu spotkaliśmy się podczas Świąt (na szczęście nie u ciocibabci Kingi Klary, jak krakał tata). I przysłał z Zakopanego kartkę do Dominika! Niby że z ciekawym znaczkami „dla

125

małego". Pozdrowiał ciocię, wujka a także „siostrę i jej koleżankę"! Fikałam nogami z radości, padając na kanapę, kiedy mi to Dominik odczytał. Nie wiedział, oczywiście, o którą koleżankę chodzi, myślał o Anecie, ale go uświadomiłam.

No, więc teraz-nic dziwnego, że Elunia zmieniła ton, jakby nigdy nie wyrwało jej się złe słowo pod moim adresem. Ale pozdrowień od Januszka nie przekazałam jej, ostatecznie kartka była do Dominika, niech on wykona polecenie nadawcy. Bawiło mnie trochę, że mogę Elkę uszczęśliwić albo nie, bo nie muszę. Pozwalałam się łaskawie odprowadzać pod dom, czasem ja zrobiłam kilka kroków w stronę jej mieszkania, jak kiedyś. I tyle. Ważniejsza dla mnie stała się Aneta, co stwierdziłam, gdy po wielkanocnych feriach zaczęła znowu zadzierać nosa. Elka i niektórzy inni mówili, że to dlatego, że jej ojciec kupił wreszcie samochód-ale przecież dobrze pamiętam, jak traktowała sąsiadów zakochanych w swoich pojazdach. Czyżby szybko zmieniła zdanie? A może Elka po prostu i tego zazdrości (choć jej starzy od dawna mają trabanta), tak jak wszystkim wszystkiego? Nieważne, z jakiej przyczyny Aneta przestała mnie zauważać-nie było to miłe. Złościłam się sama na siebie, że tak mi na niej zależy, że zajmuje mi tyle czasu analizowanie jej min, wypowiedzi i gestów! A przecież miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Kolejny tydzień upływał mi w napięciu i ponurym nastroju. Złościłam się też dosyć często z powodu głupstw albo i bez żadnej konkretnej przyczyny. Raz tylko miałam lepszy humor po rozbrykanym powrocie ze szkoły (z całą paczką, z wyjątkiem Anety) i wesoło wykrzyknęłam do otwierającego mi drzwi Dominika:

- Hej, kapitanie, co słyhać na pokładzie?
- O Lisim Jarze - zgasił mnie braciszek. Wcale nie przejęty tym, co powiedział. - Tata złożył papiery. Możesz się wściekać ile wlezie.
- Skąd wiesz? Powiedzieli ci? - pobiegłam za nim na miękkich nogach, bo czmychał już za szafę.
- Nie. Słyszałem, jak mama mówiła do Wanduli.
- Wandula znów tu jest? Mama gorzej się czuje?

126

- Nie, przyszły przed chwilą razem z miasta, spotkały się na zakupach.
- To gdzie są? - rozejrzałam się.
- Na strychu, wieszają pranie.
- A tata? Przecież zawsze mu zostawiają do wieszania!
- Co ty masz taką podejrzliwą minę? Tata wróci późno, miało się pranie ukisić? Nie zawracaj mi głowy! - zdenerwował się.
- Niedługo będzie eksperymentował przez całą noc! - mruca-. lam wałąc teczką o krzesło w moim pokoju.

I co teraz? Dotarło do mnie wreszcie, że zrobią, co zechcą, nie biorąc pod uwagę mojego zdania. Wybuchnąć? Wygarnąć im, co myślę, co wiem? Zaprzeczają, jasne, przecież na pozór nic złego się nie dzieje. Nie stało się.

Siedziałam nad lekcjami dwa razy dłużej niż zwykle, bo nie mogłam się skupić, i warczałam na każdego, kto nieopatrznie przekroczył próg mojego pokoju. Nie spodobało się to mamie i podobno dyskutowała z Wandulą w kuchni na tematy pedagogiczne - jak doniósł mi Dominik.

Wolałam nie snuć się po mieszkaniu. Ale musiałam wyjść do łazienki. I usłyszałam, jak tata mówi do mamy podniesionym głosem:

- Tak dalej być nie może! - Czyżby dalszy ciąg narady pedagogicznej? Przystanąłam i wyteżyłam

słuch, bo drzwi stołowego były przyknięte. - Tobie może wszystko jedno, ale ja tego nie będę tolerował. Mam dosyć. Zmień nastawienie, dobrze ci radzę! Trzeba do sprawy podejść realistycznie i odpowiednio szybko działać.

- Myślisz, że mnie nie męczą te podejrzania? - głos mamy, przytłumiony.

- Ale boisz się prawdy! Tak?

- Daj spokój!

Podejrzania? Strach przed prawdą? Czułam, że oblewam się potem. Nie mogłam zrobić kroku, sterczałam głupio w ciemnym przedpokoju z uniesioną jedną nogą...Co to znaczy „realistyczne podejście do sprawy”? Jakiej sprawy? Wszystko jasne. Mama zrobiła scenę zazdrości tacie, a on broni się krzycząc,

127

że to jej wina. I że trzeba odpowiednio działać. Jak? Wiadomo...

Nie pamiętam, jakim cudem dotarłam do łóżka, w oczach ciemno, głowa pękała, pulsowało w skroniach, serce waliło, nogi plątały się żałośnie. Ryczałam w poduchę do rana. Mam oto dowód! Szkoda, że zabrakło mi odwagi i zwałam, zamiast wejść do kuchni i poprosić o wyjaśnienie. Zawaliłam. Wykazałam się refleksem zdechłej rybki.

Jeszcze można to było ewentualnie rano wyjaśnić, przy śniadaniu, ale na pytanie mamy, dlaczego mam taką opuchniętą twarz, odpowiedziałam tylko, że pewnie z kataru i niewyspania. I nic więcej nie wystękałam. Powlokłam się do szkoły z opuszczoną głową. Huczały mi w uszach słowa podsłuchanej rozmowy, każde zapamiętałam dokładnie i ich sens wydawał się coraz bardziej jasny. Nie ma się co ludzić!

- Coś ty taka dziwna? - spytała roześmiana Aneta. Stała na korytarzu pod klasą i odpowiadała chłopakom na pytania o samochód taty, relacjonowała też na wesoło jakieś komplikacje podczas pierwszej podróży rodzinnej „cztery mile za Kraków”. Jej tata dopiero co zrobił prawo jazdy.

Nie odpowiedziałam, wzruszyłam ramionami. Ale nie tak od razu udało mi się wejść do klasy, bo tarasowali drzwi.

- Gniewasz się o coś? - zdziwiła się Aneta.

- Czy wszystko musi kręcić się koło twojej osoby? - zasyczałam. - Czy ja nie mogę mieć poważniejszych problemów na głowie?

- Na głowie to ty masz trzy loczki - spróbował zażartować Jarek. Ktoś tam się roześmiał złośliwie, ktoś życzliwie.

- Ale zakipiała! - westchnęła Aneta. Znow życzliwe śmieszki.

Wolałam się nie oglądać. Co oni wszyscy wiedzą o ludzkich zmartwieniach? Traktują moje gesty i miny jak niezły cyrk. Próbowалаm opanować się, ale z wielkim trudem odsiedziałam w budzie pięć godzin. Nawet nie wzruszyła mnie dwójka z rosyjskiego, uwagi i zapytania. A po ostatnim dzwonku pierwsza wypadłam na korytarz, pierwsza wyszłam z szatni, nie oglądając się za siebie. I dokąd mnie tak gnało? Do domu? Do jakiego domu?

128

Przyhamowałam trochę koło ostatnich działek i wtedy zauważyłam, że idzie za mną Jarek. Też zwolnił, kiedy się obejrzałam. A za nim człapał Grzesiek. Minał Jarka, dogonił mnie z łatwością.

- Co się stało?- spytał.-Mama znowu chora? Miała atak?

- Nie... W każdym razie nie taki jak zwykle - wymamrotałam. Czułam, że Izy zbierają mi się pod powiekami!, zaraz spłyną fontanną. Odwróciłam głowę od Grześka. Byłam mu wdzięczna za ton, jakim zapytał o mamę, i omal mu się nie zwierzyłam, potknęłam się jednak na jakimś kamieniu i dobry moment minął. Grzesiek zrozumiałby mnie na pewno, ale muszę to sama przetrwać.

Słuchałam, jak opowiada o szkolnych głupstwach, i powoli uspokoiłam się wystarczająco, żeby wejść do domu lekkim krokiem, z możliwie obojętnym wyrazem twarzy.

- Umówiłam się z Grześkiem do kina - oświadczyłam w przedpokoju. I nawet zanuciłam coś pod nosem.-Na szesnastą. Mogę iść?

- Jeśli odrobisz większą część lekcji - powiedziała mama. Nie wyglądała na załamana małżeńską kłótnią, była tylko trochę roztargniona. Ale w dobrym humorze. Nic z tego nie rozumiałam. - Wracajcie zaraz po seansie, dobrze? Wychodzę z tatą.

- Dokąd? - przeraziłam się, ale zaraz pomyślałam, że przecież sądy i inne instytucje o tej porze nie pracują. Adwokaci prywatni może też?

- A gdyby tak do kina — mama przymrużyła oko. - Uważasz, że to przywilej tylko par niemażeńskich?

- Nie, skądże! - wycofałam się do swojego pokoju. Mama i tata w kinie! Od lat to się nie zdarzało. Czyżby wystarczył jeden przeprosinowy seans po wczorajszej kłótni? A może doszli do porozumienia? Jak to sprawdzić? Kiedyś miewałam tysiąc dobrych pomysłów na minutę, ale ostatnio hulają mi po głowie same czarne myśli, chaotyczne obrazy, oderwane słowa i nic dorzecznego nie mogę z niej wycisnąć.

Odwałam byle jak część zadań domowych, popatrzyłam na zegarek-wpół do czwartej. Pora wyruszyć z domu i powiedzieć Grześkowi o tym rzekomym kinie. Może zdążymy naprawdę na 9

Peppek węża
129

jakiś seans? A przynajmniej uprzedzę go, żeby podtrzymywał tę wersję. Sama nie wiem, dlaczego wymyśliłam kino z Grześkiem. Może chciałam udawać beztroską córeczkę, nie interesującą się sprawami dorosłych, dla zmylenia przeciwnika? Prawdopodobnie. Ale także chciałam po prostu przewietrzyć się, odpocząć od ścian pokoju, w którym tyle się ostatnio nabeczałam.

- Lecę!-zawołałam do mamy z przedpokoju.

- Pamiętaj, wróć szybko - przypomniała z kuchni. Grzesiek właśnie pał Bowa nad Białuchą, o kinie nie myślał

nawet przez sekundę, był więc zdziwiony.

- Nie idziesz? To pójde sama - odwróciłam się na pięcie.

- Zaraz... - sprawdził czas. - Na czwartą to już nigdzie nie zdążysz? A na szóstą wolno ci wyjść?

- Jasne, że wolno - wzruszyłam ramionami. Nie będzie kogo spytać, starzy przecież wychodzą. Ale wpadłam na lepszy pomysł: odwiedzę Wandulę. I po męsku przedstawię jej sytuację. Nie dlatego, że koniecznie muszę się przed kimś wyplakać, ale po to, żeby nie robiła głupstw popierając wyjazd do Lisiego Jaru czy inne projekty Panny Magister. O sanatorium dla mamy zapomniała, bo to ja wymyśliłam, tak? Trzeba to jednak ostatecznie uzgodnić. Pełna nowego zapału powiedziałam do Grześka dziarsko: - Jak ci się nie chce oderwać podeszew od tego zasikanego bulwaru, to trudno. Cześć! Idę w miasto!

Nie wiedział, co odpowiedzieć, sterczał nad wodą i tylko gapił się za mną, sprawdziłam kątem oka. Wreszcie czymś go zaskoczyłam.

Przez całą drogę układałam w myśli pierwsze zdanie, jakie powinnam gromko przedstawić na progu, ale nie przydało się, bo Wanduli nie było. Zapal do rodzinnych narad ostygł powoli, na odmianę zaczęłam się obawiać zdziwienia Wanduli na mój widok o tej porze na schodach.

Sterczałam co prawda pod strychem, raczej bezpieczna, Je poczułam się głupio. Nie mogłam być tu za długo, tylko tyle, ile trwa film plus ewentualny spacer rodziców. A Wandula ma rozmaite elokwentne koleżanki, u których może się zasiedzieć i nie pogadamy... Może to i lepiej?

Zbiegłam na paluszkach, rozglądając się pod bramą na wszys-

130

tkie strony, tym razem obawiając się spotkania z Wandulą, i poczłapałam w stronę Rynku. Bardzo lubię Rynek o zmierzchu, w lekkiej mgle, zwłaszcza Sukiennice. Mogę chodzić w kółko godzinami i podziwiać. To znaczy, chciałabym tak chodzić godzinami, ale jak dotąd nie udawało mi się wyrwać z domu na dłużej dokądkolwiek, poza naszą dzielnicę. Nie mam czasu, chociaż nie pobieram żadnych dodatkowych nauk. Jak to się dzieje? Może za wolno wszystko robię? A może jestem ciągle malutką córeczką mamusiń-tatusiń, trzymającą się progu domu po prostu ze strachu przed życiem? Kiedy wreszcie urosnę? Kiedy będę wiedziała, o co chodzi? Nie tylko u Misiów?

17

Zupełnie nie mogłam się w tym wszystkim połączyć: jednego dnia sielanka, rozmawiają ze sobą przyjaźnie, nawet żartują, drugiego - grobowe milczenie, potem nastrój zgryźliwych przy-gadywań albo zimna obojętność... Może to normalne? Może przesadzam? Ja też przecież miewam rozmaite humorki zmieniające się niemal z minuty na minutę. Nie wiem, jakie są inne rodziny od środka, po

zamknięciu drzwi za gośćmi. Tylko dziadka Michała z Wandulą mogłam sobie wyobrazić w każdej sytuacji. No, i także dziadka Hieronima z ciociąbabcią Kingą Klarą - chociaż prawie go nie znałam. Ale nieco młodsze pary dorosłych są dużo trudniejsze do rozszyfrowania. Zwłaszcza te oglądane tylko z daleka. Kiedy wreszcie pogadam o tym z Anetą? Jak była ochota, to nie starczało czasu, i odwrotnie. Szkoła zabierała mi całe dni, męcząco, bo bez nadzwyczajnych rezultatów.

- Coś wolno idzie ci wyciąganie się z dwój - zauważył tata pewnego pochmurnego kwietniowego popołudnia, nazajutrz po wywiadówce.

Zanosilo się na nieudany weekend, stracony dla turystyki, należało się więc spodziewać takiej pedagogicznej mowy. Dominik oberwał swoją porcję jeszcze przy obiedzie. Siedział cichutki za szafą, czytał pilnie podręczniki i na pociechę głaskał wyjątkowo

131

dziś łaskawą dla ludzi Murmurandę rozłożoną obok na łóżku. A ja postanowiłam milczeć, nie odpierać zarzutów, bo co powiedzieć?

- Doigrasz się - zakończył tata dosyć szybko i wsadził nos w gazetę. - Uproś mamę, żeby chodziła na następne wywiadówki, bo ja stracę cierpliwość.

- Gorzej będzie, kiedy ja stracę - westchnęła mama znad szydełka.

- I nie tylko cierpliwość! Przede wszystkim zdrowie - podkreślił tata. - Czy byłaś nareszcie u specjalisty? Co powiedział?

- Na razie nic... -mama wymownie zawiesiła głos. Minę miała skruszoną.

- Aha, dobrze, rób tak dalej, moja droga! Jesteś dorosła, wiesz, co czynisz - tata z szelestem złożył gazetę, włączył telewizor. - Ja umyłam ręce.

-Pójdę tam, pójdę - westchnęła mama ugodowo. - Będę prawdopodobnie miała czas w przyszłym tygodniu. Zadzwoń najpierw do Staszka i może do rejestratorki...

- Ja już swoje powiedziałem - przerwał niegrzecznie tata. Zauważył mnie: -A panna na co czeka? Lekcje na jutro odrobione?

- Zaraz skończę - wymaszerowałam do swojego pokoju. . Po chwili zastukała do mnie Elka i wspólnie biedziłyśmy się nad

parszywym zadankiem z matemy, w którym trzeba było zastosować aż trzy układy równań podsumowujących nasze wiadomości z całego przerobionego materiału. Miała to być jednocześnie powtórka do klasówki. Dwa razy zrobiliśmy coś źle i znów trzeba było zacząć od początku.

- Poddaję się-Elka strąciła zeszyt ze stolika.-Nie nadaję się!

- A ja? - rozłożyłam ręce.

- Chodź, rzucimy to, pójdziemy na przykład do cyrku. Albo zostaniemy zamiataczkami ulic i placów! I skwerów! - wygłupiała się. - Puść jakąś płytę!

- Nie mogę, tata dzisiaj wściekły, zaraz wpadnie, nawrzesz-czy... Chyba że całkiem cicho, z uchem przy głośniku - szepnęłam.

132

- O, właśnie!-Elka pacnęła na dywanik utkwivszy nosem vv stojącym na podłodze adapterze.

- Można? - usłyszałyśmy od drzwi. Januszek! Spojrzałam szybko na twarz Elki. Poczzerwieniła.

- Można, włącz! Co się stało, że odwiedzasz swoją starą kuzynkę?-powitałam go łaskawie.

- Marek przysłał to do mnie - tu niedbale podał mi kolorów ą widokówkę. - Zapomniał waszego adresu.

Czułam, że teraz Elka nie spuszcza ze mnie oczu. I, do licha., zaczerwieniłam się lekko. Remis. Przypomniało mi się, że nic jej nie powiedziałam o kartce od Janusza do Dominika...

- Dziękuję - ćwierknęłam półgębkiem. - O, chciało mu się? - z wrażenia nie mogłam odczytać, co tam Marek powypisywał. Bardzo gęsto zresztą. -A ty masz jego adres? To go pozdrów ode mnie... Siadaj, posłuchamy płyt.

- Nie mogę się rozsiadać, wujek stanowczo podkreślił, że odrabiacie lekcje - rzekł wytwornie Janusz. Patrzył tylko na mnie5 od Elki odwracał sztywno głowę, a uszy miał nieco czerwiesze niż normalnie. - Porozmawiam jeszcze chwilę z ciocią, bo mama chce omówić jakąś rodzinną sprawę, i będę zniknął. Cześć pracy! - dodał zza drzwi.

- Sto lat! - zawołałam.

- Wiesz... jak myślisz, może lepiej byłoby sprawdzić, czy Aneta to rozwiązała? - Elka zaczęła się kręcić. - Skoczę do niej, co? A potem tu wrócę. Bo do północy tego nie zrobimy!
- Jak chcesz, to leć. Ale można zatelefonować od Królikowskich - zaproponowałam trochę złośliwie. Jasne, że chce wyjść stąd razem z Januszem. Albo zaczekać na niego na dole, tak niby przypadkiem. - Po co masz ganiać?
- E, przez telefon to ja nigdy nic nie zapamiętuję - stała już przy drzwiach. - A zwłaszcza z matemy. Muszę to widzieć czarno na białym - i już jej nie było. Nie chciało mi się sprawdzać, czy wyszli razem, i tak się spotkają.
Poleżałam chwilę na dywanie, a potem z westchnieniem zabrałam się jeszcze raz do tego piekielnego zadania. Zanim Elka wróci, będzie noc. Tymczasem może mnie oświeci.

133

Nie os'wieciło, za to przyszła Aneta. Ucieszyłam się. Jej też to zadanie nie wyszło, a Elki po drodze nie spotkała. Popatrzyłam wymownie w sufit i nie wytrzymałam, poplotkowałam o Elce i Januszkę. Wyobrażam sobie, ile razy one o mnie gadały!
Aneta nie rozwodziła się długo nad Elką, naprawdę bardziej interesowało ją, dlaczego zadanie nie wychodzi. Musiałam to docenić! Poczłapałam w końcu do taty po pomoc. I tata znalazł błąd w podręczniku, bardzo wyraźny: przestawiony licznik i mianownik. Że też tego same nie zauważylys'my!

- Bo się stale rozpraszacie, myślicie o trzech rzeczach naraz, a tu trzeba się skupić - powiedział dobrotliwie, zadowolony ze swego błyskawicznego sukcesu. - No, co tam macie jeszcze trudniejszego?

- Niestety, wszystko rozwiązane - uśmiechnęła się Aneta. - Dziękujemy!

- Proszę, proszę.

Rozstałyśmy się z Anetą w pogodnym nastroju. Poszeptałyśmy jeszcze chwilę na schodach na temat Elki, jakby ją jutro zagiąć, ale nic specjalnie oryginalnego nie przychodziło nam do głowy. Skończy się pewnie na drobnych złośliwostkach.

- Pa! - pomachałyśmy sobie z ostatniego stopnia.

Po trzech, czterech minutach Aneta była z powrotem, wystraszona.

- Słuchaj, czy twój tata nie mógłby mnie odprowadzić? Kręcą się tu jakieś podejrzane typy, a na działkach ciemno!

- Zaczepiali cię? - spytała mama, która razem ze mną podeszła do drzwi. - Ilu ich jest? Tutejsi?

- Nie wiem, ilu... chyba dwóch. Albo raczej jeden... Zagroził mi drogę. Tam, na końcu ulicy, już przy działkach! Wołałam zawrócić.

- Słusznie, zaraz cię odprowadzimy - mama też zaczęła się ubierać.

- Nikomu nie otwierajcie - zaznaczył tata, już w płaszczu.

- Uuu! Bandyci! - porykiwał Dominik z okna, tak niezbyt głośno na wszelki wypadek. --Niech no który tu podejdzie! Cip, cip, cip!

134

- Nie wygłupiaj się - zamknęłam okno. I nagle pomyślałam o Elce. - Ojej, szkoda, że nie powiedziałam Anecie, żeby sprawdziła, czy Elka była u niej w domu! Ale ze mnie fujara! - biegałam po mieszkaniu. - Na tych działkach podobno różnie już bywało.

- To zadzwoń do Anety i spytaj. Ganasz po domu jak głupia - Dominik skrzywił się z wyższością.

- Albo zadzwoń do Brodackich.

- Oni nie mają telefonu, mądralo! - popukałam się w czoło i poszłam naprzeciwko, przepraszając za późną porę.

- Jaka późna pora?-uśmiechnęła się matka Dorotki. -Dzwoń, proszę.

Aneta jeszcze nie dotarła do domu, a Elka dzisiaj do nich nie zaglądała - powiedziała mama Anety i spytała, dlaczego jestem taka zdenerwowana. Ale nie wdawałam się w szczegóły, poprosiłam tylko o powiadomienie rodziców - o ile zatrzymają się pod blokiem-o szybki powrót do domu. Pewnie, że byłam zdenerwowana. Elka wyszła od nas nie tak znów dużo wcześniej przed Anetą, już było ciemnowo i niekoniecznie przecież musiało jej się udać z Januszem. Trzeba sprawdzić, czy jest w domu, a ja sama nie pójdę tam za nic w świecie!

Podenerwowałam się jeszcze dosyć długo, bo rodzice jednak poszli na spacer, nie skręcali w ogóle pod blok. Dopiero po dziesiątej tata mógł pójść do Brodackich.

- W porządku - pocieszył mnie po powrocie. - Elka już śpi. Nie widziała po drodze nic podejrzanego, nie mówiła rodzicom. Zresztą Janusz ją odprowadził.

- A my rzeczywiście widzieliśmy na działkach kogoś dziwnie się zachowującego - westchnęła mama. - Nie chodźcie tamtędy po zmroku!

- To był przecież pijak, znam go z widzenia. Nie strasz ich! - obruszył się tata. - Kobiety bardzo lubią wierzyć w wampiry - mrugnął do Dominika. - My nie damy się zwariować.

- Mowa! - nadął się Dominik.

Ale w tydzień później i on wolałby nie kręcić się samotnie o zmroku nad rzeczką: znaleziono na działkach martwego chłopaka. Podobno zmarł na serce. Nie miał żadnych obrażeń. Nikt znajomy

135
go nie widział, a wszyscy opowiadali niestworzone rzeczy, każdy coś innego. Podobno zażywał narkotyki. Tak twierdziła pani Krausowa. Tatę to bardzo poruszyło.

- To jest coś najgorszego^ co może się młodemu organizmowi przytrafić! Żebyście mi nigdy nie dali się namówić na palenie podejrzanych papierosów, wachanie czegokolwiek czy łykanie! - grzmiał tata po krótkim wykładzie o narkomanii. - O zastrzykach nie mówiąc!

- Zastrzyków to oni boją się śmiertelnie. Nie pamiętasz, co było przy szczepieniu? - wtrąciła mama. Chciała pewnie trochę rozładować napięcie, bo po tym wykładzie mieliśmy niewyraźne miny. Coś tam kiedyś słyszałam jednym uchem o narkomanach, ale nie miałam pojęcia, że to aż takie groźne.

- Żadnych podejrzanych znajomości! Żadnych dyskotek! - grzmiał dalej tata wcale jej nie słuchając.

- Nie byłam jeszcze w dyskotece - zauważyłam może ze zbyt dużą pretensją w głosie, bo tata wpadł w furję. Oj, nasłuchałam się, a reszta rodziny też przy okazji! Omal nie oberwałam lania, na zapas. Tata był prawie tak wściekły, jak wtedy po otruciu Gniotą. Latał po mieszkaniu, wreszcie wybiegł na spacer, żeby się uspokoić.

- To poważna sprawa. Ojciec boi się o was, zrozumcie to - powiedziała mama, zupełnie niepotrzebnie. Nawet Dominik orientuje się w takich sytuacjach.

- Ale tata więcej krzyczy ostatnio, prawda? - mruknęłam. - Nie był dawniej taki nerwowy.

- Myślisz, że nie ma kłopotów? A zmęczenie? - oburzyła się mama. - Dodatkowa praca i jeszcze te eksperymenty do doktoratu...-tu przerwała i zmieniła ton: - Rośnięcie, niedługo będą z wami poważniejsze kłopoty, musicie zrozumieć, że się o was obawiamy - pogłaskała mnie po głowie. Poczulałam, że mięknę. Dobrze, a kto zrozumie, że my się o nich też obawiamy? Pociągnęłam nosem. Mama pogłaskała mnie chyba po raz pierwszy od ubiegłorocznych wakacji.

- No, no! - poklepała mnie dla odmiany pocieszająco po

136
łopatkach. - Wcale nie twierdzą, że chcecie, aby były z wami poważniejsze kłopoty. Czasem bez niczyjej winy życie paskudnie się komplikuje...

- O, tak! - powiedział z przekonaniem Dominik.

- Zbroiłes coś w szkole?-zaniepokoiła się mama.-Dosyć długo był z tobą spokój, może coś ukrywasz?

- Nie! Przecież tak mi się tylko wyrwało. Przecież teoretycznie też można mieć doświadczenie. Przecież powiedziałaś to, co już sam myślałem, i chciałem to podkreślić!

- Nie zaczynaj każdego zdania od „przecież”-westchnęła mama. I było po poważnej rozmowie. A niewiele brakowało do wyjaśnienia najważniejszych rodzinnych spraw. Jeszcze jedno muśnięcie po włosach lub przytulenie i zaczęłabym mówić.

18

Przyznano tacie wczasy rodzinne w Lisim Jarze. Dwutygodniowe. Od pierwszego do piętnastego lipca.

- A potem można coś załatwić na miejscu do końca miesiąca - promieniała Panna Magister.

Skróciła włosy i wyglądała jeszcze młodziej. Nie mogłam na nią patrzeć, wbiłam wzrok w talerz z

kolacyjnymi kanapkami. Dominik trącił mnie pod stołem, ale nie zareagowałam. - Co roku tak robię i zawsze znajduje się wygodne lokum. Mam kilka wypróbowanych adresów, można by z góry zaklepać - popatrzyła na tatę pytająco. - Jak sądzisz? Wytrzymasz cały miesiąc na nizinach?

- Nie wiem - westchnął tata. Bębnił palcami po stole, co nie świadczyło o zbytnim entuzjazmie dla Lisiego Jaru. Ale jednak załatwił wczasy i kropka. - Postaram się ...

- Rzeczywiście, skoro masz adresy, można zaryzykować - zastanowiła się mama. - Ale czy już nie za późno?

- Napiszę, zobaczymy. Warto! - powtórzyła po raz setny. - Na dwa tygodnie nie opłaca się ruszać z Krakowa tak daleko.

- Niby tak - westchnął znowu tata.

137

- Przecież o Pomorzu też musimy coś wiedzieć - powiedział Dominik, ten zdrajca! - Mama będzie leżała na plaży...

- Z moim sercem? - przerwała mama z uśmiechem.

- ... lub gdzieś w cieniu z widokiem na Bałtyk, a my pomaszujemy wzdłuż Wybrzeża - zakończył braciszek z coraz większym zapalem. - W Szczecinie też nigdy nie byłem.

- Chcesz od razu machnąć całe Wybrzeże? - zainteresował się tata.

- Czemu nie?

- Podaj mapnik...

- Zaraz, przecież kolacja jeszcze trwa - przypomniała mama. - I mamy gościa.

- O, taki codzienny gość to jakby swój, prawda? - krygowała się Panna Magister. - Proszę się mną nie krępować! W dzieciństwie ogromnie lubiłam wędrówki palcem po mapie. Każdą książkę, której akcja rozgrywała się gdzieś w świecie, na przykład na Dzikim Zachodzie - tu mrugnięcie do Dominika - czy w pustyni i w puszczy - tu uśmiech do mnie - czytałam z atlasem w ręce.

Historyczne też.

- To tak jak Renata - powiedział słodko ten idiota Dominik. Wyraźnie podlizywał się dzisiaj Pannie Magister, która nareszcie przytaszczyła obiecaną stację kosmiczną z raketami.

- Pytał cię ktoś o opinię na mój temat? - zasyczałam.

- Oj, Renata, nie przesadzaj - westchnęła mama. - Bądź miła.

Będę. Co robić? Muszę się opanować, powtarzałam to sobie tysiąc razy. Będę miła, uśmiechnięta, uradowana wyjazdem nad morze... a na miejscu tak im dam się we znaki, że popamiętają! W wakacje można śledzić dorosłych przez całą dobę i wykorzystam to, na pewno. Nie będzie odrabiania lekcji, główka swobodnie popracuje nad pomysłami bardziej życiowymi. Wykorzystam każdy dogodny moment, nie ma obawy. Nagle wpadłam w inny nastrój, zaczął mi się ten plan podobać.

- To ja może pobieram ze stołu - poderwałam się ochoczo. - A może komuś jeszcze dolać herbaty?

- Nie, dziękuję - powiedziała za wszystkich Panna Magister.

138

Mama tylko pokręciła głową, mężczyźni mieli nosy wbite w mapnik. Uśmiechnęłam się promiennie do gościa, potem do mamy, potem mniej więcej w stronę taty i wypłynęłam z tacą do kuchni. Tak, czułam, że zaczynam dorastać do wielkich intryg i wielkich czynów. Byle wytrwać!

Ale nazajutrz nic z tych postanowień nie zostało. Tata znowu kłócił się z mamą w kuchni, kiedy wracałam z zakupów, potem minął mnie w przedpokoju, potrącił, wybiegł na spacer. Trzasnął drzwiami. Mama poszła do łazienki i długo nie wychodziła. Trzęsłam się ze zdenerwowania, łyż same kapały na bluzkę, nic dziwnego, że Wandula, która właśnie zadzwoniła do drzwi, wykrzyknęła przestraszona:

- Reniu! Co się stało?

- Niic... absolutnie nic! Nie spotkałaś na dole taty, jak leciał nieprzytomny przed siebie?

- Spotkałam, ale...

- Tak! A mama zamknęła się w łazience - płakałam. - To już koniec!

- Czego koniec? Nie rozumiem. Nie przerażaj mnie, dziecko, tylko mów spokojnie - Wandula nieźle mną potrząsnęła, potem wbiła w kuchenny taboret i podsunęła chustkę do nosa. - Opanuj się!

- Ty nic nie wiesz... a oni się rozwiodą - streściłam, jak umiałam, poprzednią podsłuchaną kłótnię i fragmenty obecnej. - To zazdrość, prawda?
- Zaraz... - Wandula usiadła na drugim taborecie - powoli. Nie denerwuj się!
- Mam tego dosyć!
- Powoli. Czy jesteś pewna, że mówili o zazdrości i zdradzie? Słyszałaś takie sformułowania na własne uszy, czy możesz przysiąc?
- No... nie. Dosłownie nie, ale...
- Dziecko! Nie można na podstawie źle podsłuchanej rozmowy wyciągać takich zdecydowanych wniosków. Wiesz, o co oni się kłócą? - zniżyła głos. - Tata krzyczy na mamę, że jeszcze nie była ze swoim sercem u dobrego specjalisty. Rozmawiał ze mną o tym,

139

możesz mi wierzyć. Mama się boi, bo podejrzewa komplikacje t poważną chorobę, dlatego odwleka wizytę, jak może. Oprócz lekarza z Pogotowia i internisty, który ją tylko raz badał w Ośrodku, nie oglądał mamy żaden kardiolog. Tata denerwuje się, to przecież zrozumiałe, prawda? A poza tym, poza troską o mamę, to on nie cierpi, jeśli coś jest zrobione nie tak lub nie do końca. Wiesz o tym dobrze!

- Wiem... - szepnęłam. Było mi głupio i zarazem lekko. Oby to tylko na pewno była prawda!
- Dziewczyno, dziewczyno, podejrzewam, że oglądasz w telewizji za dużo kiepskich filmów dla dorosłych - Wandula poklepała mnie po ręce. - Ale jak ty to robisz, powiedz? Przecież tata nie pozwala. Podglądasz zza pleców, tak?
- Nie podglądałam. Tata natychmiast usłyszałby moje smętne westchnienia - spróbowałam odpowiedzieć w tym samym tonie. W końcu starała się mnie uspokoić i rozweselić. Dobrze, że nie wyrwało mi się nic o Pannie Magister! Tylko tak ogólnie o zdradzie.
- Może Wandula chciała mnie wypytać o inne podstawy moich podejrzeń, zrobiła zaintrygowaną minę, ale nie zdążyła, bo do kuchni weszła mama. Błada, ale spokojna.
- A więc, Jadziu, nie zwlekaj z decyzją - Wandula zaatakowała ją z miejsca. - Popatrz, dziecko też martwi się o twoje zdrowie i co za tym idzie, o całość rodziny - mrugnęła do mnie chytrze. Żebyś ja tak umiała wykręcać każdą rozmowę, nie rezygnując z powiedzenia prawdy! - Jutro pomaszeruj do kliniki. Ja już dawno wypisałam sobie nazwiska lekarzy i godziny przyjęć... - zaczęła grzebać w torbie. - Mam w notesie. Przejrzyj to i zdecyduj się!
- Przecież ja się totalnie nie wykręcam - westchnęła mama z miną zupełnie jak Dominik. Wzięła w rękę notes Wanduli.

Poszłam do siebie, zawstydzona, ale niezupełnie do końca przekonana. Wandula nie widziała tak często jak ja spojrzeń taty rzucanych na uroczą Pannę Magister. Ja ich przyłapię! Ale może uda się to dopiero w Lisim'Jarze... Niech więc żyje Lisi Jar!

Na razie trzeba było dożyć jakoś do końca roku szkolnego, a nie zanosilo się na ładne świadectwo. Dominik też przyznał się

140

ostatnio, że ma kłopoty. Widzieliśmy więc przed sobą długi łańcuch nudnych dni, wypełnionych po brzegi powtórkami aż do ostatniego dzwonka. Spokojnych dni. Bo po wyjaśnieniu tła rodzicielskich kłótni nie zanosilo się już na większe przeszkody w domowym życiu. Mama poszła do kliniki, badania ciągnęły się, ale już nie mogła się wykręcić. Tata zaraz poweselał, zwłaszcza po dwóch weekendach w Beskidzie Żywieckim. Poza tym skończył eksperymenty naukowe. Panna Magister tkwiła teraz sama nad wynikami i nie pokazywała się u nas prawie wcale. Nic, tylko siedzieć i wkuwać, łykając witaminy i inne świństwa na wzmocnienie.

Elka też wygrzebywała się z trzech słabych trój, nie było czasu na koleżeńskie złośliwości w klasie czy po szkole na temat naszych rzekomych chłopaków. Przy czym Janusz istnieje naprawdę i chyba można go nazwać chłopakiem Elki. Gorzej ze mną. Wmawiany Rafałek, wmawiany Mareczek... co mi z tego, że są prawdziwi? I nic ich nie obchodzi, to jasne. A inni dookoła nie obchodzą mnie. Trudno, widocznie to jeszcze nie mój sezon sercowy. Może dopiero w siódmej klasie będą mnie mogli znajomi nazywać (czy przezywać!) czyjąś dziewczyną? Poczekam, wyjaśniając tymczasem kilka spraw z podwórka rodziny Mir siów.

Dodatkowo sprzyjała domowej nauce obecność Mirki, która w strachu przed egzaminami do liceum plastycznego zaczęła przyjeżdżać do nas dwa razy w tygodniu i mogła mi świecić przykładem od rana do późnej nocy. Jeszcze mniej mówiła niż zwykle i ruszała się jeszcze wolniej, kiedy już musiała wstać z krzesła. Byłam więc pewna, że nic mnie nie zaskoczy przed końcem roku.

Byłam pewna do powrotu z jednodniowej wycieczki do Zalipia, jaką urządziła nasza klasa do spółki z piątą B. Rozbrykałam się już w autobusie w tamtą stronę, razem z Elką i Anetą, i nie dałyśmy sobie wydrzeć prowadzenia w tryskaniu dobrym humorem. Pani wychowawczynie kilka razy patrzyła na mnie z wielkim zdumieniem, odwykła już od mojego beztroskiego śmiechu. W sumie bardzo się ta wycieczka udała. A gdy wysiadłyśmy z autokaru pod szkołą, Elka westchnęła:

141

I

- Szkoda, że Janusz nie mógł z nami pojechać. On wcale nie jest taki nudny i rozkapryszony, jak twierdziłaś - popatrzyła na mnie z wyrzutem. - I bardzo sympatycznie mówi o Marku.

- Przestań mi tu wmawiać Marka, dobrze? - udając złość pociągnęłam ją za czuprynę. - Bo jak mi go wmówisz, a raczej mnie jemu, to go napuszcę na Janusza, żeby mu ciebie obrzydzał. I Janusz brutalnie rzuci Elżbietę w środku lata. Ach! Och! •

- Uważaj! Bo ja wtedy odnajdę tego twojego dawnego Rafała i napuszcę go na Marka. Albo odwrotnie, jak okaże się, którego bardziej wolisz - śmiała się Elka. - Janusz pomoże mi go odszukać, przecież go widział. I co? Ach! Och!

- A wtedy ja się wtrączę i wszyscy wasi chłopcy pójdą za mną - powiedziała wesoło Aneta, dosyć dumnie przy tym podrzucając głową, aż zafalowała masa złotych włosów. Piękną czuprynę wyhodowała sobie w tym roku, trzeba przyznać! - Gwizdnę na Janusza, Marka i Rafała, i na kilku jeszcze innych i zobaczycie! Już mi ktoś powiedział, że niedługo będę mogła tylko gwizdnąć a! B! I ledwie kiwnąć małym palcem. I to nie jakiś tam kolega z klasy, ale dorosły mężczyzna - znów potrząsnęła grzywą. Zmrużyła oczy, wystawiając twarz do słońca, odwróciła się do nas bokiem. A my stałyśmy jak cielaki, niemal z otwartymi buziami. Co my wiemy o Anecie? Z kim ona się spotyka, zwłaszcza podczas wytwornych wernisaży i innych przyjęć, na które chodzi (teraz jeździ) z rodzicami? Co tam nasi koledzy, faktycznie...

Dotąd najładniejsza w klasie była Elka, ale gdy tak stałyśmy między zielonymi działkami w pełnym słońcu, zauważyłyśmy, że Aneta bardzo wyładniała. To nie tylko sprawa włosów. Urosła.

Zaokrągliła się gdzie trzeba. Nogi ma zgrabne. Nos ma zgrabny." Oczy ma duże, intensywnie niebieskie. Tylko może trochę chłodniejsze spojrzenie. Uważniejsze. Mniej wesołe. Co my o niej wiemy?

- Coście tak wrosły w asfalt? - roześmiała się po chwili. Zerwała wystającą zza płotu gałązkę bzu. Popatrzyłam na Elkę, Elka na mnie. I zaśmiałyśmy się jednocześnie, bardzo głośno i dosyć głupio. Elka podskoczyła zniecka do Anety, wyrwała jej tę gałązkę i zaczęła uciekać.

142

- Gońcie mnie! Sztafeta! Sztafeta! - krzyczała wymachując bzem. - Kto mi to odbierze?

- O, ty! - wrzasnęła prawie serio Aneta i ruszyła w pogoń. Biegłam za nimi lekkim truchtem, nie chciało mi się nikogo wyprzedzać, i śmiałam się, najweselej, jak potrafiłam w tym momencie.

Aneta oczywiście dogoniła Elkę raz, dwa na tych swoich długich nożyskach i chwilę potarosiły się niegroźnie na skraju chodnika. Wybiegłyśmy już spomiędzy działek, widać było całą naszą uliczkę. Biały polonez jechał powoli od strony pętli, tak powoli, jakby ktoś w nim przyglądał się po kolei numerom domów.

- Jacyś obcy - stwierdziłam, kiedy zagapiłyśmy się na niego. Nie wiem, dlaczego zaczęło mnie ssać w żołądku. Polonez zatrzymał się pod domem Krausowej. - E, pewnie do Królikowskich. Albo do tych z parteru - powiedziałam lekceważąco. - No co? Nie gonicie się już? To odprowadźcie mnie pod chałupę!

Auto wjechało na nasze podwórze, nie widziałam więc, zza żywopłotu, kto z niego wysiadł.

- Ha, widzicie, jaka to rejestracja? - wykrzyknęła Elka pokazując palcem. - Poz-nańs-ka! Bomba, Rafałek do Renatki przyjechał! - aż kucnęła z zachwytem.

- Nie?! - Aneta zgięła się w pół. - A to heca! - i popatrzyła na mnie podejrzliwie, jakbym też

zniecka v yladniała.

- A widzicie? - powiedziała niby triumfalnie, chociaż zdławionym głosem. - Śmiałyście się, że go sobie wymyśliłam.
- Wcale nie! Przecież Janusz też go widział - Elka rąbnęła się w pierś zupełnie poważnie. - Rena, natychmiast pomachaj nam z okna, o, tak! - pokazała -jeżeli on przyjechał. Dobrze? Koniecznie!
- Pomachaj, pomachaj - uśmiechnęła się aprobująco Aneta. - Zaczekamy tu skromnie za płotem.
- A jeśli to nie on? - wzruszyłam ramionami. Nie wydawało mi się to prawdopodobne.
- To pokiwaj, o tak - pokazała Elka. - Nie bądź świnia! Będę tu tak długo stała, aż się dowiem.
- To rozbij namioty - mruknęłam wchodząc na podwórze.

143

Wyobraziłam sobie, jak sterczą tu obydwie do wieczora, aby tylko zerknąć na tego, kto będzie wsiadał do poloneza. Ja już za chwilę się dowiem... O ile, oczywiście, to do nas. Nie przypominam sobie, żeby rodzice mieli znajomych w Poznaniu.

Wlokłam się noga za nogą, bo na pierwszym podejściu schodów stała pani Krausowa i zapytała słodko, kto też to do nas przyjechał.

- Ktoś do nas przyjechał? - zrobiłam zdziwioną minę. - Nic o tym nie wiem.
- Tym białym polonezem, który stoi na podwórku-dodała właścicielka naszej siedziby. - Naprawdę nie macie w Poznaniu znajomych z takim autem?
- Nie wiem. Może tata ma - odpowiedziałam i ruszyłam dalej znacznie wolniej. Żołądek ściśnięty, serce wali, w ustach sucho... Czyżby jednak? Teraz, kiedy już o nim zapomniałam? Kiedy nie bardzo pamiętam, jaki ma kolor włosów i oczu, jaki uśmiech? Przecież on mnie nic nie obchodzi! To dlaczego nie wbiegam lekko po schodach, tylko człapię na zupełnie miękkich nogach? Renatko, musisz natychmiast wziąć się w garść i wkroczyć na domowe scenę z szerokim beztróskim uśmiechem.

Ciekawe, kto wtedy mógł zdobyć się na szeroki beztróski uśmiech? Chyba tylko Murmuranda. Wyczułam, że ta wizyta zwała się na rodziców wielkim ciężarem, chociaż na wstępie były takie sobie towarzyskie ceregiele, wspomnianie spotkania w Sudetach, omawianie pogody i tak dalej. Kiedy stanęłam w progu stołowego, goście wlepili we mnie wzrok tak napięty, jakby od tego, czy się uśmiechnę lub poruszę brwią czy uszami, zależały losy świata. Zbaraniałam do reszty.

- O, jest Renatka! - powiedziała mama ze sztucznym ożywieniem. - Renatko, poznajesz?
- Tak... oczywiście. Dzień dobry - ukloniłam się jak maluch, dygając. Dobrze obejrzałam pokój: nie było w nim ani śladu Rafała. Może już zdążył zaszyć się w innym kącie? U mnie? W łazience? Wyszedł na balkon?-Poznaję... A Rafał nie przyjechał? - zaryzykowałam. Jak najobjętniejszym tonem.

144

- Właśnie...-chrząknął jego ojciec i bezradnie popatrzył na żonę. Teraz nie wydawał mi się znudzony, jak wtedy na Szczelińcu, tylko zmęczony. A żona zupełnie roztrzęsiona, co starała się ukryć, ale nie wychodziło. - Nie odwiedził cię ostatnio?
- Mnie?-dębiałam dalej.-A dlaczego?
- Więc nie widzieliście się? - zaskrzeczała jego matka, nerwowo stukając papierosem o poręcz fotela. Drugi, zapalony dopiero co, wcisnęła do popielniczki. Patrzyła na mnie, jakby mi nie wierzyła.
- Oczywiście, że nie!-wzruszyłam ramionami. Rozzłościło mnie to śledztwo. Ale zaczerwieniłam się przy tym; oboje, a także moi starzy, nie spuszczały ze mnie oka. - Ostatni raz widziałam go na przystanku autobusowym w Międzyzlesiu - powiedziałam stanowczym tonem, zgodnie z prawdą.
- I my też - kiwnęła głową tata. Zdaje się, że niezbyt podobała mu się ta nagła wizyta przelotnych znajomych. - Nie bardzo rozumiem... hm, powodu wizyty państwa u nas-zawiesił głos pytająco. - Co ma z tym wspólnego nasza córka?
- Proszę! - pani Niedźwiecka dramatycznym gestem wręczyła mu jakąś karteczkę i sięgnęła po następny papieros.
- Adres Renaty i jej pismo - stwierdził tata. Popatrzył na mnie.
- Oj, Dominik i Janusz widzieli, jak mu go dawałam! - zawołałam, zła coraz bardziej. -Właśnie

koło przystanku w Międzyzlesiu. Chciałam, żeby mi przysłał widokówki z Poznania. I tyle!

- Nie krzycz - poprosiła mama.

- Bo o coś się mnie tutaj podejrzewa, prawda? - zapomniałam o tym, że do Lisiego Jaru mam wytrwać w roli grzecznutkiej milutkiej córeczki. Zacisnęłam pięści. - O co? Ani jednej widokówki mi nie przysłał! Czekałam jakiś czas, a potem machnęłam ręką. Co mnie może obchodzić jakiś tam Rafał?

- Renata, uspokój się - powtórzyła mama, trochę groźniej.

- Przepraszamy cię w takim razie - powiedział do mnie pan Niedźwiecki. - To jest fałszywy trop.

- Czepiamy się już wszystkiego - pani Niedźwiecka zwróciła

10 Pępek węża

145

się do mamy. Broda jej zadrżała, popielniczka spadła ze stołu na kolana, w oczach zabłyśły łzy.- Każdej szansy! Ale szansy nie ma...

- Renatko, wyjdź do swojego pokoju - rzuciła szybko mama. - Jeśli jeszcze będziesz potrzebna, to cię poprosimy.

- Przepraszam - ukloniłam się i wyszłam. Zamknęli za mną drzwi od stołowego, nie mogłam nic dokładnie podsłuchać. Dominik też miał głupią minę. Wszedł za mną do pokoju. Spytałam: - Przyszedłeś wcześniej ode mnie, to wiesz, jak oni zaczęli rozmowę. Co powiedzieli zaraz po „dzień dobry“?

- Nie wiem - westchnął z żalem. - Siedziałem w łazience. Jakaś grubsza afera, co? Co ten twój Rafał zmalował?

- Jaki „mój“?-zdenerwowałam się.-Zaden mój, zapamiętaj to sobie! Bez aluzji, dobra? Nie wygłupiaj się, to rzeczywiście jakaś poważna sprawa. Może potem starzy nam powiedzą, bo od tamtych niczego nie można wyciągnąć.

- Mama wyciągnie. Przecież oni muszą wyjaśnić, po co przyszli. Przecież nie podejrzewa się czyjeś córki, a potem spokojnie wychodzi bez przeproszenia.

- Już mnie podobno przeprosili - mruknęłam. - Nie zaczynaj zdań od „przecież“.

- Ile ja mam matek, do licha? Nie pouczaj mnie, Renówo! -tupnął nogą.

- Cicho! Nie drzyj się. Posłuchaj lepiej, co oni mówią - szepnęłam.

Stanęliśmy na progu mojego pokoju, w każdej chwili gotowi do ucieczki, i wyciągaliśmy szyje i uszy w stronę stołowego. Pani Niedźwiecka lamentowała głośno, ale niewyraźnie, chaotycznie, pan Niedźwiecki basował jeszcze mniej zrozumiale, a nasi wtręcali tylko „tak?“, „o!“, „może nie jest tak źle?“ albo „to straszne!“ Przy każdym wyraźniejszym słowie mrugaliśmy do siebie z Dominikiem, ale nic nie mogliśmy zrozumieć.

146

1Y

Po wyjściu Niedźwieckich czekaliśmy na wezwanie do stołowego, bo w końcu należało się nam jakieś wyjaśnienie, zwłaszcza mnie. O co jestem podejrzana? Ale dłuższy czas panowała u rodziców cisza, a potem przyszła Panna Magister. Zazgrzytałam zębami na jej widok, tym razem z kilku powodów.

- Nie przychodziła prawie cały miesiąc, mogła jeszcze jeden dzień wytrzymać!-burczałam do Dominika. - Widziałeś, jaka roześmiana? Zaraz zaczniesz trąkotać, a mamę pewnie głowa boli po Niedźwieckich.

- Dowiemy się o aferze Rafałka dopiero wieczorem-westchnął Dominik. -To ja polecę do Daniela! Wiesz, on ma...

- Cicho bądź! Słyszysz?-przerwałam. Ze szmeru cichej rozmowy wybił się nagle oburzony jazgot Panny Magister:

- Ależ to absurd! Renatka i takie towarzystwo? Nie przejmujcie się, kochani. - Mama coś dodała cicho i znów: - Rozumiem, że zrozpaczeni. Ale zaraz podejrzewać...

- Ona jest za tobą - stwierdził Dominik. - A tak na nią naska-kujesz.

- A ty od tej stacji kosmicznej przeszedłeś całkiem na jej stronę, tak? - skrzywiłam się jadownicie. - Wystarczył jeden prezencik!

- Renówo!

- Domisko!... A ona wcale nie musi stawać po mojej stronie, bo nie ma żadnej „mojej strony”, rozumiesz? Nic nie zbroiłam. I nie będę dłużej czekać - zdecydowanie ruszyłam do stołowego. Zapukałam i weszłam nie czekając na zaproszenie. Dominik pchał się z tyłu, żeby nic nie stracić. - Czy mogę wiedzieć, o co chodzi? - spytałam grzecznie.

- Cóż... - zawahał się tata. - Rafał uciekł z domu, nie pierwszy raz zresztą. Nie wiedzieli, gdzie go szukać, znaleźli twój adres i przyjechali, to wszystko!

- Naprawdę nie widziałaś go od Międzylesia? - spytała mama. -Może przypadkiem, na ulicy, jeśli jest w Krakowie, jak podejrzewają?

10*

147

- Nie widziałam - oburzyłam się.

- A gdzie go miało widzieć to grzeczne dziecko chodzące tylko do szkoły i z powrotem? Zastanów się, Jadziula! - Panna Magister teatralnie załamała ręce. - To prawie dorosły chłopak, siedemnastolatek!

- Myślałam, że jest młodszy - wyrwało mi się.

- Bo i niski, i chudy - zauważył Dominik.

- Taak... -tata bębnił palcami po stole. Na chwilę zapanowała w pokoju cisza, pełna ponurych rozmyślań. Nie wiedziałam, czy to już wszystko i czy możemy odejść, sterczałam przy drzwiach. Dominik też.

- Ładnie cię witamy - ocknęła się mama wstając z fotela. - Zaraz zrobię ci cos' do picia.

- O, nie trzeba, chyba że ci pomogę!-ruszyły do kuchni, a ja zwróciłam się do taty:

- Od szukania zaginionych jest milicja. Po co awantury po cudzych mieszkaniach? Przecież wcale ich nie znamy.

- Milicja nie wie, gdzie on tym razem wylądował - wyjaśnił tata. Wyglądał na zmęczonego, przygnębionego. - Podobno jest w Krakowie. Gdybys'cie go gdzieś przypadkiem spotkali, musicie nam zaraz o tym dać znać, dobrze?

- Albo najbliższemu posterunkowi MO-zaśmiał się Dominik.

- Nie śmieję się, bałwanie! - zdenerwował się tata. - Nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji! Pamiętacie naszą rozmowę o narkomanii?

Kiwaliśmy głowami. Tyle było krzyku, że nie da się zapomnieć. Ale tata miał wątpliwości:

- Widocznie niezbyt dobrze wam utkwiała w pamięci! Powtarzam więc: narkoman to jest człowiek, który zażywa dużo narkotyków, czyli leków i innych środków chemicznych bądź naturalnych, dających mu chwilowe przyjemne oszołomienie, zapomnienie o otaczającej go rzeczywistości, odprężenie, także dziwne, niezemskie wizje...-tata spacerował wokół stołu z rękami założonymi do tyłu jak belfer przed tablicą i z półprzy-mkniętymi oczami oraz rytmicznym kiwaniem głową wbijał nam w

148

pamięć przystępną wersję, iaka raczej ma aziaziusiów. Nic rzeczywiście chyba lepiej to zrozumiemy niż oderwane okrzyki, terminy chemiczne i inne obce słowa, jakimi obrzucał nas podczas pierwszej „rozmowy” na ten temat. -To wszystko jest podobno bardzo miłe, ale do czasu. Potrzeba coraz większej dawki narkotyku, aby osiągnąć coraz krótsze chwile przyjemności, i człowiek, zwłaszcza młody, beznadziejnie wpada w nałóg. Nie ma drogi wyjścia! Myśli tylko o tym, jak zdobyć narkotyk, nic go nie obchodzi, nie interesuje, nie słucha nikogo, nie liczy się z konsekwencjami, przestaje kochać i szanować tych, których kochał przedtem... Kradnie, żeby zdobyć narkotyk. Popęlnić też może poważne przestępstwo, o ile starczy mu sił, bo narkotyk błyskawicznie wyniszcza cały organizm. Rozumiecie? Nie tylko żołądek czy wątrobę lub jakiś inny organ: atakuje mózg! Narkoman stopniowo tępieje i kończyłby jako kompletny idiota, gdyby ciało wcześniej nie odmawiało posłuszeństwa, rozumiecie? Im kto wcześniej zaczyna, tym krócej będzie żył. Kilka lat! Rozumiecie? - powtórzył. Nie wytrzymał w roli obojętnego belfra, zdenerwował się. -1 właśnie Rafał jest narkomanem. Powinien się leczyć, bo może jeszcze da się coś zrobić. Ale tylko na początku, podkreślam! Nie wiem, czy nie jest już za późno. Z tego, co mówią jego rodzice... -

przerwał i westchnął. - W każdym razie dobrze byłoby go odnaleźć. Ale to nie jest wasza sprawa! Ani kroku z tej ulicy bez naszej wiedzy, zrozumieliście? - zagroził.

- Tak - przytaknęliśmy zgodnie.

- Niech ja się dowiem, że łązicie w podejrzone miejsca!

- Co się znowu stało? Co zrobiły te niewinne aniołki? - roześmiała się Panna Magister, z tacą w rękach wkraczając do pokoju. - Daj im już spokój, to porządne dzieciaki.

- A jak wygląda narkoman? - spytał Dominik. - Bo Rafał jest dosyć normalny. Pełno w Krakowie takich z włosami i wisiorami. Zwłaszcza w Juwenalia.

- Właśnie - wtrąciłam. - Na ławkach w parku czy na ziemi leżą głównie stare pijaczyska.

- Narkoman nie musi leżeć na ziemi, może u siebie w domu na kanapie - powiedziała Panna Magister, ciągle dosyć pogodnie.

149

«i"uv o,bi.i*\^iit-; i.i^jgicjuaiaalii jej aic spuu ила. - кЭаш iud w towarzystwie takich jak on... Jeżeli jest to początkowe stadium, to normalnie chodzi po ulicach, nawet próbuje pracować, trudno więc podać wam dokładny „rysopis” - usmiechnęła się.

- Dla was wystarczy, jeśli będziecie uważali na kontakty z takimi kolegami czy koleżankami, którzy nagle zaczynają się gorzej uczyć, nic ich nie obchodzi, czasami są agresywni, to znów mili i namawiają na przykład do palenia papierosów. Niby nic, wszyscy kiedyś próbują palić, ale te papierosy, tak zwana „trawka”, zawierają narkotyki. Albo znów inni zachęcają do wężania różnych płynów, rozpuszczalników i tak dalej. Mam nadzieję, że się na to nie dacie nabrać! A teraz możecie odejść - zakończył surowym tonem.

- Oj, jak oficjalnie! - zasmiała się Panna Magister i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Nie drgnęłam.

- Zmieńmy temat, dobrze? - poprosił tata przez zęby.

- Chętnie. Może się zdziwisz, ale mam dla ciebie propozycję.

Przystanęłam w drzwiach, nie doczekałam się jednak szczegółów, bo mama mnie przegoniła. Znow eksperymenty naukowe? Wspólna wycieczka? Ale nie łamałam sobie nad tym głowy zbyt długo, myślałam raczej o Rafale. Biedak! Przypomniałam sobie, że powiedział coś o „przyrodoterapii”, jaką stosują wobec niego rodzice każąc mu łązić po górach. Teraz wiem, dlaczego mieli w schronisku takie ponure miny. A Rafał wydawał się całkiem normalny... Może tata na wszelki wypadek trochę przesadził, żeby nas nastraszyć? Nie chciało mi się wierzyć, że Rafał w siedemnastym roku życia stoi nad grobem.

- Renata, a może poczytamy jeszcze encyklopedię? - zaproponował nieśmiało Dominik wchodząc do mojego pokoju. Podrapał się w głowę. - Bo ja bym chciał wiedzieć, co to są te narkotyki.

Proszki?

- Dobrze, poczytajmy - westchnęłam. Mnie też czegoś w tatowym wykładzie brakowało. Poszłam do stołowego.

Panna Magister była właśnie pełna dobrych przeczuć, mama

150

popierała jej pomysł, a tata krzywił się i machał rękami. Twierdził, że jest za stary. Na co? Nie wypadało spytać, wzięłam encyklopedię i wróciłam do siebie.

- Czytaj głośno - poprosił braciszek, jak za czasów bajek. No i nasłuchał się. Nie wyczytałam nic pocieszającego. Ani pod

hasłem ogólnym „narkomania”, ani pod „heroina”, „opium”, „marihuana”, „meskalina” i tak dalej. Biedny rzeczywiście ten „mój” Rafał! Ale trafiłam z romantycznymi uczuciami! Mniejsza z tym, nie o mnie chodzi, tylko o niego. Jak mu pomóc? Ba, po pierwsze to już nigdy go nie zobaczę, dawno o mnie zapomniał. A po drugie - jak ja mogę mu pomóc? O ile jeszcze można, bo niektóre z podsłuchanych słów jego matki były raczej beznadziejne.

- O, to mak taki niebezpieczny? - zdziwił się Dominik. - A ja uwielbiam makowiec! Czy wpadnę w nałóg? - zaniepokoił się.

- Jak się będziesz nadmiernie obżerał - zażartowałam.

- Serio?... E, bujasz, to przecież większość dorosłych byłaby narkomanami. Przecież większość

lubi makowiec - połapał się. Ale po chwili inna myśl strzeliła mu do głowy. Aż się poderwał z krzesła: - Narkomania to śmiertelne, tak? No, to ten nieznany młody trup na działkach to mógłby być on! Rafał!

- Coś ty? - przeraziłam się.

- Właśnie! Przecież ty go nie widziałaś. Nikt ze znajomych go nie widział i nie opisał.

- Wiesz... -zastanowiłam się. A potem znowu wtargnęłam do stołowego.

Tata twardo stawiał opór pomysłowi Panny Magister, a mama uśmiechała się, jakby wiedziała, że kiedyś się podda.

- Przepraszam! Tato, dlaczego nie powiedzieliśmy Niedźwie-ckim o tym nieboszczyku na działkach? - zawołałam.

- Zupełnie o nim zapomniałem - przyznał tata po chwili przykrego milczenia. - Podobno tamten był narkomanem... -popatrzył na mamę.-Ale nie jestem przekonany, czy należy im powiedzieć... Chyba trzeba?

- Ja nie potrafię - westchnęła mama. - Zwłaszcza matce.

151

- Myślę, że zaczęli poszukiwania od milicyjnej statystyki zgonów - powiedziała Panna Magister poważniejąc na chwilę. - To logiczne.

- Raczej tak... -zawahał się tata.

- Więc nie mówimy? - upewniłam się.

- Czy ja wiem... Może lepiej nie?-teraz mama popatrzyła pytająco na tatę.

- Lepiej nie - mruknął szeleszcząc gazetą. Sprawdzał program telewizyjny, chociaż gość tkwił przy stole. Ale Panna Magister nie zwróciła na to uwagi. \.

- Zresztą Niedźwieccy już pojechali - odetchnął Dominik.-Zostawili swój adres?

- Oj, chyba zapomniałam zapisać-mama rozejrzała się po stole i biurku. - Przygotowałam papier i zapomniałam!

- No, to z głowy - podsumował Dominik i wycofał się.

- A ty na pewno nie masz jego adresu? - spytała mama patrząc na mnie.

- Już raz powiedziałam, że nie! - zdenerwowałam się! - Tylko on miał mój. Nie rozumiem, po co miałabym...

- Otwórz, Dominik! - przerwał tata, bo ktoś zadzwonił. Dominik zaraz wrócił z Tupią w ramionach. Lizała go po nosie.

- Dobry wieczór - uklonił się pan Gajda. - A raczej jeszcze popołudnie. Pracuję całymi nocami, to mi się doba przesunęła.

- Witaj!-tata wstał z krzesła. - Wyobrażasz sobie, co one znowu wymyśliły? - wskazał dramatycznym gestem mamę i Pannę Magister, która natychmiast zabłysła swoim najładniejszym niewinnym uśmiechem. - Poskarżyć?

- A skarż - powiedziała mama.-Zaraz usłyszysz, że to dobry pomysł.

- Namawiają mnie na zaoczne studia - jęknął tata. - Jestem przecież za stary!

- E, bez przesady - zareagował prawidłowo pan Gajda. -Widzisz? Słyszysz? - ucieszyła się Panna Magister.-On

popiera!

- Renatko, nastaw wodę na następną herbatę - poprosiła mama. Musiałam wyjść. I tak dowiedziałam się, co chciałam.

152

- Jak ci się ten wspaniały pomysł podoba? - spytałam Dominika, który przyczłapał za mną do kuchni. - Eksperyment zakończony, teraz będzie mogła pomagać w nauce opóźnionemu koledze. Przez pięć lat, na przykład. Tupla, fuj!-odpędziłam suczkę od kuMa. - Dam ci coś świeżego - sięgnęłam do lodówki. Od smutnej przygody Gniotą nie lubię patrzeć, kiedy stworzenie grzebie w byle czym. Odkroiłam kawałek kielbasy. - Masz, kotku. Tfu! Pieseczku. Murmuranda tego nie widzi? - rozejrzałam się po kuchni.

. - Nie, śpi na szafie w sypialni - odparł Dominik.

- Akurat! - pokazałam palcem drzwi. Murmuranda przeciągała się na progu, udając zupełnie nie

zainteresowaną tym, co robimy. Polizała lewy bok, znów się przeciągnęła, odwróciła w inną stronę i nagle dała susa tuż przed nosem Tupli na taboret. Tupla zaskomlała. Porwała upuszczoną kiełbasę i przeniosła się z nią w bezpieczniejsze miejsce, za nogami Dominika. A Murmuranda, jak w zwolnionym filmie, leniwie przeskoczyła na parapet okna i spokojnie wylizała prawy bok. Pogroziłam jej palcem: - Walisz gościa po nosie? Nieładnie! Przecież tobie też dam - podsunęłam jej inny kawałek kiełbasy. Odwróciła się tyłem, obrażona. Widocznie chodziło jej tylko o panoszenie się Tupli na cudzych śmieciach.

- Nie rób herbaty, Renatko - powiedziała mama zaglądając do kuchni. - Idziemy na chwilę do pracowni, pan Gajda chce nam coś pokazać.

- A nam nie? - oburzył się Dominik.

- Nie wiem... zresztą macie gościa-mama wyjrzała do przedpokoju, bo szczęknęły drzwi wejściowe.

- Ani słowa o Rafale - syknęłam groźnie w ucho Dominika.

- Oj, dziecko jestem? - oburzył się.

Przyszedł Grzesiek. Jemu ostatecznie można opowiedzieć o wizycie Niedźwieckich... ale jednak na razie zaważałam się. Dominik zaraz usadził go na dywanie przy montażu stacji kosmicznej i właściwie miałam gościa z głowy. Spokojnie mogłam zająć się lekcjami. Rozłożyłam podręczniki, ziewnęłam i nic z mojego uczniowskiego zapału, bo przyszedł Janusz. Tak sobie,

153

„wstąpił po drodze”, jak powiedział. Poderwałam się od biurka, skoczyłam do okna. Zupełnie zapomniałam, że miałam dziewczynom pomachać! Nie zauważyłam nikogo za płotem. Czekały, czekały, zobaczyły, kto wsiada do poloneza, i poszły. Pewnie tak było. Jutro będą mi przygadawać w szkole... albo jeszcze dziś' wpadnie tu Elka. Niemożliwe, żeby nie wiedziała o niespodziewanej wizycie Januszka.

Ale nie przyszła. Ostatni dzwonek naciśnęła Mirka. Grzesiek zaraz zaczął popisywać się wymyślaniami nowych układów rurek przy stacji kosmicznej, a Janusz znalazł tymczasem za kredensem starą gitarę mamy z czasów studenckich rajdów. Któryś z kolegów zostawił ją w mieszkaniu Wanduli, a potem rodzice myśleli, że zainteresuje nas bardziej niż fortepian. Teraz przydała się Januszkowi, i to z niespodziewanym skutkiem.

Myślałam, że padnę na dywan z zachwytu, kiedy Mirka, zamiast od razu wbić się w krzesło i nie odrywać od podręczników i albumów pełnych reprodukcji dzieł mistrzów, została z nami w stołowym, wyraźnie zainteresowana popisem mojego kuzyna--ze-strony matki. A on wlepił gały w moją kuzynkę--ze-strony--ojca, którą widział po raz pierwszy w życiu, bo tak się jakoś złożyło, że dotychczas mijali się u nas w domu o dzień lub kilka dni, w góry też przecież z nami poszli osobno. Januszek, głę-dzący z pogardliwym grymasem o wyższości muzyki klasycznej nad rozrywkową, śpiewał teraz pełną piersią modne przeboje.

- Czemu nie zabierałeś gitary w góry? - wyrwało mi się szczerze, bo dobrze to robił. - Nie wiedziałam, że śpiewasz.

- Wujek nie lubi hałasu w lesie, nieprawdaż? - odpowiedział wytwornie. I grał dalej.

Żalowałam, że ani my, ani Brodaccy nie mamy telefonów. Elka powinna być tu dzisiaj, powinna pilnować swojej sprawy. Zawsze wyczuwa, kiedy Janusz do nas zagłąda, a dzisiaj jak na złość odeszła spod domu Krausowej w nieodpowiednim momencie. Złościło mnie, że Mirka bez najmniejszego wysiłku znowu zwycięża. Nie, przepraszam - zadała sobie trochę trudu, zamieniła z Januszem kilka zdań. O szkolnictwie artystycznym Krako-

154

wa. I-oczuusmy się wszyscy wyłączeni poza nawias, gdy tak sobie rozmawiało dwoje artystów o dalszych planach życiowych, porozumiewając się właściwie półsłówkami i znaczącymi uśmiechami. Mogliśmy-my pozostali - spokojnie wyjść ze stołowego i zająć się czym innym. Taka zapanowała atmosfera. Ale nie wyszliśmy. Trzaskaliśmy raketkami w rurkach, coraz mocniej naciskając miechy, aż jeden zasyczał i wysiadł. Na szczęście pod ręką Dominika, nie miał komu nawymyślać.

- Pękł - stwierdził żałośnie.

- Od początku był słabszy - pocieszałam go. - To za delikatne na krajowe łapska.
- Przyniosę ci pompkę do materaca - powiedział Grzesiek, bardzo głośno i ponuro, chociaż może chciał, żeby wypadło lekko. Klęczał na dywanie odwrócony tyłem do Janusza i Mirki i bardzo się pilnował, aby patrzeć tylko na nas lub na ścianę. - Nie przejmuj się! Ma mocny dech, a przekrój rury chyba ten sam.
- My przecież też mamy miech do materacy - Dominik pognął do przedpokoju z krzesłem, żeby sięgnąć do pawlacza. Darł się o drabinę, z krzesła nie mógł dosięgnąć.
- Drabinka w piwnicy, nie będę tam teraz łązić - wzruszyła ramionami. - Grzesiek, ty jesteś najdłuższy, może ty zdejmiesz?
- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Grzesiek, znowu za głośno i ze sztucznym entuzjazmem. Wyszedł za Dominikiem, a ja zbierałam rakiety po dywanie i żałowałam go w duchu. Mirka może nawet nie zorientowała się w jego uczuciach. Ale co ona widzi w Januszu?
- No, jeszcze jeden utwór i znikam - kuzynek popatrzył na zegarek. Zaczął grać coś ładnego i zupełnie nienowoczesnego, ale zniemacka pękła struna, jeden jej koniec zadrapał-go za uchem. Parsknęłam śmiechem, a Mirka popatrzyła na mnie zimno. Janusz zmieszał się.
- O, przepraszam! Poszukam i przyniosę nową - westchnął. Postawił gitarę przy ścianie za kredensem i wolniutko zbierał się do wyjścia.

155

- Nie przejmuj się struną - powiedziałam pogodnie. - Nikt u nas nie gra, mama nie zauważy.
- Ale ja o niej wiem - uśmiechnął się Janusz, głównie do Mirki, która też odprowadziła go do drzwi i stała za mną, niebawale! - Nie zasnę spokojnie, dopóki tego nie załatwię. Cześć - ukłonił się mniej więcej wieszakowi na ubrania i wyszedł.
- Cześć - odpowiedzieli chórem za nas nasi goście. Mirka spokojnie, a Grzesiek ponuro i głucho, bo akurat trzymał głowę w pawlaczu.
- Koniec pieśni, do roboty! - zawołałam. - Macie pojęcie, ile muszę jeszcze dzisiaj przeczytać?
- A ja? - zakwiliła cienko Mirka i pognęła za mną do pokoju.
Już do nocy nie odezwała się ani słowem. Ja też nie miałam czasu. Ani ochoty. Żał mi było Grześka i Elki.

Przez tę wizytę Janusza trochę zapomniałam o poprzedniej, ale przed zaśnięciem zobaczyłam wyraźnie zmartwione twarze Nie-dźwieckich i wszystko inne wydało się malutkie, nieważne. Otarliśmy się dzisiaj o prawdziwą tragedię.

20

Obudziłam się jakaś przygnębiona. Śniadanie jedliśmy wszyscy razem, Mirka nie ma zwyczaju wylegiwania się w łóżku, choć nie musiała dzisiaj gnać do szkoły, tylko o dziesiątej na konsultację. Pomagałyśmy mamie, wszystko szło sprawnie i w przyjemnej atmosferze, ale to mnie nie uspokoiło. Okropnie nie chciało mi się iść do budy. Nie ze strachu przed belframi, tylko tak w ogóle. Ale tu zdrówko szczęśliwie kwitnące i nie było pretekstu. Zapomniałam zeszytu do matemy i wróciłam z połowy drogi, kiedy już starych nie było w mieszkaniu.

- Co by się stało, gdybym została?-jęknęłam do Mirki, wahając się w przedpokoju. - Nic wielkiego, prawda?

- Nic wielkiego - wzruszyła ramionami.

156

\

- Poszłabym z tobą do tego profesora i wróciłybyśmy w sam raz na obiad.
- Twoje lekcje kończą się później - zauważyła spokojnie ta rzeczowa młoda osoba. Oj, jak jej nie cierpiałam w tym momencie!
- Nie bój się, idę, idę! - trzasnęłam drzwiami. Ona chyba nigdy w życiu nie była na wagarach! No, ja raptem raz, i to nie cały dzień. Po prostu trochę wolniej wracałyśmy z Elką z papierniczego, kiedy nauczycielka wyrzuciła nas z lekcji po bloki, których zapomniłyśmy na plastykę. W papierniczym na ogół tłok, mogłyśmy wrócić do budy akurat po to, żeby odebrać płaszcz z szatni i

teczki od Kaśki. I tyle. Nie mam się czym chwalić.

- Ale ty jesteś - powitała mnie Ełka. - Miałaś pokiwać z okna!
- Widziałyście przecież, kto wsiadał do poloneza - wzruszyłam ramionami. Za poważna ta wczorajsza wizyta na takie głupie dziecinne dasy.
- Myślisz, że sterczałyśmy tak dwie godziny? - puknęła się w czoło. - Aż tak ważny ten twój Rafałek nie jest!

- Skąd wiesz, że to były dwie godziny? - zadrwiłam. Tyle mniej więcej trwała wizyta Niedźwieckich, fakt.

Elkę na moment przytknęło, ale nie było czasu na dalsze docinki, belferzyca już wkraczała do klasy. Musiałam im coś powiedzieć o poznańskich gościach na następnej przerwie. Wymyśliłam znajomych taty, przejazdem w Krakowie w drodze do Zakopanego.

- Tak, żadnego chłopaka z nimi nie było - westchnęła Elka i wysypała się
- A mówiłaś, że nie czekałyście - mrugnęłam do Anety.
- Oj, co za sprawa - skrzywiła się Elka.
- Żadna - przyznałam i dodałam słodko: - Szkoda, że nie postąpiłaś tam jeszcze kwadrans.

157

- Bo co?

- Nic! Janusz był u nas.

- Phi! Czy ja za nim muszę biegać? — zadarła nosa. - Wiedziałam, że ma do was przyjść - skłamała, to jasne, widać było po oczach. - Umówiliśmy się później na pętli tramwajowej.

- Tak? To żałuj, że nie chciało ci się wczesniej ruszyć z domu, było bardzo fajnie - usmiechnęłam się do Anety, nie do niej. - Janusz grał na gitarze, a Mirka śpiewała.

- Mirka? - stęknęła Ełka.

- To ona nie w piątki przyjeżdża? - spytała Aneta towarzyskim tonem. Odmrugnęła mi, że widzi, co jest grane.

- Teraz dwa razy tygodniowo - odpowiedziałam tak samo. - Przecież egzamin niedaleko.

- No tak - kiwnęła głową Aneta. I do Elki: - Co tak sterczysz jak nagrobek? Miałymy lecieć do szatni po kostium gimnastyczny!

- Już leceć! - wrzasnęła Elka z dzikim entuzjazmem i omal nie przejechała się na pupie po wypastowanym korytarzu.

Przestałam jej współczuć, nic mnie dzisiaj nie obchodziło naprawdę, marzyłam o klapnięciu na kanapę z książką w rękę zaraz po powrocie do domu. A tu jeszcze przedłużona próba chóru, potem wizyta w bibliotece... Powinnam wypaść z budy jak strzała, ale nogi ledwie mnie niosły.

Grzesiek dogonił mnie z łatwością. Szliśmy ramię w ramię i milczeliśmy aż do domu. Dopiero na schodach spytał:

- Czy Mirka ma jeszcze jedną lekcję dzisiaj, czy zaraz jedzie?

- Ma jeszcze jedną lekcję dzisiaj - odpowiedziałam pełnym zdaniem, obserwując spod oka jego niby-obojętną minę. - Pojedzie dopiero późnym wieczorem.

- Aha - nic więcej nie dodał.

Zresztą ja też zaniemówiłam. Bo gdy podchodziliśmy już do naszego półpiętra, drzwi mieszkania Królikowskich otworzyły się nagle i wypadła z nich moja mama. Za nią zobaczyliśmy zatroskaną twarz pani Królikowskiej. A mama wyglądała okropnie. Prawie jak pani Niedźwiecka.

i 58

- Dobrze, że się od razu dodzwoniłam - mówiła, nerwowo grzebiąc kluczem w zamku naszych drzwi. - Marian właśnie wychodził na jakąś konferencję. Zaraz tu będzie.

- Może nie jest tak źle, jak pani myśli, pani Jadziu? - pocieszała matka Dorotki.

- Co się znowu u was stało? - szepnęła Grzesiek.

Nie mogłam mu odpowiedzieć. Ani zrobić najmniejszego ruchu. Mama w drugiej ręce trzymała trzy otwarte koperty. Poznałam je natychmiast.

«- A, jesteś-zauważyła mnie. Upuściła jedną kopertę. Podniosła, pomachała wszystkim w moją stronę. - Porozmawiamy, dziewczyno! Proszę zaraz na górę. I proszę bez niewinnych minek. Teraz porozmawiamy poważnie. Pospiesz się, nie denerwuj mnie, z łaski swojej!

Oderwałam wreszcie stopy od podłogi, udało mi się jakoś dobrać do przedpokoju. Mama zatrzasnęła drzwi, popchnęła mnie do stołowego.

- Posiedź tu do przyścia taty. Wspólnie z tobą porozmawiamy.
- Ale... ja ci to zaraz wytłumaczę - wykrztusiłam. - To nieporozumienie.
- Zaraz nam się tu do wszystkiego przyznasz, po kolei-popchnęła mnie na kanapę. - Siedź i nie próbuj uciekać - trzasnęła drzwiami pokoju-Mirka! Postój tutaj chwilę, pilnuj, żeby nigdzie nie wyszła - usłyszałam. - Ja muszę iść do łazienki po krople. Za chwilę padnę trupem.

Mirka jako strażnik więzienia! Przypomniało mi się, że widziała te nieszczęsne listy na moim biurczku. Czyżby to ona mnie wysypała? Ładnie. Nie daruję jej tego!

- Mirka! - zawołałam półgłosem. - Jesteś tam?
- Jestem - szepnęła w szparę w drzwiach.
- Ty dałaś mamie te listy, co?
- Skąd! Nie wyglupiaj się! Ciocia szukała encyklopedii, potrafiła jakąś inną książkę, z której wypadły.
- Aha! Założmy - mruknęłam.
- Co się dzieje, Rena? Co to za listy?

159

- Zaraz się dowiesz, bo będzie dużo wrzasku.
- Mireczko, idź już do pokoju, dziecko, i ucz się!-poirytowany głos mamy. - Zawołam cię na obiad. Do mnie już ani słowa. Siedziałam w stołowym i kłęłam w duchu. Te głupie listy! Dobrze mi tak, mogłam nie oszukiwać Elki. Teraz będę musiała przyznać się do tego, i to przed tatą, który tak nie cierpi kłamstwa.

Ale nie przypuszczałam, że mi nie uwierzą. Zwłaszcza mama... Przerazona odkryciem, że jednak utrzymuję kontakty z narkomanami i nie wiadomo, co jeszcze robię, wcale nie słuchała moich wyjaśnień. Wylewała żale przed tatą, oskarżając go o słabe zainteresowanie rodziną. Dostało się pośrednio i Pannie Magister, ale nie byłam w stanie ucieszyć się tym, ryczałam jak dziecko. Lepiej nie streszczać wszystkich oskarżeń i gorzkich słów, jakie padły w tamto popołudnie. Mama i tata biegali po mieszkaniu, oskarżając się wzajemnie, ja za nimi, próbując się wytłumaczyć, a za mną Mirka, która obejrzała uważnie listy i koniecznie chciała coś mamie powiedzieć. Tylko Dominik wolał przytulić się do Murmurandy za szafą.

- Mireczko, prosiłam cię, żebyś siedziała w pokoju! - krzyknęła wreszcie mama, kiedy wpadła na nią. Zupełny brak sympatii do dziewczyny wypłynął nagle w tym okrzyku. Mirka obraziła się. Szybko pozbierała rysunki do teki, ubrała się i wyszła na konsultację o godzinę wcześniej. Dorosli nie zauważyli tego wcale. Kłócili się właśnie w kuchni, po czym przybiegli do stołowego. Mama zaczęła szarpać mnie za ramiona: - Bezczelna smarkulo! Oszustko! Natychmiast mów, gdzie może być ten przeklęty chłopak! Na-tych-miast!

- Nie wiem!-ryknęłam jeszcze głośniejsze.-Ja sama pisałam te listy! Powtarzam to już setny raz!

- Nie kłam! - krzyknął tata.

- Nie kłamie! To wy nie chcecie mnie wysłuchać-beczałam. - Zapytajcie Niedźwieckich, czy to jego pismo. Pokażcie im to.

- Dobrze wiesz, że już pojechali i nie znamy ich adresu. Sprytna jesteś - powiedziała mama ciszej, ale zimno. - Nie spo-

160

dziewałam się po tobie także i tego. Ale nie ciesz się, krętaczu! Marian, jedź z nią do „Cracovii”, oni tam się zatrzymali. Tak mówili. Może jeszcze są. Pojedziesz z ojcem-to do mnie-i przeprosisz ich za wczorajsze kłamstwo. Życie chłopaka od tego zależy, ale to cię nie obchodzi, prawda?

- Uspokój się, Jadziu - powiedział tata łagodnie. - Renata, jedziemy! Ciekawe, jak się będziesz przed nimi tłumaczyć?

- Tak jak przed wami - zaszlochałam.

k- Umyj twarz. Nie możesz tak pokazać się na ulicy - ochłonęła mama. Nie odezwała się więcej, patrzyła ponuro z okna, jak idziemy do tramwaju.

Tata też milczał. Ugrzęźliśmy w korku, Niedźwieccy omal nam nie umknęli. Właśnie wsiadali do

poloneza na parkingu. Tata zamachał rozpaczliwie rękami, aż się milicjant obejrzał. Pędziliśmy przez parking pod hotelem, objijając się o samochody.

- Przepraszam... - wysapał tata, kiedy pan Niedźwiecki otworzył drzwiczki i chciał wysiadać. - Proszę nie wychodzić, my tylko na chwilę - wyciągnął jeden z listów z kieszeni. - Czy to pismo Rafała?

- Nie - odpowiedział pan Niedźwiecki.

- Nie, na pewno nie - stwierdziła pani Niedźwiecka i westchnęła.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - uklonił się tata. - To głupia pomyłka.

Głupia pomyłka! Zdaje się, że nie tylko mama będzie w naszej rodzinie chora na serce. Czułam już klucie w lewym boku. Może po biegu, a może właśnie od serca. Powiedziałam zimno:

- Tato, trzeba chyba poinformować państwa o tym nieżywym narkomanie na działkach.

- Jak to... - zająknął się pan Niedźwiecki.

Tata szybko wyjaśnił, kiedy go znaleziono i gdzie jest dzielnicowa komenda MO, a potem wracaliśmy tramwajem, nie odzywając się do siebie. Tata nawet nie próbował zagadywać, a już przygotowałam sobie kilka pełnych oburzenia i urażonej godności zdań. Dobrze, że ich w końcu nie użyłam. Sytuacja jasna i prosta. Niech oni pomyślą, jak z tego wybrnąć.

11 Pepek węża

161

Zaraz po powrocie rozebrałam się i wpakowałam pod kołdrę. Nie obchodziło mnie, o czym szepczą w stołowym. Kolacji nie jadłam. Nie zareagowałam, kiedy Mirka, pakując swe rzeczy przed wyjazdem, rozmawiała cicho ze stojącą w drzwiach mamą.

- Tak, tak, przepraszam cię, Mireczko - westchnęła mama zbolalym głosem. - Bardzo się zdenerwowałam, to dlatego.

- Rozumiem, ciociu.

- Teraz ja sama widzę, że z tymi pieczętkami cos' nie jest w porządku - mama zaszeleściła listami, kładła je chyba na biurku. Nie raczyłam sprawdzić. Wyobrażałam sobie, jak się wstydzi.

Słysząc to było w jej głosie. Czekala na moją reakcję, bo pomilczała chwilę, zanim znów westchnęła: - Tak się czasem zbyt pochopnie człowiek unosi... Starajcie się być bardziej opanowane, dziewczęta! I myśleć, zanim coś zrobicie, czy powiecie.

- Idę już, ciociu - przerwała te pouczenia Mirka. - Mam kwadrans do odjazdu autobusu.

- O, to rzeczywiście musisz się spieszyć, tak, tak! - zatroskany głos mamy cichł powoli w głębi mieszkania. - Weź kanapki! - doleciało jeszcze do mnie przed odgłosem zatraskiwanych drzwi wyjściowych.

Nie przeszkadzali mi już więcej tego wieczora. Może zresztą ktoś zaglądał do mnie, ale zasnęłam szybciej, niż myślałam. Okropnie byłam zmęczona. Właściwie to dobrze, że Niedźwieccy ocenili charakter pisma „Rafała”. Nie będzie żadnych wątpliwości. Tyle że wyszłam na dziecinną, sentymentalną idiotkę. Postanowiłam zaraz rano spalić te listy w popielnicze.

Nie, zostawiłam je. Na pamiątkę i ku przestrodze. Położyłam na wierzchu, obok podręczników. Mama na pewno już ich nie dotknie, boi się nawet popatrzeć w tę stronę. Na mnie też nie patrzy. Może wtedy, kiedy jestem odwrócona. Nie ułatwiam jej sytuacji, milczę. Z tatą też nie rozmawiałam przez całe dwa dni. Dopiero wizyta Wanduli trochę ociepliła rodzinną atmosferę. Mama chyba opowiedziała jej o wszystkim, ale Wandula nie zrobiła nikomu kazania. Może raczej mamie miała ochotę przy-

162

gadać, ale mama wyglądała blado, reakcja na zdenerwowanie przyszła z opóźnieniem. Leżała na kanapie i pozwoliła Wanduli na działania gospodarskie. Wanduli jak zwykle nie zamykały się usta, usłyszeliśmy wesołą historyjkę zalotów ratlerka znajomych babci do pinczerki innych znajomych na przyjęciu urodzinowym jakiejś pięcioletniej Agnieszki. Potem o konflikcie ciocibabci Kingi Klary z mleczarzem. O wyleczeniu astmy chlorem z basenu, w którym regularnie musiał płać się w ramach zajęć szkolnych wnuczek jej przyjaciółki. I o wielu jeszcze nie dotyczących nas sprawach.

Dopiero pod koniec kolacji, otwierając gazetę z programem telewizyjnym, tata wspomniał

mimochodem:

- Dzwonili dziś do mnie do pracy państwo Niedźwieccy. Jeszcze raz przeprosili za wizytę, powiedzieli też, że ten młody nieboszczyk na działkach to nie był Rafał. Ciągłe mają nadzieję, że go odnajdą i wpakują siłą na leczenie.

- O, to dobrze, trochę mi ulżyło - westchnęła mama. Popatrzyła na mnie, zachowałam kamienną twarz.

- Tak. A teraz koniec z tematem Rafała. Nie chcę już o tym słyszeć! - oświadczył tata.

- Może już nigdy o nim nie usłyszymy - westchnęła mama. Też wolałabym o nim jak najszybciej zapomnieć. Nie udało się

jednak... Ale po kolei.

Najpierw obraziła się na mnie Elka. O Mirkę. Że nie odwracałam uwagi Januszka od pięknej kuzynki. A co, miałam zatańczyć nago na szafie albo oblać Mirkę atramentem? Albo zamknąć ją w łazience i udawać, że klucz zginął?

- Właśnie - poparła mnie Aneta. - Sama pilnuj swoich spraw. Co ma do tego Renata?

Obraziła się, ale pilnowała. W piątek, kiedy miała przyjechać Mirka, myłam okno w swoim pokoju i zupełnie przypadkiem zauważyłam czuprynę Elki za żywopłotem. Chowala się przede mną!

Udałam, że jej nie widzę, potem zerknęłam - już jej nie było. Za chwilę pojawiła się na przeciwległym chodniku, z Kaśką, pieskiem i koszykiem na zakupy. Wkrótce wracały tą samą drogą,

u*

163

zwalniając na odcinku ogrodzenia Krausowej, chociaż twardo patrzyły w inną stronę.

Zmniejszyłam tempo mycia okna i czekałam na dalszy ciąg. Nastąpił niebawem.

Zobaczyłam Januszka idącego wolnym krokiem w naszą stronę. Przeglądał gazetę, dlatego nie zauważył w porę Elki, która wyrosła jak spod ziemi. Rozpromieniona, rozgadana. Zatrzymała go.

Dźwigała na odmianę pakę z bielizną z magła. Bez ceregieli obarczyła Janusza tym bagażem i ruszyli powoli do zakrętu.

Janusz przyszedł do nas, kiedy Mirka już przekąsiła coś po podróży, przebrała się i poleciała na konsultację. Śmiać mi się chciało z kuzyna, który zagadywał o tym i owym bez pojęcia, nie podał żadnej konkretnej przyczyny swojej wizyty u nas i wreszcie poszedł, niezadowolony. Widziałam z okna, jak czujnie rozgląda się po ulicy, wystawiając za bramę tylko głowę, a potem rusza z kopyta do pętli tramwajowej. I dobrze, że wziął takie tempo, bo za chwilę Elka była u mnie. Rzekomo zadanie z fizyki jej nie wychodziło, ale kiedy stwierdziła, że nie ma Janusza, wycofała się.

- Wiesz... nie będę ci przeszkadzać, polecę do Anety. Cześć!

- A gnaj, gdzie chcesz - zamknęłam za nią drzwi. Rzeczywiście nie będzie chwili spokoju w tym domu, jeśli wszyscy nasi mili goście nie odkochają się w najbliższym czasie.

Nie zanośliło się na to - nawet milcząca Mirka zdradziła się tuż przed zaśnięciem.

- Czy ty dałaś Januszowi adres profesora? - spytała super-obojętnym tonem.

- Skąd! Nie rozmawialiśmy wcale na ten temat-udałam wielkie zaskoczenie. - A co, przyszedł tam po ciebie?

- Po mnie? Niby dlaczego? - teraz ona udawała zdziwioną.-Nie, stał na chodniku pod kamienicą.

- E, to mógł być przypadek - pomogłam jej. - Janusz mieszka w sąsiedniej bramie.

- Aha! - udała, że odetchnęła z ulgą. - Dobranoc!

- Dobranoc - uśmiechnęłam się w ciemności. W takie przypadki to ja już nie wierzę, nie ma obawy.

164

21

Nazajutrz Grzesiek kręcił się od rana pod domem, ale na górę nie wchodził, i kiedy wyszłam razem z Mirką, bo mi się zachciało odprowadzić ją do profesora, udawał, że okropnie zajmuje go przeglądanie zwłok prastarego niczyjego roweru opartego o mur pod wejściem do piwnicy.

- O, cześć! — nie dałam mu spokoju. - Masz coś do roboty? Patrz, jaka piękna pogoda! Szanuj wolną sobotę i chodź z nami!-Mirka milczała, niecierpliwie popatrując na zegarek, sama musiałam przełamywać bardzo wątpliwy opór Grzeska.

- No i co, żałujesz, że cię wyciągnęłam? - zaśmiałam się do niego, kiedy wylądowaliśmy w parku

Krakowskim.-Patrz, jak Bow się cieszy!

- A czy ja mówię, że nie? - skrzywił się Grzesiek. Nie był dzisiaj zbyt rozmowny. Ciągle sama musiałam trajkotać. Aż mnie to zmęczyło i umilkłam. Wtedy on zaproponował lody. - Należy ci się coś ekstra od życia - powiedział z przekąsem - skoro ten twój Rafał okazał się chorym biedakiem...

- Przestań! - krzyknęłam. - Nie potrzebuję twoich lodów! -dobry humor diabli wzięli. Pobiełam pierwszą lepszą alejką. Siedzące na najbliższej ławce mieszane starszawe towarzystwo popatrzyło na mnie ciekawie, a potem potępiająco na Grzeška. Zauważyłam to kątem oka.

- Zaczekaj!-wołał Grzesiek, ale nie słuchałam. Pędziłam ile tchu, żeby się zmęczyć. Klapnęłam wreszcie na najzaciśniętą ławkę, uprzedzając jakąś staruszkę z pieskiem. Zamknęłam oczy. Słyszałam, jak staruszka mamrocze do swego pupilka, że „nie możemy śkalba tu nakalміć”, potem tylko ptaki wydzierały się w krzakach i wreszcie-głos Grzeška:

- O, tu jesteś...-czuło się, że jest zmieszany. Nie drgnęłam. - Przepraszam cię, to było głupie zagranie.

Milczałam nie otwierając oczu. Sterczał chwilę przy ławce, zasłaniając mi słońce, potem coś tam pogadywał do Bowa, rzucił mu patyk, pobiegali po trawie. I znów stanął obok niezdecydowanie.
165

- Nie mówiłam ci nic o Rafale - odezwałam się, ciągle z zamkniętymi oczami. - Skąd wiesz?

- Od Dominika - przyznał. Dodał szybko: - Coś mi się obilo o uszy, więc go sam zapytał. On nie jest...

- Dobra! - przerwałam. - Nieważne.

- Mogę usiąść?

- A siadaj. Ławka jest państwowa.

- Nie gniewaj się - powiedział po chwili milczenia. - Tak mi się głupio wyrwało, zupełnie nie wiem, dlaczego.

- A ja wiem! Jesteś zły na mnie... a raczej na całą moją rodzinę z powodu Mirki i Janusza - rąbnęłam. Dlaczego mam go oszczędzać? Skoro już mówimy o tych sprawach? Zlitowałam się tylko na tyle, żeby nie patrzeć triumfalnie, jak się biedak czerwieni. Mogłam go sobie dokładnie wyobrazić.

- Coś ci się wydaje - bąknął. - Nie wygłupiaj się!

- Wcale się nie wygłupiam - otworzyłam wreszcie oczy, ale też na razie wolałam przemawiać do krzaków, odwrócona do Grzeška bokiem. - Dlaczego tylko na mnie mają spadać życiowe problemy? Dlaczego tylko o moich ewentualnych uczuciach gada się publicznie? Nawet Panna Magister musiała się wtrącać... I pan Gajda... I lichy wie, kto jeszcze!

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam. Mam tego dosyć!

. - Innym też nie wszystko układa się jedwabnie, zauważ - powiedział po chwili, wzdychając.

- Inni mnie nie obchodzą - palnęłam. Szczerze.

- Aha!

- Nie podoba ci się coś?

- Wszystko mi się szalenie podoba.

- To siedź cicho!

Wstał z ławki i w tym momencie pożałowałam, że mnie poniosło. Ale Grzesiek nie odpłynął obrażony w siną dal, tylko poganiał trochę z Bowem po trawce i wrócił. Siedział, pogwizdywał, nic nie mówił. Długo to trwało. Mirka ma teraz więcej do roboty na tych konsultacjach, profesor pewnie chce, żeby zabłysła przed komisją... Zdążyła mi się znudzić ta ustronna ławka.

166

- Przesiadźmy się gdzie indziej - zaproponowałam w końcu ugodowym tonem. - Będzie nas szukać i nie znajdzie.

- Możemy się przesiąść - westchnął.

- Już raz sterczeliśmy w tym parku z powodu Mirki, pamiętasz?-przypomniało mi się na ścieżce. Szliśmy powoli, jak para emerytów, a Bow skakał wokół nas radośnie. - Omal ci wtedy nie powiedziałam o Rafale... a także o czymś innym. Chyba ważniejszym. Myślisz, że ja żyję tylko

intrygami sercowymi koleżanek i kolegów? - tu zamilkłam, bo przecież ta najważniejsza dla mnie sprawa też wiąże się z „intrygą sercową”.

- Wcale tak nie myślę - mruknął Grzesiek.

- E, skończmy z tym - machnęłam ręką.-Gdzie te lody? Lecimy!

Bow wpadł w jeszcze większy zachwyt, gdy tak wszyscy troje gnaliśmy wokół wielkiej fontanny, potem na prostej.... gdzie Grzesiek nagle zahamował i wpadłam na niego.

- Co robisz? Wybiłabym sobie zęby na twoim chudym grzbiecie! - zawołałam ze śmiechem.

- Nic, nic, sznurowadło mi się rozwiązało - przykucnął.

A ja zobaczyłam, jak schodkami powolutku idzie sobie Mirka z lodem w dłoni, obok niej Januszek. Też z lodem. Poza tym niesie jej tekę.

- Hej!-zawołał wesoło kuzynek. - Polecam te lody.

- Owszem - uśmiechnęła się Mirka.

- Właśnie po nie pędzimy. Chodźże, Grzesiek, bo mi język uschnie - pociągnęłam go za koszulkę. -

A wy zaczekajcie na nas pod fontanną, dobrze?

- Zaczekamy-obiecał poważnie Janusz.

Grzesiek chciał zapłacić za moje lody, ale uparłam się i zrobiłam to sama. Wracaliśmy pod fontannę bardzo wolno, obserwując tamtych ukradkiem, chociaż Grzesiek dzielnie udawał, że patrzy w zupełnie innym kierunku. ~

- Artyści są zmienni - pocieszyłam go.-Janusz dopiero co zaczął chodzić z Elką i...

- On mnie kompletnie nie interesuje - przerwał Grzesiek. - Mówmy o czymś innym, dobrze?

167

- Chętnie! - wykrzyknęłam z takim entuzjazmem, że się sama zdziwiłam. Sztucznie i głupio to wypadło.

Milczeliśmy. Mirka z natury, my z różnych powodów, więc Januszek mógł popisywać się swoją wiedzą i dowcipem. Od parku Krakowskiego po pętlę Rakowicką. Niektórzy w tramwaju popatrywali na niego z wyraźną niechęcią. Na Mirkę też się gapili, wiadomo. A Grzesiek wyłącznie w okno. Albo na Bowa. Miał dosyć i zaraz pod domem pożegnał się z nami. Pognął za psem do bloku, jakby go kto gonił.

- Nie wstąpisz? - westchnęłam patrząc za nim i Janusz urwał swoje kolejne przemówienie w pół słowa. Staliśmy i staliśmy na chodniku, dość tego.

- Nie, nie, raczej muszę się pospieszyć - popatrzył na zegarek.-Mam co robić przy fortepianie! Egzamin końcowy za pasem - to miało być wytwornie dowcipne. - Cześć! Do zobaczenia, Mira - pomachał ręką i pognął na pętlę, rozglądając się niespokojnie dokoła. Szkoda, że Elki nie było w pobliżu, miałabym dodatkową rozrywkę.

Mira! Dobrze, że jeszcze nie Mirella lub Miranda! Ciekawe, czy to ona kazała tak siebie nazywać na miejskim bruku, czy Januszek sam to wymyślił. Ja się nie będę wygłupiać, Mirka to Mirka.

- I jak ci poszło tym razem? - powitała ją życzliwie mama. Zauważyłam, że po każdej rozmowie z tatą o bursie artystycznej zwraca się do Mirki specjalnie serdecznie. Być może wieczorem właśnie omawiali ten temat. - Co powiedział profesor?

- Wszystko w porządku, ciociu - uśmiechnęła się Mirka.

- To świetnie, to świetnie! Bardzo się cieszę - powtarzała mama w kółko, kręcąc się po kuchni. - Zjedz obiad, nie czekaj na wujka. Zaraz przecież masz autobus. Kanapki są tutaj, o!

Wyniosłam się do swojego pokoju. Ciekawe, czy rzeczywiście załatwią jej ten internat. Nie miałabym nic przeciwko temu. Żal mi tylko Grześka.

Tata przyszedł z miasta w sam raz w porze odprowadzania Mirki na dworzec. Wykręcała się, przecież nie jest dzidziusiem, a

168

tata na to, że właśnie dlatego musi nad nią czuwać. Będą mu po drodze ludzie zazdrościli pięknej córki.

- Mną nie można się chwalić, jasne - stwierdziłam spokojnie. Raczej towarzysko. Ale tata zmieszał się okropnie, zaraz stracił połowę humoru. Popatrzył na mamę bezradnie. A mama udała, że nic się nie stało.

- I koniecznie powiedz w domu, że zapraszamy cię na kilka dni przed egzaminem - była zajęta wyłącznie Mirką. - Bez pośpiechu douczysz się, pospacerujesz po muzeach, odpoczniesz w parku albo w kinie.

- Jeżeli nie będzie w domu za dużo roboty, to przyjadę wcześniej - kiwnęła głową Mirka. - Do widzenia, ciociu! Cześć, Renata!

- Dominik szwenda się po podwórku, wezmę go ze sobą - o-żywił się tata, trochę sztucznie. - Odwieziemy Mirkę do Zielonej i wrócimy na piechotę. Pogoda w sam raz!-porwał z wieszaka chlebak, w locie wrzucił do niego cztery bułki, topiony serek i nóż, zgarnął z wieszaka kurtkę swoją i Dominika i wreszcie wyszli.

- No! - powiedziała mama innym tonem, zamykając drzwi. - A teraz mam nadzieję, że mi pomożesz. Koniecznie musimy wreszcie posprzątać na pawlaczach. Zimy już nie będzie, możemy zwinąć ciepłą odzież.

- Pomogę - westchnęłam niemrawo.

Ciągnęło się to ze trzy godziny. Ale rzeczywiście mama sama nie dałaby rady. Wyglądała mizernie, chociaż nadrabiała to ruchliwością i gadatliwością, zupełnie u niej nową.

- Wiesz - zwierzyła mi się nagle, gdy upychaliśmy już ostatni tobole - próbuję jednak namówić ojca na wyższe studia. Zaoczne-obejrzała się konspiracyjnie, jakby jeszcze ktoś mógł to usłyszeć.- Widzę, że ten naukowy eksperyment dał mu do myślenia. Nie powinien wierzyć, że już nic w życiu nie działo.

- To pomysł Pan...i Magister-nie wytrzymałam. Zabrzmiało to gorzko, ale mama chyba nie zauważyła. Na wszelki wypadek zagadałam to: - Oj, ten but już tu nie wlezie! Zaraz spadnie! - zachwiałam się na drabince.

169

- Spokój, proszę się nie kłócić - powiedział tata.

- Mama, ona kopie!-poskarżył się ten dzidzius.

- Renata! - westchnęła mama.

- Słucham? - zdziwiłam się zaczepnie.

- Mówiłem coś chyba przed chwilą - tata podniósł głos.

- Przepraszam - wstałam i ukloniłam się.-Bardzo przepraszam! Za wszystko bardzo przepraszam! - nowa seria ukłonów. Patrzyli na mnie zdziwieni. Zakłóciłam normalny tok. kolacyj-ny. - Za bardzo za wszystko za prze...

- Nie wygłupiaj się - przerwał sucho tata.

- Mogę pozbierać? - machnęłam swoim talerzykiem. -I pozmywać?

- Proszę, zbieraj - przyzwoliła mama.

- Tata, czy jest dzisiaj horror w telewizji? - słyszałam, jak Dominik słodko pyta. Bez szans, wiadomo. Wzruszyłam ramionami, a talerzyk rąbnął o kuchenną podłogę. I nie rozbił się!

- Horror? - zdziwiony głos taty.

- Nie, no, ja się tylko tak pytam, bo przecież do Niepołomic blisko, nie musimy wstawać przed świtem... i mama na przykład wyśpi się, odpocznie po horrorze...-wykręcał się Dominik.

- O co ci chodzi? - zdziwiony głos mamy.

- Nie peszcze dziecka, on ma przecież dobre intencje - głos Wanduli. Krzepki. -No, Dominik, pokażesz mi, czy kosmodrom jeszcze działa? Chodźmy do sypialni, nie przeszkadzajmy tym staruszkom!

Szuranie krzesel. Włączanie telewizora. Szum zasuwanych firanek. Kolejny, weselszy odcinek słuchowiska „U Misiów”. Staralam się kaslać tylko wtedy, gdy woda leciała z kranu, a jeszcze dodatkowo brzęczałam naczyniami.

22

W puszczy trzymałam się na końcu węża, udając, że studiuje dokładnie niektóre trawki i zioła, albo też bawiłam się z Dominikiem w porykujące młode zuberki - chcąc zatuszować

172

kaszel. W gardle drapało mnie coraz bardziej. Zapomniałam landrynek do ssania, a to mi na ogół pomaga. Niedzielny spacer w przyrodę udał się, nie chciałam więc wieczorem psuć nastroju, nie

przyznałam się do lekkiej gorączki. Najadłam się tylko ukradkiem miodu i popiłam gorącym mlekiem. Bywało, że niekiedy wykorzystywałam najłżejsze drgnięcie rtęci w termometrze, aby poleżeć w łóżeczku z książką, ale tym razem wolałam być w szkole. Przygotowałam się dobrze z historii, mam być pytana, ostatnia szansa! Poza tym mieliśmy omawiać szczegóły trzydniowej wycieczki w Gorce i Pieniny.

Kaśka opowiadała, że jej angina zawsze przechodzi, kiedy potrzyma dłużej ręce w zimnej wodzie z kranu. Zastosowałam to przed snem i rano Dominik aż podskoczył, kiedy go przypadkiem dotknęłam. Nawymyślał mi od złodowaciących pingwinów.

- A ty jesteś przedludowcowy... łupek! Że opuszczę jedną literę!

- Nie kłóćcie się - odezwała się mama automatycznie. Opaliła się troszkę na wczorajszej wycieczce i wyglądała dużo lepiej. - Idę dzisiaj do lekarza, mogę się spóźnić, sami więc podgrzejcie sobie obiad.

Poza tym drobnym zakłóceniem nic się u Misiów ciekawego nie wydarzyło. Tyle że Elka, Aneta i Kaśka posiedziały u mnie przez chwilę, omawiając szczegóły wycieczki, niekoniecznie przeznaczone dla uszu wychowawczynie. Chciałyśmy się jakoś hecniej przebrać, jak wypada w Juwenalia, które właśnie wtedy miały się rozpocząć w Krakowie. Snułyśmy różne projekty kostiumów, ale zaraz pojawiły się wątpliwości.

- Mieszkamy za blisko budy, wychowawczynie odeśle nas do domów po coś normalnego! - westchnęła Elka. - Już to widzę! Autokar nie PKP, może poczekać.

- Już raz nic nie wyszło z naszej wspólnej przebieranki - przypomniała Kaśka. - Pamiętacie? Na imieniny Renaty.

Przypomniały sobie pewnie także intencję tej przebieranki, bo popatrzyły na siebie, potem na Anetę i umilkły. Wzruszyłam ramionami:

173

- Nie z przebieranki nici, tylko z całych imienin, pamiętacie przecież - zakasłałam. Zatkanam usta ręką, obejrzałam się na drzwi. - Ja zawsze muszę wszystko zepsuć, niestety!

- Teraz też? Nie pojedziesz na wycieczkę? - zapytała słodko Elka. Z lekkim zaniepokojeniem, takim bardziej salonowym. Bo nie mogłam tego kaszlu opanować. - Znów jesteś chora, czy ci błyszczą.

- To przejdzie - odsapnęłam. - W domu na razie nikt się nie zorientował.

- To będzie bal w górach - stwierdziła Aneta. - Lepiej przyznaj się mamie, da ci coś na szybkie wyzdrowienie, może się uda?

- Ta? - mruknęłam z powątpiewaniem. - Już widzę, jak mnie wypuszczają z domu po takiej rozmówce.

- Proponuję przebrać się po wycieczce i skoczyć na Rynek na zakończenie Juwenalii! - zawołała Kaśka.

- Dobrze. Jak chcecie - zgodziła się obojętnie Aneta. Wzruszyła ramionami i wyszła. Musi wyprowadzić Faraona, bo jej starzy znów idą na jakieś przyjęcie.

Reszta też przypomniała sobie o swoich pieskach i zostałam sama. Dominik hulał gdzieś z Danielem, mama wróciła od lekarza i zaraz dokądś poszła, tata też wpadł na obiad i zaraz wypadł do laboratorium. Podobno ścisły finał eksperymentu. Ciągnie się ten finał od początku wiosny, bo coś ciągle nie wychodzi jak trzeba.

Rozsiadłam się wygodnie w fotelu mamy, wzięłam blok i zaczęłam projektować kostium. Co roku obiecuję sobie, że wystąpię bombowo, ale rodzice patrzą na to niechętnym okiem, i nici! Odkąd przestali być studentami, wykrzywają się na Juwenalia. „Za ich czasów” nawet igraszki żakowskie były lepsze, oczywiście. Ale teraz tata powinien się trochę odmłodzić duchem, skoro chce kontynuować przerwane studia!

Chce studiować? Nie zauważyłam, żeby płonął zapałem, kiedy jest o tym mowa. A mama czeka, aż zmięknie. Bardzo się polubiły z Panną Magister i atakują go wspólnie. Ciekawe, kiedy mama zorientuje się, o co „przyjaciółce” chodzi. Może nigdy? Jeżeli ta

174

intryga uda się Pannie Magister, to powinnam być jej wdzięczna za praktyczną naukę podrywania.

Dowody. Ciągłe wątle. Spojrzenia, uśmiechy, gesty, czasem szeptanie na ucho - to za mato. Poczekam do Lisiego Jaru. Cieszę się, że tam jedziemy... Lepszej okazji do obserwacji nie znajdę, to jasne.

Tak mocno przycisnęłam ołówek do papieru, że rozdarłam kartkę z góry na dół. Nie mam zdolności plastycznych, nawet głupiej szmaty nie potrafię zaprojektować. Poczekam na Mirkę. Może w przerwach na posiłki raczy nie myśleć o egzaminie i szybko mi coś naszkicuje? Przydałaby mi się czasem taka starsza uzdolniona siostra... Nie umiem się oryginalnie i modnie ubrać. Wyglądam tak, jak mama sobie wyobraża, że powinnam-a przecież nawet Wandula nie jest zachwycona jej gustem, sama mi to kiedyś powiedziała wspominając maminią młodość.

Skończyły się dumania w samotności - Dominik przyprowadził Daniela i z zapalem zaczęli hałasować po całym mieszkaniu, omijając tylko moje terytorium. Zasiadłam przy biurku, zabrałam się do lekcji, a potem ślęczałam nad pamiętnikiem, rozpisując się o ludzkich zmiennych humorach i biadoląc, że nie rozumiem jeszcze wszystkich okoliczności wpływających na takie czy inne postępowanie dorosłych i młodzieży. Naprawdę chciałabym być bardziej opanowana! Moje humorki dają w kość nie tylko otoczeniu - mnie samą także męczą. I potem wstydzę się tego długo, chociaż udaję, że mnie nic nie obchodzi.... Postanowiłam poprawić się od zaraz.

Tymczasem już nazajutrz wywołałam rano awanturę. Mama postanowiła zaprowadzić mnie do Ośrodka, aby pobrano mi z gardła i z nosa wymaz, czyli bakterie, jakie tam na pewno mam, jak każdy. Tylko dlaczego te moje ciągle się uaktywniają? To trzeba robić na czczo i w ogóle w gardle nic nie ruszać po wstaniu z łóżka. A ja wypłukałam solidnie całość wodą z solą. Nie wiem sama, dlaczego. Przecież nie bałam się tego zabiegu. Może chciałam mieć piękne, pokazowo czyste gardziółko? Żeby nie wyszło na

175

jaw, że jest w środku czerwone, czyli angina na horyzoncie. No i mama zdenerwowała się, tata też. Sądzę, że narobili za dużo hałasu jak na tę sprawę, przecież można pójść kiedy indziej. Już będę uważać!

- Jesteś perfidnie złośliwa - usłyszałam na zakończenie awantury. Tata wypowiedział się i poleciał wcześniej do pracy, byłam skazana na mamę, która odprowadziła mnie prawie do szkoły-

- Specjalnie dzisiaj zarezerwowałam sobie rano trochę czasu, mówiłam ci przecież sto razy od wczorajszego popołudnia!

Nic nie odpowiedziałam, bo po co? Mama ma rację, trzeba przyznać. Tylko na co tyle wrzasku? Zepsuł mi się humor na całe przedpołudnie. Akurat trzeba było wykazać się aktywnością, a ja siedziałam tępo i gapiłam się w okno.

- Renata, kupujesz dom naprzeciwko? Albo topolę przed szkołą? - zażartował matematyk.

Przynajmniej jeden belfer był dzisiaj w humorze. - Na razie masz u mnie sporo ocen, nie jesteś w kolejce do pytania, ale uważaj trochę, co mówię, dobrze? Jeszcze zdążymy zacząć nowy temat przed ostatnim dzwonkiem, nie cieszcie się — to już do całej klasy.

- Co ty, przejmujesz się? - zdziwiła się na przerwie Aneta. - I tak mniej ci ostatnio dogadują niż kiedyś.

- Mam inne kłopoty...

- Kto nie ma? - skrzywiła się Aneta.

- Ty to masz wielkie - syknęłam zjadliwie.

- Wiesz coś o tym? - zmarszczyła się. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie szeptała jak dawniej z Elką czy Kaśką, stała samotnie pod oknem korytarza. Pewnie, że nic o niej nie wiem, ale nie musi mi dokuczać!

Dąsy schowałyśmy do kieszeni zaraz na następnej lekcji. Wychowawczyni stwierdziła dosyć spokojnie, że z wycieczki nici. Nie ma kto z nami jechać, bo ona jest w szkole dzisiaj ostatni raz, jej dziecko rozchorowało się poważnie i po powrocie ze szpitala będzie musiało mieć opiekę przez cały dzień. I drugi nauczyciel też nie może jechać. Ewentualnie pan od wufu da się uprosić, ale to nie wystarczy.

176

- A rodzice na zebraniu wykręcali się, jak mogli - zakończyła ten smutny referat. - Twierdzili, że na

jednodniową wycieczkę mieliby czas, na trzydniową absolutnie nie. Odłożymy to do przyszłego roku.

- Nie! - zajęczała klasa.

- Sami nie pojedziecie.

- Renata! Namów tatę! - upierała się Aneta. - Przecież to fachowiec od turystyki.

- Jasne! -Elka poparła ją natychmiast. Aż podskoczyła w ławce. - Koniecznie! Twój tata na pewno zrozumie naszą rozpacz.

- Aż rozpacz - uśmiechnęła się wychowawczynie. - Ale rzeczywiście, Renatko, spytaj ojca. Nie bywa ostatnio na zebraniach - wytknęła - i nie mogłam sama wpaść na ten szczęśliwy pomysł. Jeździł przecież z nami w młodszych klasach.

- Tak! Tak! Renata, musisz to załatwić! - ryczała klasa.

- Chętnie - powiedziała wstając-ale tata jest bardzo zajęty. Może wcale mnie nie wysłuchać. - Pomyślałam, że to z winy mojego zachowania, niestety! - Gdyby tak delegacja z klasy...

Wszyscy chcieli wejść w skład delegacji. Wychowawczynie wybrała kilka dziewczyn, najelokwentniejszych, które tata zna i lubi, i ustaliłyśmy godzinę zbiórki pod naszym domem. Machnę im z okna, że tata już jest i ma chwilowo czas.

- Tym razem nie zapomnisz machnąć, mam nadzieję - nadeła się Elka.

Zagadywałam tatę już przy obiedzie, rozpaczając nad niemiłą niespodzianką, jaką sprawiła nam wychowawczynie, ale pan Miś nie reagował. Uprzejmie pomruczał „o?“, „tak?“ i „macie pecha“ i nic, wsadził n6S w gazetę. Sprawdziłam zza firanki, czy delegacja już jest, chociaż do umówionej godziny jeszcze sporo brakowało. Oczywiście nie było nikogo, oprócz plotkującej w bramie pani Krausowej.

Głupi Dominik omal mi scenariusza nie zepsuł. Zaczął właśnie lamentować, że też go los nie oszczędza, nic nie ma z życia, że Daniel i inni koledzy już dawno widzieli jakiś tam wspaniały film, 12 Pepek węża

177

o którym ciągle dyskutują, a on, biedny, musi milczeć jak kołek. Tata zlitował się, zaczął szukać programu kinowego w „Echu“.

- Zaraz sprawdzę, czy dozwolony, skoro to taki męski wspaniały film, jak mówisz. Sam bym się przeszedł.

- Co?! -zdębiał Dominik, ale nie zdążył się nacieszyć, bo wywołałam go do sypialni i nawymyślałam od egoistów.

- ,Dq kina możesz pójść jutro. A delegacja zaraz tu będzie.

- To poczeka - uparł się. - Na dwudziestą tata mnie nie weźmie.

- Delegacja nie może czekać, baranie! Ile czasu nam zostało do wycieczki?,No? Policz! Wszystko przygotowane...

- Renatko, Aneta do ciebie!-zawołała mama z przedpokoju.

- Czes'ć - uśmiechnęła się Aneta. - Nie wytrzymałam i przyszłam na górę. Jest tata?

- Jest! I właśnie ten dureń namawia go na kino - załamalam ręce.-Kiedy przyjdzie reszta?

- Niektórzy już są. Pod płotem. Mają wejść, czy poczekamy jeszcze na resztę? Powiedziałam

Jarkowi i Sławkowi, żeby też przyszli. Może znajdą jakieś- męskie argumenty - powiedziała Aneta.

- Chyba nie ma co dłużej czekać, bo Dominik też rzuca męskimi argumentami - westchnęłam. - Idź po nich! Nie musi być komplet.

Aneta pobiegła, a ja ustawiłam się bojowo pod drzwiami stołowego i nie chciałam wpuścić tam Dominika. Poszarпалиśmy się trochę. Braciszek miał ochotę wzywać maminej pomocy, ale go szeptem wyśmiałam, więc nie wypadalo. I tak dotrwaliśmy do powrotu Anety na czele delegacji.

- O! Witam-mama była trochę zaskoczona.—Czy to będzie jakaś narada, czy zabawa lub zbiorowe odrabianie lekcji?

- Nie! My bardzo przepraszamy, ale mamy sprawę do pana Misia - uklonił się wytwornie Jarek. Wszystkie „elokwentne“ dziewczyny milczały skromnie.

178

- Słyszysz, Marian?-mama otworzyła drzwi do stołowego. - Ten cały tłum to do ciebie.

- Dzień dobry! - powiedział gromko tłum.

Nie wchodziłam tam z delegacją, a Sławek, ostatni, zamknął drzwi, denerwowałam się więc w kuchni. Obrażony Dominik wybył na podwórko.

- Nie denerwuj się - uśmiechnęła się mama. - Turystyka to propozycja nie do odrzucenia dla ojca, wiesz o tym-już nie pamiętała o porannej awanturze? W każdym razie nie okazywała tego. - Dobrze, że skończył tę pracę nad eksperymentem, będzie chciał odetchnąć. Wybraliście właściwy moment - pochwaliła.

- Moment sam się wybrał - westchnęłam. I streściłam mamie kłeski, jakie spadły na naszą klasę. - A wszystko już zaplanowane i autokar zamówiony.

- Nie lamentuj! Będzie dobrze, zobaczysz.

I było. Resztę popołudnia spędziliśmy przy okrągłym stole nad mapami. Tata na początku bardzo pochwalił nasze i pani wychowawczynie pomysły, ale pod koniec okazało się, że plan zmienił się dosyć znacznie.

- Nie wiem, co wasza pani na to? - tata poskrobał się długopisem w czubek głowy.-Chyba się jutro do niej zgłoszę... tylko kiedy? Do której jest w szkole?

- Jest w domu, od jutra - odpowiedziałam. I powtórzyłam wszystko od początku.

- Ale ma telefon - przypomniała Aneta. - Moja mama zapisała w notesie, to ja może zaraz przyniosę...

- Siedź, siedź, ja też mam telefon waszej pani - wtrąciła się mama. - Przecież jesteśmy w stałym kontakcie - tu popatrzyła na mnie z wymownym wyrzutem. - Spróbujemy zadzwonić od Królikowskich.

Zachwycona delegacja wyszła wreszcie, szurając nogami w przedpokoju. Odprowadziłam ich na schody. A kiedy wróciłam, mama, szydełkując w fotelu, spytała:

12*

179

- Czy ty aby nie masz chrypki, Renatko? Nie boli cię gardło?

- Skąd?!-wykrzyknęłam najzdrowiej, jak umiałam.-Ta chrypka to z przejęcia i z gadania - na wszelki wypadek wołałam jak najszybciej zniknąć w swoim pokoju.

Ale gardło bolało mnie coraz bardziej... Rurowałam się sama, jak umiałam, nie mogłam przecież poddać się i nie jechać. Łykałam więc aspirynę i syrop, jaki znalazłam w apteczce, poprosiłam Mirkę, żeby mnie nie wyspała, żeby udawała przed mamą, że to ona jest lekko przeziębiona, bo już nie wiedziałam, co robić. Mirka przyjechała normalnie, w piątek po południu. Nie chciała siedzieć u nas dłużej niż trzeba. Była spokojna, nikt nie domyśliłby się, że w poniedziałek startuje do egzaminu! Podziwiałam ją. Bardziej lenerwował się tata, a także Januszek. O Grześku nie mówiąc. A mama zajęła się jej gardłem z dużym zapałem, co chwilę przynosiła do naszego pokoju jakieś nowe specyfiki, ledwie już dychałam od tego. Ale chrypka jakby zaczęła ustępować.

- Na wszelki wypadek nie wychodź jednak z domu, jeśli nie musisz - zaszepotała do mnie Aneta w sobotę rano. -1 w Juwenalia też nie wariuj. Ja się nie przebieram - zabrzmiało to tak, jakby to ze względu na mnie zrezygnowała z hecy, i zrobiło mi się przyjemnie. - Zresztą, zaczynają się właśnie w dzień naszej wycieczki-dodała zaraz.-A nie wcześniej, jak myślałyśmy.

- Aha! - chrypnęłam tylko.

- No, to ja lecę, a ty leż i zdrowiej. - Odprowadziłam ją do drzwi. Żałowałam, że nie mogła posiedzieć dłużej.

Potem wpadła Elka rozglądając się nerwowo po kątach, jakby Janusz mógł tkwić na przykład pod komodą. Nie wytrzymałam, opowiedziałam jej, że była Aneta. I zasugerowałam, że bardzo się o mnie troszczy.

- Wszyscy się troszczymy - powiedziała Elka raczej gniewnym tonem. - Aneta każe ci leżeć, a sama właśnie pojechała ze starymi za miasto. Wiesz, co mi powiedziała? Że chciała cię zaprosić.

180

- No to co?

- Nic! Muszę już wracać... Ona nie ma już żadnych konsultacji? - zniżyła głos, wskazując oczami drzwi mojego pokoju. - Nie idzie do tego profesora?

- Nie - odpowiedziałam. - Zresztą, nie wiem - zorientowałam się, o co jej chodzi, i wetknęłam szpileczkę: - Prawdopodobnie wyjdzie. Chyba nawet umawiała się z Januszem, to sąsiad tego właśnie profesora.
- Tak? - kwiknęła starając się, żeby to wypadło obojętnie. - A gdzie mieszka?
- Nie wiem, spytaj Mirkę. Zawołam ją, Chcesz?
- Nie, po co? - sploszyła się. - Przecież wcale mnie to nie interesuje, zapytałam tak sobie. Cześć! - i związała.

Akurat! Bo uwierzę.

Zbujaliśmy o rozmowie Mirki z Januszem, nie umawiali się, ale i tak wybraliśmy się wspólnie do miasta, kiedy przyszedł niby przypadkiem. Nie mogłam nie iść z nimi, aby nie wzbudzić maminych podejrzeń, snułam się więc na końcu i odwracałam głowę, kiedy fundowali sobie lody. Łaziliśmy po muzeach, jak polecała mama. Niewielka grupka miłośników sztuki. Elka stała z Grzeskiem na pętli tramwajowej, kiedy tam doszliśmy, i z entuzjazmem zabrała się z nami. Grzesiek ambitnie nie poszedł. Zwalił to na Bowa, który pod żadnym muzeum nie wysiedzi.

Elka nie odstępowała Mirki na krok, wypytywała o strach przed egzaminacyjnym, zachwycała się nie tylko zabytkami, ale głównie sukienką Mirki, jej włosami i ogólnym dobrym gustem... Przerzywała każdą próbę dialogu mojej kuzynki z moim kuzynem. Śmiałam się w duchu, obserwując te manewry. Czy ona nie wie, że wszystko to łatwo rozszyfrować? Ośmiesza się tylko.

Janusz z trudem wytrzymał ten uroczy wspólny spacer. I na dokładkę Elka obiecała, że nazajutrz też z nami pójdzie, bo kocha Kraków. I tak manewrowała, że Janusz nie wszedł na górę, tylko pożegnał się z nami na podwórzu. A ona odprowadziła go do pętli tramwajowej pod pretekstem szczegółowego omówienia wyprawy na Skałkę.

181

Mirka nawet nie mrugnęła okiem. Zauważyłam jednak kilka jej spojrzeń rzuconych w stronę Elki. To nie jest naiwna moja mama.

A Janusz też sobie poradził: zadzwonił do mnie do Królikowskich i zaproponował wycieczkę statkiem do Bielan i dalej piechotą. Szkoda pogody na muzea. On załatwi bilety na rejs, musimy tylko powiedzieć, czy wszyscy Misiowie pojadą. Wysłałam Dorotkę po tatę. Był zachwycony pomysłem Janusza, bo właśnie omawiał z mamą konieczność wyprowadzenia Mirki na świeże powietrze w dzień przed egzaminacyjny, nie wolno przemęczać jej pracą do ostatniej godziny. No i tak wykiwalis' my wspólnie Elkę.

23 ^

Myślałam cały czas o Mirce, jak morduje się na egzaminie, i trzymałam kciuki. Jeszcze tylko dwa lata i mnie to samo czeka! Oczywiście, nie w liceum plastycznym, nie mam szans. Na razie nie robię żadnych konkretnych planów, chociaż chyba już powinnam? Nic nie interesuje mnie jakoś szczególnie, tylko wszystko po trochu. Mama widzi mnie już w swoim liceum, tata chyba też. Czyli nie mam nad czym łamać głowy, już postanowione.

Po lekcjach chciałam lecieć pod liceum plastyczne, ale mama kazała mi się opanować. Mirka zaraz wróci. Dzwoniła ze szkoły po oddaniu swoich prac.

- Na pewno Janusz czekał tam na nią - powiedziałam.
- No to dobrze...
- Więc oni tak zaraz nie wrócą - dokończyłam myśl. - Pójdą na lody...
- Z Mirki gardłem? - przeraziła się mama. - Mam nadzieję, że jest rozsądna. Po co ta moja kuracja? No, skutek kuracji był wcale niezły, gardło bolało mnie znacznie mniej, chrypka też przycichła. Do czwartku powinnam

182

być zdrowa. A mamie powiem o wszystkim po powrocie z wycieczki. Może pośmiejemy się z tego wspólnie... Ale na razie mama nie miała najlepszego humoru.

- Jadłaś lody? - spytała groźnie, ledwie tylko Mirka stanęła na progu.
- Lody? - powtórzyła powoli Mirka. Zauważyła moje rozpaczliwe miny i kręcenie głową, ona znacznie szybciej spostrzega, niż mówi! - Nie, ciociu. Bałam się o gardło.
- No, w porządku - sapnęła mama.

- Co ty jej głowę zawracasz lodami? - zdenerwował się tata. - Mów, dziewczyno, jak ci poszło?
- Czy ja wiem? - przeciągnęła znowu Mirka i tym razem było to nieco irytujące. - Chyba dobrze.
- Leć na górę, opowiedz panu Gajdzie dokładnie, co i jak narysowałaś, i niech on oceni, czy to było dobre - mówił szybko tata. - Pójdę z tobą.
- Dajże jej najpierw spokojnie zjeść - oburzyła się z kolei mama. - Pan Gajda nie ucieknie. Nie uciekł, a nawet przyszedł sam. Mama zaraz wepchnęła w niego zupę i drugie danie. Wysłuchał uważnie relacji Mirki, zadał jej kilka dodatkowych pytań i był raczej zadowolony. Tata uśmiechał się z nadzieją.
- Najważniejsze masz za sobą, tylko nie denerwuj się jutro - przechadzał się po pokoju. - Najważniejsze dobrze poszło!
- Jeszcze matematyka, język polski i wiedza o sztuce - przypomniawszy mama gasząc te zapały. - Nie możesz się, dziecko, zdekoncentrować.
- Poradzi sobie - kiwnął głową pan Gajda. - Tylko niech się już nie przeucza. Podręczniki do szafy!
- śmiała się. - Wiesz co? Przejdź się ze mną i z Tupią na spacer, możemy rozmawiać o sztuce, jeśli chcesz. Albo zupełnie o czymś innym.
- Chętnie - odpowiedziała Mirka.
Tata trochę się nastroszył. Zabębnił palcami. Nie podobało mu się także i to, że Mirka zwróciła się tylko do mamy:

183

- Pozwolisz, ciociu?
- Oczywiście, oczywiście! - powiedziała skwapliwie mama. - Tylko uważaj na gardło! Weź sweter, dobrze?
- Dobrze, ciociu.

Pomasowałam szyję-będę dbać o gardziółko na wycieczce, będę! Przestało mi się podobać wylegiwanie w łóżku i odsuwanie obowiązków na dalszy plan. Zrobiło się ciekawiej, w szkole i dookoła. Czy to znaczy, że po prostu jestem w lepszym humorze? Że już zrezygnowałam z akcji obserwowania taty i Panny Magister? Że już niczego nie podejrzewam? Tata z mamą kręcą się razem wokół Mirki. Panna Magister jakby odsunęła się w cień...

Okazało się, że wyjechała i dlatego był spokój. Czyli nie mogę jednak zmniejszać czujności. Wróciła we wtorek jeszcze ładniejsza, opalona, pełna świeżej energii. Żartowali w stołowym do późna, razem z panem Gajdą. Przyszedł dowiedzieć się, jak poszło Mirce, i został. Panna Magister też była bardzo zainteresowana egzaminem, wypytała o szczegóły, które już znaliśmy. Mirka cierpliwie powtórzyła. A potem padły aluzje do wstępnego egzaminu taty,

- Nie uciekniesz chyba z sali, jak zobaczysz szanowną komisję? - śmiała się Panna Magister, a tata spuszczał oczy, robił miny, wreszcie machnął rękę i przyznał:
- Nie składałem żadnych papierów.
- Nie? - rozczarowała się ogromnie. - Dlaczego?
- Szkoda! - mama też była zawiedziona.
- Dobra, o powodach potem - tata popatrzył na nas i odłożył rzecz na po kolacji. - Teraz cieszymy się, że tobie dobrze idzie opracowanie wyników.
- Rzeczywiście idzie nieźle - przyznała Panna Magister, ale westchnęła. A potem zmienili temat na mniej dla mnie interesujący.
- Wujek powiedział mi, dlaczego nie chce w tym roku studiować - zaskoczyła mnie Mirka przed snem. - Jak odprowadzał mnie ostatni raz do autobusu. Chcesz wiedzieć?

184

- Jasne!
- Głównie ze względu na stan zdrowia cioci. A poza tym chciał po wakacjach coś dodatkowo zarobić, w czym takie studia bardzo przeszkadzają.
- Aha! - mogłam się była sama tego domyślić. W jaki inny sposób mógł się wykręcić?
- Może wystartuje w przyszłym roku, jeżeli ciocia będzie się lepiej czuła.
- Aha! - powtórzyłam. - Dobranoc! Jutro też masz ciężki dzień - przypomniawszy mrukiwie. Co mi tu kuzynka będzie się chwalić, że lepiej zna intencje mojego taty! - Sam zaczął o tym mówić?

- Nie. To ja spytałam, czy wybiera się na studia... Dobranoc - ziewnęła.
Może pobujała? Chociaż nie ma powodu. Ale czy nie wyczuła, że jestem zazdrosna? Przyznaję, że nie spodobało mi się to zwierzanie się obcej osobie, gdy ma się w domu dorastającą córkę. Chyba zacznę ostrzej popierać mamę w sprawie internatu!

Grzesiek kręcił się nazajutrz w szkole koło mnie, ale ambitnie nie otworzył ust do ostatniego dzwonka. Dopiero w drodze powrotnej zatrzymał się przechodząc, niby że sobie o czymś nagle przypomniał, i niedbale rzucił:

- No i jak tam? Rodzina zadowolona z egzaminu kuzynki?
- Nie wiem, jak dzisiaj poszło, ale ogólnie nieźle - odpowiedziałam równie swobodnie.
- To fajnie - udał, że cieszy się tylko z towarzyskiego obowiązku, i polecił za kolegami.

A mnie zawołała Aneta:

- Zaczekaj! Przyjdź do mnie po obiedzie, dobrze? Pomożesz mi się spakować na jutro? Przy tobie mama może nie będzie wpychać do plecaka zbyt dużo ciepłych majtek. Na pewno spyta, co ty bierzesz, i zawstydzi się - wytłumaczyła ze śmiechem.

- Myślisz, że mnie w domu wypuszczą bez wora ciuchów? Ale przyjdę, oczywiście!

Mirka przy obiedzie była równie zadowolona z siebie, jak

185

wczoraj. Rodzina, z Wandula włącznie, usmiechała się do niej i do siebie nawzajem, miłymi głosami omawialiśmy miłe tematy. Ale przy deserze Wandula oprzytomniała, przyjrzała mi się uważniej i spytała:

- A tobie co tak oczy błyszczą? Dobrze się czujesz?

- Oczywiście! - wrzasnęłam rozpaczliwie. - Cieszę się na wycieczkę!

- Mogę to zrozumieć - Wandula nie była przekonana i przyglądała mi się nadal badawczo. Za chwilę wstanie i dotknie dłonią mojego czoła.

- A czy gdyby tata nie mógł jechać, ty zgodziłabyś się go zastąpić? - spytałam szybko.

- Przecież tata jedzie - zdziwił się Dominik.

- Oj, wiem, ale pytam tak na przyszłość.

- Ba! Oczywiście! - odpowiedziała Wandula. - Póki ruszam nogami, zawsze możecie na mnie liczyć.

- To świetnie! A teraz muszę lecieć do Anety! Na chwilę - poderwałam się od stołu. -Mamo, obiecałam, że jej dopnę plecak!

- Idź, idź, ale wracaj szybko - zgodziła się mama. Nie słyszała na szczęście uwagi Wanduli o moich błyszczących oczach.

Nie chciało mi się zbyt szybko wracać od Anety, nie tylko z obawy, że Wandula wciąż tam jest i przypomni sobie o moim zdrowiu. Po prostu u Anety było miło. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, a matka Anety pakowała plecak, bo jednak nie dała się tak łatwo wykiwać. Od czasu do czasu protestowałyśmy. Coś tam Aneta wyrzuciła z powrotem do szafy, resztę może usunie w nocy, po cichu - tak mi szepnęła na pożegnanie. Postanowiłyśmy zająć dwa siedzenia naprzeciwko siebie, w sam raz dobre do gry w karty czy plotkowania. Z Elką i ewentualnie z Kaśką.

Z głową pełną rozmaitych pomysłów wracałam do domu niemal w podskokach i na podwórku jeszcze zachowałam świetny humor. Bo spotkałam pod bramą Janusza, a za bramą Grzeška, znowu dłubiącego coś przy rowerowym trupie.

- Cześć - powiedział do niego łaskawie Januszek i chciał wyminąć.

186

- Mirka już pojechała, dopiero co - poinformował mnie Grzesiek ignorując mojego kuzyna. - Przyjechał autem jej ojciec zaraz po twoim wyjściu.

- O, szkoda! Nie zdążyłam się z nią pożegnać - zmartwiłam się. - Pewnie zobaczymy się dopiero po wakacjach.

- To, nie przyjedzie po wyniki egzaminu? - spytał Janusz. - Podali im od razu?

- Nie wiem. Wejdz na górę, może mama ci powie - popchnęłam go lekko na schody, bo nie mógł ruszyć z miejsca. Grzesiek ra*dośnie pogwizdywał.

Wyniki ogłoszą jutro, pojutrze, ale stryjek Miś poszedł do pracowni pana Gajdy, który zadzwonił do

kogoś tam z komisji i dowiedział się, że Mirka na pewno będzie przyjęta. Zdała wszystko na piątkę. Tata czytał gazetę z taką dumną miną, jakby to jego córka odniosła sukces. Mama wyglądała zwyczajnie.

- Chciałem ją zaprosić na dzisiejszy koncert - westchnął Janusz i machnął biletami. - Może ty, Renata, pójdziesz?

- Ja? - zrobiłam wielkie oczy. Przecież nie kto inny, tylko on wyśmiewał zawsze mój absolutny brak słuchu.

- O, dziękuję ci, Janusz!-mama miała refleks towarzyski. - Renatka pakuje się na trzydniową wycieczkę i wolałabym, żeby się porządnie wyspała. Może innym razem?

- Może innym razem - powtórzył Janusz beznadziejnym tonem i zaczął się żegnać. Odprowadziłam go na schody i podpowiedziałam, żeby wziął Elkę, ona jeszcze nigdy w życiu nie była w filharmonii. Skrzywił się i mruknął, że sam wie, z kim mu się dobrze słucha muzyki. - Powodzenia na wycieczce - dodał wytwornie.

Byłam pewna powodzenia, jeśli tylko rodzice się nie zorientują... że mi oczy rzeczywiście nienaturalnie błyszczą. I policzki mam rozpalone.

- Pospiesz się z pakowaniem, Renata - mama kursowała nerwowo między pokojami. - Aha! Zdaje się, że Mirka napisała coś do ciebie na pożegnanie. Zostawiła w twoim pokoju.

- Tak? - pofrunęłam tam radośnie, rzuciłam okiem na biu-reczko i dobry humor prysnął, serce zaczęło walić. Klapnęłam

187

ciężko na krzesło i patrzyłam na bardzo udany portrecik Rafała! Obok niego stał inny chłopak, też poobwieszany jak w Juwenalia, ale zupełnie obcy... Pod rysunkiem krótki list:

„Rena! Narysowałam obojgu, bo nie wiem, który to Rafał, tak mi się dziwnie przedstawili. A oni wzięli mnie za ciebie. Bardzo im się spodobała myśl, że jesteśmy znajomymi, i od razu miałam gdzieś tam z nimi iść. Odwaliłam ich, więc zagrozili, że jeszcze przyjdą i dadzą mi nauczkę, mam się strzec - to znaczy, ty masz się strzec. Ale nie martw się, nie rozpoznają cię na pewno. Ryczeli na mnie obaj, że Rafał ma pretensję o wizytę rodziców u was i że się z twoimi starymi policzy. Chcą cię porwać i zamiast okupu zażądać od wujka prochów. Wiedzą, że jest chemikiem. Ale ty się zupełnie nimi nie przejmuj, to na pewno głupie żarty! Baw się dobrze w wakacje! Całuję cię. Mirka”.

Siedziałam drętwo nad tą kartką i jej treść powolutku utrwałała mi się w pamięci. Mirka nie przejęła się, bo czym? To jej nie dotyczy. „Porwiemy cię”! Czy to film, a raczej sen gangsterski, czy naprawdę uknuli coś takiego? Jeżeli oni nie bardzo mogą kontrolować swoje postępowanie... a dla zdobycia narkotyku zrobią wszystko, jak mówił tata, to i to jest możliwe! Do licha, nie szukam takich znajomości, dlaczego właśnie mnie to spotkało? Dlaczego muszę się bać jakiegoś Rafała? Bo się bałam. Mirka jest starsza i w ogóle umie odgryzać się chłopakom i mężczyznom, a ja co? Zacerwienię się, zblednę co najwyżej i nie zdążę zwać w porę. Porwą mnie!

Skąd Rafał wie, że tata jest chemikiem? Nie rozmawialiśmy o tym, nie przypominam sobie... No tak, przecież Niedźwieccy byli u nas, oni musieli się dowiedzieć od starych, choćby tylko tyle, że tata pracuje w „Polfie”. Dzwonili do niego do pracy. Jasne. Tylko czy musieli wypłacać wszystko Rafałkowi? Widocznie znalazł się lub sam wrócił do domu po tamtej ucieczce, a mamunia z radości pogadała z nim od serca i o wszystkim. Po co takiemu opowiadać, gdzie się było, co się robiło? Ja bym nic nie mówiła, tylko wpakowała syna na leczenie. Tam, skąd trudno uciec. Nie wiem, czy są takie miejsca w Polsce, poszukałabym.

188

A Rafałek znowu zwał, swobodnie. I przyniosło go do Krakowa. Tata czy Panna Magister, już nie pamiętam, mówili, że Kraków jest jednym z ulubionych miast narkomanów. Drugi po Warszawie. Dziękuję! Co prawda nie widać ich na każdym kroku, ale odtąd będę sobie wyobrażała, że sterczą za każdym rogiem ulicy... Podobno lubią Rynek. Ja też! Koniec więc ze spacerami w tamtą stronę! A tak chciałam się samotnie urwać z domu i powłóczyć wokół Sukiennic przynajmniej raz w tygodniu. Nie udawało 'się, gdy byłam młodsza, a teraz po prostu się boję... Dopóki Rafała nie zaczną leczyć na serio, będę mieć parszywe życie. Widziałam to jasno, jak w podświetlonym

lustrze, gdy tak tkwiłam nieruchomo przy biurczku, z kartką Mirki w dłoni.

- Renata, zainteresuj się wreszcie własnym plecakiem! Anecie pomagałaś... - tata zajął do pokoju.
- Źle się czujesz? Co ci jest? Jadziu, chodź, zobacz, jak ona wygląda! Nie chcę krakać, ale chyba pojedę sam!

No i wpakowali mnie do łóżka. Nie protestowałam. Nie miałam siły. Załamalam się. Gorączka rzeczywiście wyskoczyła, dreszcze, ból gardła... Nie wyleczyłam się sama.

- Nie załamuj się tak, dziecko - powiedziała mama miękko. Otuliła mnie dodatkowym kocem. -
Nachodzisz się jeszcze po górach. Tata nie popuści.

To wiadomo. Ale nie o wycieczce myślałam w tym momencie. Powiedzieć im? Nie powiedzieć?

Nie byłam w stanie podjąć decyzji. Leżałam odwrócona do ściany i trzęsłam się, także ze strachu.

24

Nie słyszałam, kiedy tata rano wychodził do pracy, obudziłam się dopiero koło południa. Z mocnym postanowieniem, że opowiem o wszystkim rodzicom, ale wtedy, gdy już opanuję nerwy. I kiedy sytuacja będzie tego wymagała. Po co denerwować

189

ich niepotrzebnie? Rafał może tylko zażartował sobie ponuro i w pięć minut potem nie pamiętał już o kidnaperskich planach.

Poleżałam chwilę z zamkniętymi oczami wyobrażając sobie, że jest to zupełnie inna pora roku, wycieczka przede mną. Niedź-wieckich nie znamy, Mirka mieszka w internacie... Zerwałam się nagle, podbiegłam do okna. Nikogo. Nikogo podejrzanego, tylko pani Krausowa z jakąś swoją znajomą wracającą noga za nogą z zakupów, zagadane.

Zakreśliło mi się w głowie, wróciłam do łóżka. Mama weszła do pokoju.

- Zdawało mi się, że cię słyszę-uśmiechnęła się.-Jak się czujesz?

- Kiepsko - sieknęłam.

Jak można czuć się w mojej sytuacji? Zrezygnowana leżałam z termometrem pod pachą, potem zjadłam kilka łyżek grysiku. Nic twardszego nie mogłam przełknąć! Koło drugiej przyszła pani doktor. Stwierdziła anginę, oczywiście. Mama pognęła do apteki po antybiotyki, a ja znowu zasnęłam. Co miałam do robo-ty?

Dominik skorzystał na mojej chorobie - tata zabrał go na wycieczkę. Miejsce się nie zmarnuje. No i nie wiadomo było rano, czy nie mam tym razem jakiegoś zakaźnego świństwa, lepiej nas odizolować od siebie. Ciekawe, czy będzie się potem przede mną chwalił tą niespodziewaną wyprawą? Młodszy bracia nie zawsze są taktowni. Rozmyślałam o tym i innych rodzinnych sprawach, byle tylko zagłuszyć analizowanie listu Mirki. Staralam się, ale coś mnie gnało kilka razy dziennie do okna. Rafał nie pojawił się jeszcze... Raz przeszła pod oknami grupka poprzebieraných żaków, z gitarą, serce podskoczyło mi do gardła i tkwiło tam, póki im się dokładniej nie przyjrzałam-były to Same dziewczyny.

Trzeciego dnia też sterczałam właśnie przy oknie, otulona kołdrą, kiedy z działek w uliczkę skręciła rozśpiewana szósta A, odprowadzająca pana Mariana Misia. Nie mogli się z nim rozstać, śpiewali, wrzeszczeli „hip, hip, hura!” i „do widzenia, do widzenia, do miłego zobaczenia” po kilka razy. Tata śmiał się,

190

ściskał im ręce, co mniejsze dziewczyny podniósł do góry, machał - nareszcie udało mu się zwać do sieni. Cofnęłam się głębiej, bo Aneta, Elka i Kaśka, a także Jarek zostali jeszcze na chwilę, rozmawiali ciszej i zerkali w górę, pewnie naradzali się, kiedy wysłać do mnie delegację. Albo czy od razu nie wejść. Nie chciałam ich widzieć! To głupie, bo przecież w niczym nie zawinili, nie przez nich zostałam w domu. I nie ich wina, że tata Miś da się lubić, zwłaszcza w terenie. Nie ma o co i na kogo obrażać się, jasne, ale było mi przykro.

- Zdaje się, że zdobyłem pewną popularność wśród młodzieży-mówił wesoło tata w przedpokoju. -
A co tutaj działo się przez ten czas? Jak mała?

Mała! Dawno nikt tak o mnie nie mówił! Wskoczyłam pod kołdrę, zrobiłam bardziej zbolalą i dziecinną minę. Słyszałam, jak mama coś tam tłumaczy, potem wydierał się Dominik i wreszcie zajrzeli do mnie wszyscy troje. Był to jeden z miłszych wieczorów u Misiów. Na chwilę

zapomniałam o Rafale. Zresztą póki leżałam, byłam bezpieczna.

Elka i Aneta przyszły do mnie następnego dnia zaraz po lekcjach, jeszcze z teczkami. Ostatnia godzina przepadła, nie musiały gnać do domów. Zaczęły od zachwyków nad tatą i zapowiedziały, że na żadne wycieczki bez niego nie pojadą.

- Wiesz, trochę ci przedtem współczuliśmy, że musisz obowiązkowo chodzić po górach -

uśmiechnęła się Aneta. - Nie wiedziałyśmy, że twój tata jest taki wesoły! Tutaj zawsze milczał, ile razy przychodziliśmy do ciebie, prawda, Elka?

- Aha! I tak na oko na wesołego nie wygląda.

- Postarał się - uśmiechnęłam się pod nosem. Na rodzinnych wyprawach nie wysiła się specjalnie. Chwilami rzeczywiście można było wężowi współczuć.

- Mirka pojechała? - upewniła się po raz drugi czy trzeci Elka, niby z roztargnieniem rozglądając się po pokoju.

- Wyjechała. Do września.

- To nudno ci samej - westchnęła. Akurat chodziło jej o moje samopoczucie! - Dominik to przecież nie towarzystwo... A reszta rodziny zagląda do ciebie?

191

- Oczywiście! Mama co pięć minut, a tata...

- No, nie rodzice! Jakaś młodzież? - zawiesiła głos.

- Czemu nie pytasz wprost o Janusza? - zdziwiłam się mrugając znacząco do Anety. - Nie zaglądał do mnie ostatnio. Nie ma przecież czasu, przygotowuje się do egzaminu. Do zwykłego liceum - wyjaśniłam zwracając się ciągle do Anety. Kiwnęła głową. - Bo artystyczne miały równocześnie, wszystkie. Uwolnił się nareszcie od fortepianu! - uśmiechnęłam się do Anety. Aneta miała jeszcze ochotę na pogaduszki, ale mama weszła z obiadem na tacy i dziewczyny stwierdziły, że już dawno powinny być w swoich domach. Obiecały, że nazajutrz przyjdą też prosto po szkole, tylko pięć lekcji, można wytrzymać.

- Może ja już jutro wstanę? - zaczęłam marudzić. Ale mama nie pozwoliła, leżę przecież dopiero czwarty dzień i wieczorem mam jeszcze gorączkę. Lekka przesada -- trzydzieści siedem to nie gorączka! Ale nie według mamy.

W niedzielę poszłam z rodzicami na pierwszy spacer, w poniedziałek do szkoły. Nie powiedziałam jeszcze nikomu, dlaczego rozglądałam się uważnie po ulicy, zanim przejdę kilka kroków, i dlaczego wolę iść dłuższą drogą, a nie działkami. Prawdopodobnie wysmiano by moje ponure obawy.

Kidnapers-two u nas? W biały dzień? Dla takiego głupiego powodu, jaki podali Rafał i jego kolega?

No, może dla narkomana to byłby wystarczający powód, nie wiem. W każdym razie nie chciałam, żeby mnie ktoś taki zaskoczył. Jeszcze tylko kilka dni szkoły i co dalej? Z kim będę wychodziła do miasta? Dalej nie muszę, ale na przykład po zakupy, jeżeli mnie mama wyśle. Czy Dominik raczy mi towarzyszyć nie wiedząc, o co chodzi?

Nie wytrzymałam, powiedziałam mu o tym, pokazałam list Mirki. Przejął się. Zwłaszcza gdy podkreśliłam, że jego może spotkać to samo, o ile Rafał pamięta, że mam brata.

- Jak nie pamięta, to przecież się dowie! Przecież musi zebrać informacje o trybie życia Misiów.

- O, porywałś już kogoś? Znasz się na tym? - uśmiechnęłam się ironicznie. - Taki z dziwnymi pomysłami wcale nie musi działać logicznie.

192

- Ale logiczne jest to, że musimy się pilnować tylko do końca czerwca - odetchnął Dominik i poweselał. - Przecież wyjeżdżamy na wczasy!

No tak, do Lisiego Jaru. Zaczęłam wyglądać tej chwili z utęsknieniem, a Dominik zabezpieczył siebie i mnie, jak to odkryłam zaraz nazajutrz po wyjaśnieniu mu sytuacji: Daniel przychodził po niego rano, odprowadzał go też po lekcjach. A za mną chodzili jacyś dwaj inni jego koledzy.

Udawałam, że ich nie widzę, bo mieli okropnie przejęte miny. I byli uzbrojeni. W scyzoryki. Śmiać mi się chciało, strach trochę zelżał... A nawet jakbym czekała na porywaczy. Zastanawiałam się, co im powiem, jak spróbuję się wykręcić, wyperswadować im szantażowanie taty. Może udałoby się nawet przekonać Rafała do innego trybu życia? Może nie jest z nim jeszcze tak źle?

Ułożyłam całą romantyczną historię, zapisałam kilkanaście stron pamiętnika. Na papierze wszystko

ślicznie się kończyło, bohaterka swoją postawą, cierpliwością i uczuciem zwalczyła nałóg ukochanego, wskazała mu wartościowe hobby i już razem szli przez życie, troszcząc się o wspólny dom... Różowiutka bajeczka! Najpierw się rozrzewniałam po ostatniej kropce, a potem przegzytałam jeszcze raz i prawie mnie zemdliło od tych słodkości. I jak wytwornie ta papierowa para rozmawiała na co dzień! Jak logicznie i elegancko wyrażała swoje myśli, nawet „w duchu”. Porównałam to z listem Mirki i wrzuciłam wszystko razem jeszcze głębiej do szuflady. Co mi się stało, że to tak właśnie napisałam? Przecież Rafał nie jest moim ukochanym. Boję się go trochę. I nic więcej.

Chyba za wcześnie wstałam jednak po anginie, nie czułam się najlepiej. Ukrywałam to, jak mogłam, bardzo chciałam wyjechać do Lisiego Jaru. Udawało mi się, bo w domu panowało wielkie zamieszanie, mama miotła się między walizami, Wandula też; prasowały, prały... A na trzy dni przed wyjazdem (i przed zakończeniem roku szkolnego) mama oznajmiła, że do Lisiego Jaru jedzie z nami Wandula, ona zaś musi leczyć serce w sanatorium w Nałęczowie. Co się działo!

- Co to za niespodzianki? - ryczał tata za zamkniętymi drzwia-

13 Pępek węża

193

mi. My, potomstwo, zostaliśmy wysłani za szafę. Wandula zajrzała do nas po jakimś czasie. Ona też nic nie wiedziała o decyzji mamy, ale dosyć szybko opanowała zaskoczenie.

- Mama dostała to sanatorium w ostatniej chwili, stąd cały ambaras. Wczoraj dopiero - wyjaśniła podając nam po kawałku placka.-Ktoś zrezygnował z miejsca i lekarz zaproponował mamę.

Rozmawiałam z nim co prawda na ten temat jakieś dwa tygodnie temu... że gdyby się coś zwolniło, i tak dalej, rozumiecie? Ale do wczoraj była cisza.

- Boisz się tam wejść, babciu? - spytał Dominik. - Tata wściekły, co?

- Nie, nie boję się. Ale lepiej będzie, jeżeli małżonkowie porozmawiają chwilę bez świadków - uśmiechnęła się Wandula. - Muszę się zastanowić, czy rzeczywiście mam ochotę na Lisi Jar.

- Miej! Miej! - zawołałam. Wyobraziłam sobie murowane zwycięstwo Panny Magister pod nieobecność mamy. Musi być jeszcze jakaś kobieta z rodziny na warcie, nie tylko ja. - Koniecznie jedź z nami!

- Nie wiem, czy to się da przeprowadzić formalnie - westchnęła Wandula. - Inne nazwisko na skierowaniu, to komplikuje.

- E, tata z Panną Magister załatwią - dobił mnie Dominik, ten głupek.

- Zobaczmy! - westchnęła znowu Wandula i ostrożnie wyjrzała zza szafy. - Coś cicho w mieszkaniu?

- Bo tata wyszedł na spacer - powiedziała mama stojąc w drzwiach sypialni. Zmęczona, ale nie zmartwiona. Nawet jakby trochę ubawiona sytuacją. Usiadła na brzegu łóżka. - No, to raz postawiłam na swoim. Nie mam wyrzutów sumienia wobec was, kochani - uśmiechnęła się do nas.

- Poradzicie sobie doskonale beze mnie.

- Oczywiście - powiedziałam. - Serce najważniejsze.

- No, no! - pokręciła głową Wandula. - Jednak to zrobiłaś! Cieszę się. Trzeba teraz jakoś udobruchać Mariana - wstała. - U-piekę coś pysznego na kolację!

194

- A placka już nie ma? - rozczarował się Dominik.

- Chodź, może znajdzie się kawałek!

- A ten Nałęczów to też od pierwszego? - spytałam mamę.

- Nie, dopiero od piątego. Spokojnie wszystko tu posprzątam, przygotuję i pojedę. Może już dotrze do mnie kartka od was? Jeżeli wyślecie ją z podróży. j

- Wyślemy - obiecałam.

Nie wysłaliśmy. Ale po kolei.

Tata wrócił na kolację całkiem spokojny, milczący jak zwykle, poparł pomysł mamy, obiecał, że załatwi papiery dla Wandu-li... Wieczór upłynął w bardzo miłej atmosferze. Nawet Panna Magister siedziała u nas wyjątkowo krótko. Zmartwiła się, że Ja-dziula nie jedzie, ale rozumie wyższą konieczność, trudno, postara się pomóc Wanduli w hodowaniu małych Misiów na wczasach.

- Na pewno nie będzie z nimi żadnych kłopotów, prawda? - mrugała do nas intensywnie. Tylko Dominik odmrugnął. Ja już postanowiłam, że maksymalnie urozmaicę im wczasy. Na razie uśmiechałam się półgębkiem, neutralnie. - A wspólnie rozbijemy cały turnus, gdyby był ponury, prawda?

O, to na pewno! Ona rozbija turnus bez wysiłku, a ja spróbuję zniszczyć jej plany... Coś znowu knuła, poszeptowała z tatą na boku, kiedy mama i Wandula wyszły do kuchni, potem poleciała do auta, przyniosła niewielką paczkę. Postawiła ją pod wieszakiem, do połowy okrytą płaszczem przeciwdeszczowym taty. Chodziliśmy ostrożnie z Dominikiem wokół tej paczki, nie mogliśmy jednak rozpoznać, co to jest. A po wyjściu Panny Magister tata dyskretnie umieścił to na kredensie, za pudłem z rzutnikiem.

- Sprawdzimy potem! - zawział się Dominik. Ale nie było okazji i na razie zapomnieliśmy o tajemniczym bagażu.

Uroczyste zakończenie roku miało odbyć się w piątek, więc cały czwartek trwały próby, nie było lekcji. Zresztą już dawno po klasyfikacji. Każdy mniej więcej wiedział, za co w domu oberwie po pokazaniu świadectwa. Rozrabialiśmy trochę na ostatniej próbie, byłam w dobrym humorze, aż tu zajrzał do klasy Daniel.

13*

195

Wyraźnie kiwał na mnie palcem. Wychowawczyni nie zauważyła go w ogóle, omawiała jakieś poprawki w tekście z Anetą. Spytałam, czy mogę wyjść do ubikacji.

- Czego chcesz? Dominik cię wysiał? Musi mi teraz zawracać głowę? - warknęłam na Daniela. Zupełnie zapomniałam, że to nasza „obstawa”!

- Nie Dominik. Chciałem ci tylko powiedzieć, że pod waszymi oknami sterczy jakiś obcy chłopak - szepnął Daniel. - Wywiad mi doniósł!

- O... obcy? - zająknęłam się.

- Tak. Taki bardziej rozczochrany. Nikt na naszej ulicy go nie zna.

- Pod naszymi oknami? - zapytałam nieco drżącym głosem.

- Pod! Patrzy w górę albo rozgląda się dokoła. Czeka.

- Aha! - kiwnęłam głową. - To niech czeka. Może się jakoś przemknę.

- Obstawimy cię - wypiął pierś. - Sama nie wychodź ze szko-

- Dobrze... - obiecałam.

Ale nie dotrzymałam słowa Wymknęłam się przed ostatnim dzwonkiem, przez boisko i tylną furtką w szkolnym płocie. I pomaszerowałam przed siebie... Jak małe dziecko! Przestraszone, głupie, beznadziejne. Nie wiem, co mi się stało. Strach to okropne uczucie! Żeby tylko paraliżował nogi czy inne części ciała, to pół biedy, ale głowa? Czyli pomyślunek? Teraz się sobie dziwię, lecz wtedy gnałam ulicami na oślep, kołując po nieznanym zakamarkach! Pojechałam wreszcie do Wanduli, ale nie zastałam jej. Siedziałam tam na starych cuchnących schodach i trzęsłam się ze strachu, aż przegoniła mnie jakaś kobieta idąca na strych. Nawet nie tyle przegoniła, ile sama na jej widok związała na dół. Szukałam po kieszeniach portmonetki, żeby zadzwonić z automatu do Królikowskich i spytać, czy Rafał ciągle tam tkwi pod oknami, dać znać rodzicom, gdzie jestem... Ale okazało się, że nie mam ani grosza. Nie zabrałam z domu albo zgubiłam. Szłam potem Plantami, drogę zagroziła mi grupka młodzieży, która wydała mi

196

się dziwna, uciekłam. A oni nie zauważyli mnie może wcale. Wszędzie widziałam Rafała albo jego kumpla!

Próbowałam się pozbierać i zacząć myśleć, ale głupi strach był silniejszy. Wracałam do naszej dzielnicy znów bardzo okrężną drogą, więc trwało to i trwało do wieczora. Wolałam nie wyobrażać sobie, co się w domu dzieje. Jeżeli Dominik się wygadał... I co ja najlepszego zrobiłam?

Musiałam dziwnie wyglądać w półmroku, taka wystraszona, bo jakaś pani zainteresowała się, kto mnie goni, a kilka ulic dalej pogoniły mnie rzeczywiście dzieciaki z jednego podwórka. Uciekłam przez jakiś skwerek, na końcu którego płynęła wąska rzeczka... albo może był to rów z wodą, wszystko jedno! Wytapiałam się w nim niezłe, razem z teczką i workiem na kaptcie. Siedziałam

potem w krzakach, żeby trochę obcieknąć, wyschnąć, i znów okropnie się bałam. Krzaki po ciemku-to nie jest najlepsze miejsce w dużym mieście.

Dotarłam wreszcie pod blok Anety. Musiałam skądś zatelefonować do Królikowskich.

- Dziewczyno! - jęknęła na mój widok matka Anety. Była w szlafroku, głowę po myciu miała obwiązaną ręcznikiem. Faraon obszczał mnie z dużą energią. - Był tu twój ojciec, dwa razy. Co się stało?

- Nnic takiego.go-szczęknęłam zębami. - Wpadłam do rowu...

- Porwali cię, a ty uciekłaś, tak?-wołała podniecona Aneta. - Odpowiedz!

- Daj jej spokój! - skrzyczał ją ojciec. - Natychmiast dzwoniemy do twoich sąsiadów, Renatko. Tatuś dał nam numer. -1 zadzwonił.

I to wszystko na temat porwania. Czyli słabych nerwów i hysterii Renaty Miś. Nikt na mnie nie czatował pod oknami, to bujna wyobraźnia Dominika, Daniela i spółki kazała mi uciekać. Był pod domem nieznajomy chłopak i rzeczywiście patrzył w okna pierwszego piętra, ale Królikowskich.

Wyjaśniła to wszystko świetnie poinformowana pani Krausowa. Chłopak pytał ją o

197

Grzes'ka. Nie wiedział, że Grzesiek mieszka teraz z matką, w bloku (zresztą już wyjechali na wczasy), a chciał się dowiedzieć, jak chowa się jego szczeniak. Od niego ma Grzesiek Bowa. I tyle.

Leżę sobie teraz plackiem i mogę porozmys'lać. Podsumować. Ale jeszcze nie widzę końcowych wniosków. Niby mam to, czego chciałam na początku: nie pojechał tata z Panną Magister do Lisiego Jaru, rodzina uratowana. Życzenie spełnione. Niez'le za to spełnienie zapłaciłam: zapaleniem płuc. Strachem. Boję się teraz ludzi, zwłaszcza młodych, nieznajomych. Odkryłam, że Kraków to nie tylko zabytki, stare szacowne rodziny z humorami, ambitni naukowcy i ich nie zawsze szczęśliwe dzieci-to jest także .współczesne miasto. Wielkie i mieszczące w swoich murach bardzo różne s'wiaty, które wcale nie muszą się ze sobą spotykać. I ja nie chcę spotkać nikogo takiego jak Rafał. Ale narkomania podobno staje się plagą, jak mówi tata i telewizja, więc być może jeszcze spotkam. Wołałabym wtedy być bardziej dorosła, nie bać się tak głupio, tylko ewentualnie pomóc, jeżeli można.

Zostanę może lekarzem od tych spraw? Czy ja wiem? Na razie za bardzo się boję i będę zwiewać w niepewnych okolicznościach, tylko może nie tak głupio, jak teraz. To chyba była moja jedyna, pierwsza i ostatnia dziecinna ucieczka. Nikomu nie opowiedziałam jej szczegółów i na przykład dziewczyny (i młodszy chłopcy) uważają mnie za bohaterkę tajemniczej niecodziennej historii, sercowo-bandyckiej. Pierścień, róża, serce, spada... Urosłam w ich oczach. Ale mnie to zupełnie nie obchodzi.

Chciałabym przede wszystkim porozmawiać o wielu sprawach z mamą. Nie wypytywała mnie dokładnie przed wyjazdem do sanatorium, byłam za bardzo chora, a ona spieszyła się, załatwiając jeszcze to i owo przed kuracją. Pojechała na czas bliżej nie określony, może na miesiąc lub na całe wakacje - lekarze na miejscu zadecydują. A więc odwołują się rodzinne rozmowy do kolejnej jesieni.

Może trochę zmądrzałam i bardziej nadaję się do tych rozmów? Nie wiem. Rok temu na pewno byłam inna. Jak by to określić? Taka bardziej beztroska i naiwna egoistka. A teraz? Może nie jest

198

/

ze mną tak źle, jeśli rozumiem, że w ciągu całego roku szkolnego też byłam wielką egoistką, tyle że ponurą? Zazdrosną? Płaczliwą? I naprawdę marzę o tym, aby zmienić się, pozytywnie... Spróbuję. Przyszły rok szkolny musi być lepszy! Na tym odcinku, który zależy wyłącznie ode mnie. I wszystko jedno, czy Rafał będzie nadal straszył nas na horyzoncie, czy nie. Wezmę się mocno w garść!

Tata zrezygnował z Lisiego Jaru z westchnieniem ulgi, dobrze to zauważyłam mimo gorączki.

Wandula też nie paliła się zbyt do luksusowych wczasów. Pielęgnuje mnie teraz z dużo większym entuzjazmem i snujemy wspólnie plany niedalekich spacerów i wycieczek podmiejskich, kiedy już stanę na nogach. Dominikowi jak zwykle powiodło się najlepiej - od początku lipca siedzi na wsi u stryja Misia. A tacie udało się przesunąć urlop na później i normalnie chodzi do „Polfy” co

rano, a potem szeleści papierami do późnej nocy. Może zabrał się do nauki? A może to kolejna praca zlecona? Nie zwierza mi się. Rozmawiamy o rzeczach pogodnych, o górach i dolinach, które jeszcze musimy koniecznie razem zwiedzić.

O tajemniczej paczce Panny Magister jakby zapomniano. Ja, niestety, nie! Ledwie poczułam się lepiej, zachciało mi się sprawdzić jej zawartość, bo przecież wszystko, co dotyczy manewrów tych dwojga, powinno być pod moją stałą kontrolą. No i mam. Sięgnęłam na kredens ze stołeczka ustawionego na krześle, potrąciłam Murmurandę, wściekłą, że ktoś śmiał wtargnąć na wysokości, gdzie najchętniej przebywa... Tak skoczyła, tak fuknęła, parsknęła i machnęła łapą, że znalazłam się na podłodze. Z wielkim krzykiem, hukiem... i omdleniem. Bo zwichnęłam obie nogi w kostkach. Ma pecha pępek węża, prawda? Zamiast wyjątkowego szczęścia, jako pępek właśnie!

Poleżałam na podłodze dosyć długo, pani Krausowa na dole zaniepokoiła się hukiem, krzykiem i nagłą ciszą, ale nie mogła się zdecydować na otwarcie drzwi dodatkowym kluczem (okazało się, że ma komplety od każdego mieszkania) i zadzwoniła po tatę. Tymczasem ocknąłam się i pokwikując z bólu przesunęłam krzesło i stół na ich zwykle miejsca, podczołgałam się pod drzwi

199

łazienki i tam zemdlałam ponownie. Nikt przynajmniej nie podejrzewa, że szukałam czegoś na kredensie...

Zwichnięcie takie paskudne, że mam obie stopy w gipsie. Moja własna wina! I na dodatek zżera mnie ciekawość, co jest w tajemniczym pudle. Nigdy się chyba nie dowiem. Głupio wprost zapytać tatę, przyznać się, że go śledzę.

A może lepiej zawsze pytać wprost? Nauczyć się tylko, w którym momencie. Nie zamęczać się domysłami, podejrzeniami, zwalczyć wstyd i onieśmienie? Zapisałam te wszystkie pytania czarno na białym w pamiętniku, gryzę długopis, potrząsam lokówkami i zastanawiam się nad odpowiedzią... Tymczasem słyszę, że Wandula wraca z miasta, brzęczy kluczami, rozmawia wesoło z panią Królikowską.

Wtorek, koło południa

Przeczytałam to jeszcze raz, podkreśliłam ważniejsze pytania, ale nie zdążyłam pomyśleć, bo wróciła Wandula i przyszedł z nią Grzesiek. Przyjechał przedwczoraj z Mazur. Opalony i chyba urósł. Już wie o mojej przygodzie od Wanduli i pani Królikowskiej. Wie też, że szukał go tamten chłopak, bo zastał w skrzynce kartkę od niego. Podobno ten kolega znów chce podarować komuś pieska niewiadomej rasy. Nie upilnowali kolejny raz swojej energicznej bokserki. Chciał obejrzyć Bowa i warunki, w jakich mieszka. Nasz dom z ogródkiem bardzo mu się spodobał, więc...

Wandula zaczęła intensywnie mrugać do Grzeska, wymrugwała go do kuchni i już domyślałam się, co będzie dalej. Bardzo się cieszę! Niechby to było stworzenie pomieszane z brzoźową miotłą, najwyżej urządzimy z panem Gajdą pokaz psich dziwadeł, ale niechby już było! I było wyłącznie moje. Natychmiast wyzdrowie-

Trochę później, po wyjściu Wanduli do dentysty.

Tego się nie spodziewałam! Nie mogę się jeszcze pozbierać po tej wiadomości! I po co ja przez cały rok tak się męczyłam? Bardzo mi głupio w tej chwili, dlatego notatka będzie krótka: pan Gajda żeni się z Panną Magister! W połowie sierpnia! A Wandula wielce

200

zdziwiona, że nie zauważyłam ich randek, odbywanych bardzo często w naszym mieszkaniu, tak niby przypadkiem. Okazuje się, że nie mam daru obserwacji.

Aha! W pudle na kredensie jest tajny prezent dla pana młodego. Ma być wręczony już po ślubie. Przyszedł z zagranicy wcześniej i Panna Mag... Młoda nie wiedziała, gdzie go schować, żeby było bezpiecznie. Kropka.

Ewa Lach (urodzona w 1945 r.) już jako uczennica szkoły podstawowej pisała opowiadania i powieści. Między 13 a 15 rokiem życia napisała 3 książki, które wkrótce zostały wydane („Zielona banda", debiut autorski w 1961 r., „Kosmohikanie" 1962., „Na latającym dywanie" 1963 r.). Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Bielsku, a potem filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim Ewa Lach nadal interesuje się problemami młodzieży. Z właściwym sobie poczuciem humoru i umiejętnością podpatrywania realiów codziennego życia porusza w swych książkach

tematy zawsze aktualne i bliskie współczesnym nastolatkom - co zapewnia kolejnym jej powieściom powodzenie wśród młodych czytelników.

Tejże autorki

Zielona Banda 61 r.

Kosmohikanie 62 r. (4 wyd.)

Na latającym dywanie 63 r.

Kryptonim „Czarna Morwa” 68 r.

Ekspres na koniec świata 71 r.

Klub kosmohikanów 72 r. (2 wyd.)

Przygrywka 75 r. (2 wyd.)

Romeo, Julia i błąd Szeryfa 76 r. (2 wyd.)

Andrzejki 81 r.

Zemsta rodu Sawanów 84 r.

Imieniny babci Józefiny 86 r.

i

„Czytelnik”. Warszawa 1987. Wydanie I.

Nakład 80320 egz. Ark. wyd. 10,7; ark. druk. ii,24Ai. Papier

druk. m/gł., ki. IV, 70 g, 84 cm. Skład wykonała Drukarnia

im. Rewolucji Październikowej w Warszawie. Wydrukowały

Zakł. Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Zam. wyd. 119; druk. 263/K. P-38.

Printed in Poland

JP